

„ORZEŁ BIAŁY“
(White Eagle)
(L'Aigle Blanc)

Juin 1968

Cena 3/6
\$ 0.50; 2.50 F.



B.D.I.C

SYRENA

ORZEŁ BIAŁY

CZERWIEC

1968

Nr 47/1194

Polska walcząca o wolność

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓŁCZESNYM



Fot. McMahon

Grupa studentów amerykańskich w Nowym Jorku
manifestująca swą solidarność ze strajkującymi
w Kraju studentami polskimi

FP 2156

W NUMERZE :

- J. Kowalewski: „Młodości podaj mi skrzydła“ 1
- K. Ostrowski: Na dnie worka 3
- Z. Grabowski: Czy istnieje charakter narodowy? 5
- Rozstrzygnięcie Konkursu „ORŁA BIAŁEGO“ 7
- Ks. M. Poradowski: Bilans Dialogu 8
- K. Glabisz: Zmiany w górze wojskowej PRL 10
- A. Stambrowski: Dziwne pretensje 12
- M. Tomkiewicz: Tam się też żyło (IV) 13
- Z. L. Zaleski: Moja działalność w czasie drugiej wojny światowej 16
- F. Goldschlag: Coś niecoś o rzadkich zbroczeniach 18
- J. Pększyc: Drzewiej... 20
- M. Reszczyńska-Stypińska: Poezje 22
- M. Wilczewska: Z Kazachstanu do domu 23
- Kage: Kronika wojskowa 25
- „Holyrood“: Pocztówka ze Zjednoczonego Królestwa 26
- K. Brzozowska: Ambasadorki mało znane (II) Żony Piastów 28
- Z życia polskiego 32
- Dr Michał: Królewska choroba 34
- J. Ostrowski: Notatnik kulturalny 36
- K.E.: Przeważnie dla Pań 37
- W. Stefański: Nieuczciwa konkurencja 39
- Książki nadesłane 40



Gryf Publications Ltd

SIENKIEWICZ ŻYWY

16 rozpraw naświetlających
żywo i wszechstronnie
sylwetkę najpopularniejszego
z pisarzy polskich

Cena: 30 sh.

WÓDKI I LIKIERY NAJWYŻSZEJ JAKOŚCI

J. A. BACZEWSKI

Lwów

1782

Wiedeń

Wiśniówka — Krupnik — Starka — Wiśniak
Jarzębiak — Malinowa — Tea Rum — St. Bernhard

Importowane przez:

PODOLIA COMPANY LIMITED

Zamówienia kierować do:

PODOLIA CO. LTD. — 159, Waterloo Street,
Oldham, Lanc's. Tel.: 061 MAI 4626

lub do:

J. A. BRUCE & CO. — 9, Lenthal Place,
London, S.W. 7. Tel.: 373 5808

Żądać wszędzie

Ceny przystępne

LISTY DO REDAKCJI

„PAMIĘTNIKI“ WITOSA PRZECZYTAŁEM...

Szanowny Panie Redaktorze,

Pan J. Kazimierski, nawiązując do mego artykułu „Czapkę wicher niesie“, wyraża Redakcji „moje wielkie zaskoczenie“ za to, że „redakcja tak poważnego pisma opublikowała tak skandalicznie sformułowany politycznie artykuł“.

Well, well, well! Jeszcze chwila, a „zaskoczy“ Redakcję propozycja cenzurowania jej publicystycznego materiału.

Tymczasem głowię się, na czym polega „skandal“. Jedyne konkretny wyrzut pod moim adresem to atak na czcigodnego Sanojcę. Że nie patrzałem na Witosa jako „na chama bez krawata“ lecz przeciwnie z sympatią i współluciem, to każdy czy-

telnik, nawet z nieco niskim współczynni-kiem inteligencji, przyzna.

Wszelkie wysiłki p. Kazimierskiego, również innych, zdążające do wzbogacenia mojej nieco zaniedbanej wiedzy, witam z wdzięcznością. Więc i dobre rady p. Kazimierskiego kwituję staropolskim „Bóg zapłać“, chociaż są grubo spóźnione, bo „Pamiętniki“ Witosy przeczytałem natychmiast po ukazaniu się i to dokładnie!

Pragnę się jednak zrewanżować i ze swej strony polecam zająć się moim artykułem „sine ira“ i zastanowić się, czy znajdują się w nim ataki na „Ruch Ludowy“ lub niedocenywanie znaczenia elementu chłopskiego w życiu i polityce Polski. Jeśli ktoś kieruje się temperamentem zamiast chłodną analizą może wyręczyć się

(Dokończ. na przedostatniej
stronie okładki)

OD dłuższego czasu, od jakich może pięciu lat, bez przerwy światem trzęsie — młodość. Mówię „trzęsie“ w dosłownym znaczeniu, nie w znaczeniu rządu. Niestety, rządzi światem wciąż starość. Stare systemy przedwojenne, stare gangi polityczne, te same, albo takie same, które do spółki z Hitlerem wtrąciły nas w bezdenne bagno drugiej wojny. Fakt istnienia systemu bolszewickiego, tego najwierniejszego sprzymierzeńca Hitlera, jest dla świata tragicznym i zatrutym źródłem wszystkich jego nieszczęść. Bo istnienie systemu bolszewickiej dyktatury daje odwagę i niejako prawo istnienia wszystkim innym dyktatorom, gangom i gangsterom politycznym, ile ich na tym świecie jest.

BUNT KWIATÓW PRZECIW KORZENIOM

Jeśli nawet Kreml w toku gangsterskiej konkurencji zwalcza inne gangi jak np. pekiński, czy — w coraz większym stopniu — kubański, to jednak je poniekąd i żyruje — samym faktem istnienia. I dlatego świat jest zły. A młodość, młodzież, upatrując źródło tego zła w starości, buntuje się przeciw pokoleniu ojców i dziadów, pokoleniu ludzi, którzy wywołali drugą wojnę, którzy zezwolili i długo zezwalali na jawne mordy indywidualne i ludobójstwa pod osłoną praw, w świetle inkwizycyjnych stosów, w ogniu pożarów, w złym blasku doktryn gwałtu i nienawiści oficjalnie wyznawanych przez pewne rządy i narodom do wierzenia podawanych.

Ten bunt ma najrozmaitsze formy, najrozmaitszymi sloganami się posługuje. Młodzież najbardziej niedorzeczne wyprawia niekiedy brewerie, które pozornie w żadnym stopniu nie przypominają buntu przeciw złu i same są w swych formach złe. Ale w ich istocie leży „bunt kwiatów przeciw korzeniom“.

Czym tłumaczyć można procesy tak różne, a zachodzące obok siebie jednocześnie, jak historie beatle'owskie i marsze „pokojowe“; awantury antyamerykańskie i ruchy młodzieży Polski i Czechosłowacji — w istocie swej antyrosyjskie; orgie pijacko-narkomańsko-erotyczne i boje studentów francuskich z policją; de-



ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓŁCZESNYM

Nr 47/1193

CZERWIEC, 1968

Rok XXVII

„MŁODOŚCI PODAJ MI SKRZYDŁA“

monstracje wyzywającą dziwaczością stroju i wyglądu obok ascetycznych misjonarskich celów i hasel amerykańskiego „korpusu pokoju“; chuligańskie, niekiedy dzikie, napady szalów niszczenia i coraz liczniejsze ruchy młodzieży różnych zgrupowań religijnych o charakterze mistycznym, w Bogu i niebie upatrujące jedynego ratunku?

MŁODZIEŻ JEST ŁATWOWIERNIA

Co łączy te wszystkie procesy zachodzące dzisiaj równocześnie wśród młodego pokolenia?

Jedno tylko: bunt pokolenia dzisiejszego przeciw wszystkiemu co stworzyło i tworzy pokolenie wczorajsze. Pokolenie dzisiejsze chce wolności. Uważa, że pokolenie wczorajsze stworzyło niewolę — wczorajszą — i że wciąż tworzy tyranie dzisiejszą.

Można mieć, i słusznie, poważne zastrzeżenia czy demonstracje młodzieży prowadzonej przez macherów komunistycznych pod ambasady amerykańskie przeciw wojnie w Wietnamie, są aktami buntu przeciw niewoli. Bo przecież demonstracje takie służą celom komunizmu, a komunizm to największa dzisiaj niewola. Tak, ale to my o tym wiemy. Ale młodzież ulega pozorom — że to Ameryka podtrzymuje wojnę w Wietnamie, bo istotnie samoloty amerykańskie rzucają bomby, nie kwiaty. Ta młodzież nie wie, że wojnę wywołał i podtrzymuje komunizm światowy, kierowany przez Moskwę — w

celu rozciągnięcia tyranii i niewoli komunistycznej na całą Azję. Bo ten fakt jest ukryty w procesie wydarzeń, a fakt bombardowania jest jawny.

W swym najświętszym przekonaniu młodzież, bałamucona przez komunistyczną propagandę, demonstrowała na rzecz wolności i pokoju. Że słuszne żądania kieruje pod złym adresem — to w tym jest tragedia naszych czasów, ale faktem jest bezspornym, że młodzież „chce dobrze“, czuje szlachetnie, myśli kategoriami społecznego altruizmu. I to jest zjawisko dobre, pocieszające. A nieszczęściem jest to, że młodzież pozwala się bałamuścić. Ale to jest właśnie jedna z wad młodości — łatwowierność, skłonność do ulegania pozorom.

WIARA W SŁOWO

Wada łatwowierności wynika jednak, w pewnym sensie, z zalety, jaką jest czystość myśli cechująca młodzież, wiara w człowieka, w ludzkie słowo. Młodość, sama czysta i szlachetna w swych intencjach, otwarta i szczerza w swych słowach i czynach — nie umie podejrzewać. Toteż słowa, miotane przez gigantyczny aparat propagandy komunistycznej na cały świat, a poparte **pozornymi** dowodami „amerykańskiej agresji“, znajdują tak łatwy posłuch.

Tam, gdzie młodzież widzi, po prostu widzi, dowody komunistycznej

(Ciąg dalszy na str. 2)

przemocy, agresji, fałszu, ciemnoty — jak w Polsce i Czechosłowacji — występuje do walki z komunizmem, z jego niewolą, nie do walki z „agresją amerykańską w Wietnamie“. I tym się tłumaczą tak przeciwstawne kierunki polityczne w buncie młodzieży krajów ujarzmionych przez komunizm i krajów tego jarzma nie widzących, nie czujących go na własnych sztychach, we własnych sercach i mózgach. Również młodzież amerykańska, młodzież kraju, który stać na wielki aparat antykomunistycznej kontrpropagandy, w większości demonstracje przeciw komunizmowi. Jednak i tutaj zdarzają się wystąpienia antywietnamskie. W tych wystąpieniach jest strach — zupełnie naturalny — przed wojakiem z jego rygorami i przymusem, z jego — konieczną — „niewolą“ dyscypliny wojskowej.

MŁODOŚĆ NIE JEST OKRUTNA

Mówi się czasem, że „młodość jest okrutna“ i dlatego jakoby się buntuje, by dać ujście swej arogancji i okrucieństwu.

To nie jest prawdą. Okrucieństwo nie jest „specyfiką“ młodości. Okrucieństwo jest cechą pewnych charakterów, czy raczej chorobą umysłową, znaną w psychiatrii pod nazwą sadyzmu i zwykle pozostającą w związku ze skłonnością do zbrodni erotycznych. Sadystą może być i młodzieniec i starzec. Prawda że, jeśli chorobie tej człowiek ulega, to w młodości demonstruje ją jawnie, a w starszym wieku stara się ją ukryć. I stąd pozór, że jakoby tylko młodość jest okrutna.

Pozór mający uzasadnienie w tym, że na barykady rwie się młodzież, że bojówki organizacji gangsterskich — komunistycznych, faszystowskich, hitlerowskich czy naszych piaseckich falangistów — składały się z młodzieży. Ale znowu to pozorne okrucieństwo wynika z innej zalety młodzieży — z jej bezinteresowności. Młodość, gdy uwierzy w swą zapalną łatwowierność, że sprawa jest „święta“, to nie ogląda się na skutki, nie liczy się ze stratami materialnymi, gwiździe na „zniszczonej karierze“. Chwyta kamień, karabin, drąg i staje pod sztandarem. Że ten

sztandar nie zawsze jest święty, to wina starych oszustów, którzy młodzież okłamują i posługują się nią dla swych zbrodniczych celów.

Spójrzmy i skłońmy głowy przed bohaterstwem tych — nielicznych jeszcze na razie — jednostek i grup młodzieży sowieckiej, która — jak młody Litwinow, jak Sieniawski i Daniel — potrafi stanąć do walki z tak gigantycznym tyranem, jak aparat terroru sowieckiego państwa super policyjnego.

MŁODZIEŻ POLSKA URATOWAŁA HONOR NARODU

Skłońmy głowy, w podzięk, że uratowała honor narodu, przed młodzieżą naszego kraju. Tylko młodzież odważyła się na protest przeciw barbarzyńskiemu zakazowi cenzury, wydanemu na rozkaz moskiewskiego gubernatora, następcy Repnina. Zakazany przez cenzurę autor jest twórcą „Ody do młodości.“ Młodzież polska nie mogła znieść tej prowokacji. Rzuciła na stos swych karier los... Ale barbarzyński reżym się uchylzył. Zastosował hitlerowsko-stalinowską zasadę odpowiedzialności zbiorowej i za synów pokarał ojców, usuwając ich z posad, niekiedy po prostu skazując na głód całe rodziny, w których znaleźli się bezinteresowni i szlachetni buntownicy.

Młodzież francuska, o dziwo, choć podburzona i prowadzona — nie zawsze i nie wszędzie jednak — przez komunistów, woła „nienawidzimy tyrana de Gaulle'a!“ mimo, że ten de Gaulle jest z komunistyczną Moskwą niemal sprzymierzony przeciw Ameryce i Anglii. Skąd ta pozorna niekonsekwencja? Stąd, że de Gaulle jest istotnie despotą. Oczywiście nie typu gangstersko-bolszewickiego, ale jest.

De Gaulle, kiedy o nim mowa, jest typowym wyrazicielem tej najbardziej zgubnej teorii — że młodzież trzeba traktować jak dzieci, ostro. De Gaulle zresztą jak dzieci traktuje cały naród francuski, od swych ministrów poczynając. Z tej zgubnej

~~~~~  
**OGŁOSZENIE ZAMIESZCZONE W „ORLE BIAŁYM“  
 CZYTAJĄ POLACY  
 W 25 KRAJACH ŚWIATA**  
 ~~~~~

zasady wywodzą się wszystkie tyranie i despotie. Kto wie, czy traktowanie młodzieży w rodzinie przez niektórych rodziców i całych narodów przez ich rządy — jak dzieci nie jest głównym źródłem zła na świecie?

Młodzi mężczyźni i młode kobiety to nie są dzieci. To są ludzie dorośli, tylko, że lepsi od starszych — lepsi cechami swej młodości. Pewien wybitny reżyser zapytany, jaki powinien być teatr dla dzieci, odpowiedział: „Taki sam jak dla dorosłych, tylko lepszy“. Jak dorośli powinni traktować młodzież? Tak samo jak dorosłych, tylko lepiej. A cała tragedia polega na tym, że młodych traktujemy jak dzieci, tylko gorzej.

Haniebnie potraktował naszą młodzież terrorystyczny reżym sowieckiego ucisku w Polsce. Karze ją fizycznie, karze jej rodziców, skazuje na głód, poniewiera i obraża. Za co? Za to, że młodzież stanęła w obronie narodowego geniusza, bojownika o polską wolność przeciw rosyjskiej niewoli, orędownika i piewcy szlachetnych zalet młodości.

Jakaż to straszna zmora przesunęła się przed naszymi oczami. Jak przedziwnie obróciło się koło historii! Ta sama despotia, która skazała na więzienie Mickiewicza, w półtora prawie wieku potem, kaźni polską młodzież, która broni sławy i dzieła byłego więźnia caratu. Więzienie klasztoru bazylińskiego w Wilnie staje się więzieniem całej polskiej młodzieży i całego narodu. Tylko tysiącokrotnie gorszym. W tamtym więzieniu powstała „Wielka improwizacja“. I z tego wreszcie „Polska powstanie, by żyć“. To pewne.

Za to traktowanie młodzieży i narodu Historia zemści się okrutnie na oprawcach dzisiejszych, jak zemściła się na ich carskich poprzednikach. Tyrania zawsze prowokuje zemstę. Tyrania jest samobójcza. Zabijając swe ofiary, zabija i siebie.

Młodość zawsze, mimo swych błędów, niekiedy nawet licznych, zwycięży, bo młodość jest szlachetna i twórcza. Młodość zawsze prędzej czy później na skrzydłach swej wzniosłości „nad martwym wzleci światem w rajską dziedzinę uludy“. Młodość jest zawsze dążeniem do krainy dobra, piękna i prawdy.

Janusz Kowalewski

NA DNIĘ WORKA

TO co do worka załadowano na końcu — będzie na wierzchu. To co wrzucono najpierw — znajdzie się na spodzie. Wyjmuje się w odwrotnym porządku. Pierwsze wydostanie się to co jest u góry, a to co jest na dnie — musi czekać aż dostęp do niego się oswoździ.

Kraje za żelazną kurtyną uwięzione są w skrawiowym komunistycznym worze uwarstwionym w geograficznej kolejności — zaczynając od Bałtów i Polski, a kończąc na Czechosłowacji. Austria, która tylko częściowo w nim tkwiła — wy dostała się pierwsza. Jugosławia sama się wydobyła, ale tkwi przy nim uczepiona. Albanie wyłuskały Chiny. Rumunia się wyrывa na własne, niewiadome tory. Polska się burzy. Na wierzchu znajdują się Czesi i Słowacy.

Wystarczy spojrzeć na mapę, by zrozumieć, że jeżeli wolność ma być osiągnięta „ewolucyjnie“ — to teraz byłaby kolej na nich. To zdaje się dziać obecnie. Po nich dopiero Węgry i cała sprawa niemieckiego zjednoczenia. Do tegoż czasu Polska nie ma szans pokojowego wyzwolenia. Po nas dopiero ci, którzy jeszcze głębiej na dnie worka się znaleźli.

Byłoby zupełnie inaczej gdyby jakiś kataklizm, wstrząsnał obecnym układem, a wór-więzienie się przewrócił i swą zawartość wysypał. W takim razie Polska prawdopodobnie znalazłaby się na wierzchu. Jej rola stałaby się czołową i mogłaby być przewodzącą.

CZECHOSŁOWACJA

Jak się sytuacja przedstawia teraz? Na wojnę, czy na jakąś katastrofalną przemianę na razie się nie zanosi. Skoncentrujmy więc uwagę na Czechosłowacji. Czy odbywa się ewolucja w przyspieszonym tempie, kraju najbardziej do niej dojrzałego, czy też tylko przewrót w łonie partii, którego zasięg nie jest jeszcze wyraźny? Zaczyna wyglądać na to, że to co się tam dzieje przekroczyło już granice zwykłego, prze-

ściowego rozluźnienia reżymu. Decydującym będzie, czy dojdzie na prawdę do skutku, nie demokrytyzacja systemu, a zapowiadana prawdziwa demokracja. Istotnym jest obiecywane dopuszczenie istnienia opozycji, a więc innych prawdziwych partii, mniejsza o to czy ograniczonych tylko do stojących na gruncie „socjalizmu“. Moi przyjaciele, których mam wśród prawdziwych socjalistów, zapewniają mnie, że komunizm w ogóle nie jest socjalizmem. Zapewne mają rację...

Czesi zawsze uchodzili za realistów i za jedyny naród, wśród Słowian, myślący kategoriami gospodarczymi. Wybory wolne musiałyby wobec tego doprowadzić do przewagi elementów nie tylko niekomunistycznych, ale i rozumiejących znaczenie wolnego działania gospodarczego jednostek. Już widać, że ludzie, którzy rochodzą do władzy (Dubcek?) kierują się myśleniem ekonomicznym. Mówią o zbliżeniu z Zachodem przez wzmożoną wymianę handlową i kredyty inwestycyjne. Od Sowietów domagają się czelnie kredytów — i to w walutach „burżuazyjnych“, oraz innych koncesji natury gospodarczej. Jasnym jest, że byłby to koniec rządów wyłącznie komunistycznych.

Czechosłowacja pozostawiona sama sobie, szłaby nieuchronnie ku Zachodowi, ustrojowo i ekonomicznie, aż znalazłaby się, również i politycznie po drugiej stronie żelaznej kurtyny. Chętnie by się włączyła do Zjednoczonej Europy, do czego wśród krajów zniewolonych jest najbardziej dojrzała.

Wątpliwym się zdaje, by miało to nastąpić w charakterze sowieckiego Konia Trojańskiego. Zbyt wielkie łączyłoby się z tym ryzyko. Koń dotychczas trzymany na lichej sieczce, łatwo by mógł zagustować w kapitalistycznym owsie i stać się Trojańskim — ale a rebours.

Na to wszystko Sowiety nie mogą pozwolić. Byłoby to zbyt wielkim ciosem dla komunizmu, Rosji, ich „socjalizmu“ i ich wielko-mocarstwowego prestiżu. Z początku mogło

się zdawać, że to co się działo w Pradze, dla niejasnych powodów, jeżeli nie popierały, to tolerowały bezradnie. Wyglądało to podobnie do naszego Października, a ich Dubcek do „naszego“ Gomulki.

Gdy to piszę, w połowie maja, jasnym już się stało, że dzieje się to wszystko wbrew Sowietom i że są one nie tylko zaniepokojone, ale chcą ukroczyć rebelię, która przekracza granice rewolucji pałacowej. Wygląda na to, że Dubcek, choć szkolony w Rosji, pojechał do Dreżna, a potem wraz z towarzyszymi do Moskwy, nie po instrukcje, ale by uspokajać i zapewniać na wszystkie ich świętości, że Czechosłowacja pozostanie w obozie komunistycznym i Pakcie Warszawskim i że w ogóle w polityce zagranicznej będzie „dobrą“ — byle tylko im nie przeszkadzano w przemianach wewnętrznych, łącznie z demokrytyzacją, oczywiście, zawsze w ramach ustroju „socjalistycznego“. Moskwa lądziła ich jakoby nawet obietnicą pożyczki w walucie twardej, mniejsza o to czy w złocie, dolarach czy nawet funtach, a więc rzecz niesłychana, na zakupy w państwach „imperialistycznych“.

Tak było na początku. Musi budzić nasze zaufanie fakt, że w Moskwie przestano Dubcekowi wierzyć. Podano to światu demonstracyjnie do wiadomości przez wstrzymanie chwilowe swobody ruchów dyplomatów w Polsce, jakoby z ruchami nad granicą Czechosłowacką wojsk stacjonowanych w Polsce. Za silnie to reklamowali, by brać na serio jako początek zbrojnej interwencji à la Węgry. Tym razem było to ostrzeżenie, zapewne potrzebne na tym etapie rokowań między bratnimi rządami czy partiami. Ujawniło się przez to, jak bardzo to, co się dzieje w Czechosłowacji jest Sowietom nie w smak (understatement) i jeżeli dalej tak pójdzie będą musiały interweniować — ale jakoś niechętnie i jakby nieśmiało. Czasy od powstania węgierskiego się zmieniły. Konsekwencje interwencji zbrojnej były-

(Ciąg dalszy na str. 4)

by inne niż wtedy. Toteż Ulbrycht się wścieka, Gomółka speszony, ale Moskwie basuje, Kadar chciałby pośredniczyć, a Tito już posyła swego ministra do Pragi. A tymczasem Ameryka zajęta murzynami i Wietnamem, de Gaulle jedzie do Rumunii, Wilson — szkoda gadać, Zachód siedzi cicho. Chińczycy w kułak się śmieją.

MIARA SIŁ

Do chwili ukazania się czerwonego numeru Orła, przebieg wydarzeń może przynieść radykalną zmianę sytuacji. Jakkolwiek obrót jednak one wezmą, będzie to niezmiernie ważne nie tylko dla krajów za żelazną kurtyną, ale i dla Europy i świata. Wpływ ich da się odczuć szeroko i daleko. Losy Czechosłowacji stają się miernikiem sił mocarstw światowych.

Wielka polityka prowadzona jest od dłuższego czasu po omacku. Obie wielkie potęgi nie są pewne jaka jest rzeczywista siła przeciwnika, — czyli na co mogą i nie mogą sobie pozwolić. Prawdopodobnie Sowiety są lepiej poinformowane. Ich wywiad na pewno wiele i za dużo spenetrował. Trzeba mieć nadzieję, że pozostało dość tajemnic wojskowych, łącznie z wynikami doświadczeń wietnamskich, które byłyby im ponadto potrzebne dla pełnego obrazu siły Stanów Zjednoczonych.

Ameryka nie może być pewna swojej oceny potencjału sowieckiego. „Rosja nie jest nigdy tak silna, ani tak słaba jak się wydaje“. Wiemy ze smutnego doświadczenia, że egzotyzm rosyjski jest dla anglososów trudny do zrozumienia, a prognozy speców od Sowietów zbyt często zawodzą. Nadto imponderabilia mają dziwną tendencję pojawiania się tam częściej niż w krajach cywilizowanych. Dlatego też wolno odnosić się z pewną dozą sceptycyzmu do ocen amerykańskich (vide Wietnam). Dochodzi do tego dezinformacja, w której Sowiety celują. Pisząc te słowa nieraz stawiam sobie pytanie, czy sam mimo woli jej czasem nie ulegam?

Najważniejszą jednak jest strona chińska tej oceny. Oczywiście, są słabsze. Kto jednak je dobrze zna, wie że Chińczycy są zdolni do sza-

leńczych odruchów wynikających z fanatyzmu, nienawiści do Rosji i żądzy zemsty. Może to być w tamtejszych prymitywnych warunkach ważniejsze od najbardziej nowoczesnej techniki wojskowej. Sowiety, oczywiście, o tym wiedzą. Wielkie przestrzenie, najdłuższa w świecie granica i olbrzymie masy ludzkie sprawiają, że dla szachowania Chin Rosja może rezerwować siły trudno wymierne dla najbardziej nawet zainteresowanych przeciwników.

Że Ameryka zdaje sobie sprawę z tych niewiadomych potwierdza fakt, iż polityka jej jest tak bardzo niezdeterminowana i kunktatorska.

Sprawa Czechosłowacji jest dla nich tak zasadniczą, że gdy tylko poczują, że pozostaje im dość siły do dyspozycji po zabezpieczeniu się od strony Chin i że mogą podjąć ryzyko zaplątania się w rozgrywkę w Europie — na pewno to zrobią. Gdyby się przerachowały — moglibyśmy się znaleźć wobec nowej rzeczywistości na świecie. Wypadki w Czechosłowacji będą więc wskaźnikiem obecnych możliwości Sowietów.

MŁODZIEŻ

Jest wreszcie jeszcze jedna sprawa, z którą kómunisci muszą się liczyć, gdyby się mieli zdecydować na powtórzenie Budapesztu w Pradze. Obecne rozruchy studenckie są wielkim sukcesem akcji dywersyjnej Moskwy. Skutki mogą się okazać nieobliczalne. Jeżeli mi kto po-

wie, że to, co się dzieje na uniwersytetach zachodnich jest spontanicznym odruchem młodych — nie będzie miał wątpliwości, że i on uległ perfidnym podszeptom tej propagandy.

Ale ta młodzież w swej większości nie jest skomunizowana. Szczególnie temu zaprzecza. W swym naiwnym idealizmie dała się głupio sprowadzić na manowce. Trąci to Adde-rą. Represje Sowieckie w Czechosłowacji mogłyby ją otrzeźwić. Zareagowałyby jak w czasie powstania węgierskiego. Nie sądzę, by Moskwa mogła sobie na to pozwolić. Przekreśliłaby jeden ze swych największych atutów.

Teraz, gdy Wietnam przestaje chwilowo być najbardziej zaognionym miejscem polityki światowej, oczy wszystkich zwrócone są na Czechosłowację. Czesi i Słowacy nie mają powrotu z drogi, na którą weszli. Rosja, cokolwiek zrobi — stracić musi wiele.

Sądzę, że Polacy winni są Czechom zadośćuczynienie. Studenci w Warszawie już je dali, wznosząc okrzyki: „Cała Polska czeka na swego Dubceka“. Dowcip październikowy o Polakach, Węgrach i Czechach, którego przytoczeni byłoby nietaktem — okazał się nieprawdziwym i jakże krzywdzącym.

My zaś pamiętajmy, że Polska znajduje się jeszcze na samym prawie dnie komunistycznego worka. — Nie pora na nas. — Ale chwila nadejdzie.

Krystyn Ostrowski

N O W O Ś Ć !

N O W O Ś Ć !

Zbigniewa Grabowskiego

OJCZYZNA EUROPA

Niezwykle interesująca książka o 14 krajach kontynentu europejskiego. Wizerunek Europy powojennej, skreślony przez wrażliwego obserwatora, podróżnika, doskonałego znawcę jej historii i kultury.

Cena: £ 2.10.0

Str. 484

S k ł a d g ł ó w n y :

GRYF — KSIĘGARNIA S.P.K.,
20, Queens Gate Terrace, London, S.W. 7.

Do nabycia w księgarniach polskich.

Czy istnieje charakter narodowy?

DYSKUTOWANIE dzisiaj problemu charakteru narodowego jest często grą niebezpieczną i ryzykowną, gdyż dla wielu osób rasizm i charakter narodowy stanowią synonim, a jeżeli nie synonim, to pozostają w bliskim pokrewieństwie. Problemem psychologii narodów był niesłyszany modny na początku XX-tego wieku i wtedy to najszerzej rozwinęła się nowa gałąź wiedzy, a zatem psychologia narodów — nie gdzie indziej jak w Niemczech. Niemcy stali się ekspertami numer jeden od badania psychologii narodów i ironią pozostaje fakt, że ten cały zapal psychologiczny nie pomógł Niemcom do odcyfrowania psychologii poszczególnych narodów, włącznie ze swoim własnym. Niemcy stworzyły również w naszym stuleciu najbardziej skrajną religię nacjonalistyczną i bezsensowny rasizm, który zawiódł Niemcy na ścieżki masowego obłądzenia. W poszukiwaniu za „czystą“ rasą Niemcy Hitlera odwoływały się do tradycji nordyckich i stworzyły mit fizycznego typu nordyckiego, zapominając o tym, że poza Laponczykami i częściowo Szwedami, wszystkie narody w Europie są mieszańką i o „czystej“ rasie nie ma w ogóle mowy w granicach Europy. Są narody mniej przemieszane i narody bardziej przemieszane — ale nie ma ras „czystych“.

Pseudo-naukowe metody wprowadzone w ruch przez hitlerizm były śmieszne w odniesieniu do samego grona przywódców hitlerowskich Niemiec. Sam Hitler nie wyglądał na Nordyka, a jeszcze mniej nordycko wyglądał Goebbels, w którego rysach można się było nawet dopatrzeć cech semickich. Rudolf Hess miał zdecydowany typ południowca, a urodził się w Egipcie. Najwięcej cech niemieckich, grubiańskiego piwośza miał Göring.

Nie ma zatem mowy o poszukiwaniach za „czystą“ rasą w Europie, jednakże poniechanie badań rasizmu nie oznacza bynajmniej, że

psychologia narodów stała się tematem nieaktualnym, albo przeżyłym. Na wstępie do książki historyka angielskiego H. H. Scullarda pt. „Miasta etruskie a Rzym“ czytamy uwagi, pod którymi podpisać się może każdy badacz psychologii narodów.*) „Co oznacza lud lub naród? — zapytuje historyk angielski. — Jakimi kryteriami sędzić należy ten zespół ustawicznie się zmieniający jak Proteusz? Nikt chyba nie przyjmie charakterystycznych cech etnicznych jako jedyne go czynnika oceny. Szaleństwo hitlerowskie może trzymać się dalej idei istnienia jakiejś „czystej“ rasy, ale mieszańka jaką są Anglicy i Amerykanie wie dobrze, że narody nie dadzą się określić pojęciem pojedynczej jednostki etnicznej. Z drugiej jednak strony, dany naród może odznaczać się przeważającym typem fizycznym, który wyraża się w kształcie czaszki, albo grupy krwi, do której przynależy. Wspólny język wydawać się może najbardziej ścisłą więzią i pomimo istnienia dwujęzycznych społeczności, często język jest właśnie taką najistotniejszą więzią. Ale sam język nie jest decydującym czynnikiem — ciągnie historyk angielski. — „Wielu Afrykańczyków mówi po angielsku, lub po francusku, uważając je za pierwszy język, ale to bynajmniej nie zmienia ich w Anglików lub Francuzów. Udział w kulturze danego kraju stanowi więzy jedności, ale nie tworzy jeszcze narodu. Naród, podobnie jak i szczepy pierwotne, łączą się często w jedność, wiarą religijną, która jest przeważającą wiarą danego zbiorowiska, — ale również nie jest to wyłączny czynnik w ocenie narodu“

Scullard utrafił w sedno w swoich wywodach, podkreślając fakt, że

*) Sprawę charakteru narodowego przedyskutowałem szerzej na łamach mojej książki „Ojczyzna Europa“, wydanej przez „Gryf“ i w „The English Psychoanalysed“.

względy etniczne nie mogą decydować o obliczu danego narodu i że raczej o spoistości narodowej i jego obliczu decyduje język, kultura, czy religia. Ale i jego lista nie jest wystarczająca, albowiem te trzy elementy nie określają jeszcze narodu jako samoistnej jednostki.

Przeciwko pojęciu charakteru narodowego i możliwościom odcyfrowania historii danego narodu poprzez jego charakter i psychologię, występują często podróżnicy i turyści, którzy mają sposobność spotykać się z różnymi narodami. Oni to są autorami fałszywej tezy jakoby „ludzie byli wszędzie tacy sami“. Tego rodzaju wnioski jest żałośnie niewystarczające i nawet jeżeli przyjmujemy tezę, że w najistotniejszych odruchach i reakcjach człowiek jest niemal wszędzie taki sam, to i tak pozostaje ogromne nawarstwienie zjawisk, które wymyka się tak radykalnemu osądowi. Możemy powiedzieć, że ludzie, którzy w swoich podróżach widzą te same przejawy i reakcje pod każdą szerokością geograficzną, tracą niepotrzebnie pieniądze na podróżowanie. Jeżeli bowiem podróż ma jakiś głębszy sens, właśnie w odkrywaniu coraz to nowych horyzontów psychologii narodów i wydobywaniu różnic między poszczególnymi społeczeństwami.

Każdy, kto uważnie zwiedzał Europę, musiał być zaskoczony faktem, że przekroczenie jakiejś granicy stanowiło nieraz o odkryciu nowego charakteru zbiorowego. Kto przejeżdżał na przykład z Rumunii do Bułgarii poprzez Dunaj, zaskoczony był różnicą między leniwym na ogół Rumunem a pracowitym Bułgarem.

Oczywiście, ktoś może wtrącić tutaj uwagę, że lenistwo Rumuna wynika poprostu z bogactwa ziemi, a pracowitość Bułgara jest funkcją ugoru, który rozciąga się po przejeździe Dunaju na południe od granicy obu państw. Nawet w takim tworze jak Szwajcaria napotykamy na

(Ciąg dalszy na str. 6)

ostre różnice między trzema członami tego kraju, a zatem kantonów mówiących po francusku, włosku i niemiecku. Przekraczając granicę niemiecko-duńską napotykało się momentalnie na odmienny typ fizyczny i inne obyczaje, a to samo stosuje się do pogranicza holendersko-niemieckiego, chociaż sama nazwa języka niemieckiego spokrewniona jest z nazwą Holandii (Deutsch-Dutch).

W rzeczywistości mała Europa jest pstrokacizną narodową, przy czym odrębności narodowe zachowały się wyjątkowo długo, by przypomnieć grupę etniczną zwaną reto-romańską, a skupioną gdzieś między Celeriną a Pontresiną w pobliżu St. Moritz. Ta grupa, będąca pozostałością postępu legionów rzymskich, ma język najbardziej podobny do łaciny (stąd jedno z mian tego języka: ladin), liczy zaledwie 40 tysięcy, ale ma swoje szkoły i wydawnictwa, a język reto-romański został włączony do zespołu języków urzędowych Szwajcarii.

W czym upatrywać należy odrębność narodową i jakie czynniki wysunąć należy na plan pierwszy, mówiąc o charakterze narodowym? Musimy oczywiście odrzucić metodę generalizacji, czyli uogólnienia. Całkowicie nieprzydatne są tego rodzaju określenia jak „Szkot jest skąpy“, albo „Anglik jest milczący“. Takich uogólnień nie trawi już dzisiejszy czytelnik, który orientuje się coraz lepiej w psychologii narodów. Bardzo często pada on ofiarą takich generalizacji, konfrontując legendę z rzeczywistością. I tak na przykład Francuz, w którego wpajano, że „Anglicy są wysocy i jasnowłosi“, będzie zdumiony ilością szatynów i brunetów, oraz ludzi niskiego wzrostu, spacerując po londyńskiej ulicy.

O charakterze narodowym stanowią przede wszystkim: wspólna kultura, obyczaje, wytworzone przez daną grupę, religia, język i to co pozwalają nazwać hierarchią wartości. Kto wie, czy ten ostatni czynnik nie wysuwa się na front we wszystkich analizach charakteru narodowego.

Jeżeli na przykład ktoś powie, że w Anglii przyjaźń jest bardziej cenniejsza niż miłość i że Anglicy mają

wybitne zdolności do uprawiania przyjaźni, ten będzie niezbyt daleki od prawdy. Jeżeli ktoś powie, że Anglicy są bardziej milczący aniżeli narody kontynentalne, ten również nie będzie daleki od prawdy. Jeżeli ktoś osądzi Włochów jako naród muzyczny, to spostrzeżenie to będzie trafne. Jeżeli jednak ktoś wyda sąd, że Włosi są pozbawieni odwagi, to można takie spostrzeżenie zakwestionować zapytaniem: jakiej odwagi? Zbiorowej czy indywidualnej? Włoch w pojedynkę jest jednym z największych ryzykantów — czy to w automobiliźmie, czy w alpinizmie, czy w jeździe na nartach lub w lotnictwie.

Wydaje się, że względy natury duchowej urabiają oblicze danego narodu i że porządek czy hierarchia wartości odgrywa w życiu narodów dominującą rolę. Szkot nie jest skąpy, ale w zestawieniu z takim np. Polakiem — nie jest na pewno rozrzutny. Wrażliwość na piękno należy również do owej hierarchii wartości natury duchowej i tutaj pewne narody, jak włoski, biją inne narody, o wiele mniej wrażliwe na piękno już to natury, już to stworzonego ręką człowieka dzieła sztuki. Wśród ludów europejskich Włosi odznaczają się największą wrażliwością na piękno zmysłowe i na muzykę.

Czy znaczy to, że należy odrzucić cechy fizyczne jako pomocne w syntezie psychologii narodowej? Bynajmniej. Bliskie prawdy będzie stwierdzenie, że na przykład przeciętna wzrostu mężczyzn i kobiet jest w Anglii większa aniżeli w krajach łacińskich (to samo odnosi się do krajów skandynawskich, gdzie procent długonogich chłopców i dziewcząt jest wyższy od procentu tej młodzieży w krajach południa, lub państwach Europy Wschodniej). Anglika poznać można nie tylko przez pewne cechy stroju, a zatem zaniebania w ubiorze, albo odwrotnie — wielkiej dbałości w stroju, zwłaszcza u mężczyzn — po takich akcesoriach jak przysłówkowa już fajka, pomagająca Anglikowi w sztuce milczenia, do czego podobno przyczynia się wymowa „th“, jest na pewno większy w Anglii niż na przykład we Francji. Nawet jeżeli odrzucimy takie dodatkowe cechy jak strój, czy sposób noszenia się, to pozostaną jeszcze zasadnicze cechy fizyczne An-

glika — jak duże stopy i pewna kanciastość w ruchach. Najciekawszym ćwiczeniem w takiej amatorskiej próbie badania psychologii narodów jest obserwowanie ludzi na międzynarodowych plażach. Odpadają tam względy stroju, natomiast rzucają się w oczy takie cechy jak właściwości chodu. Można godzinami przypatrywać się tej pstrokatej palecie rozebranej ludzkości.

Badanie psychologii narodów należy do najciekawszych rozrywek umysłowych. Nigdy nie należy zapominać o tym, że operować musimy zasadą procentowości danych zjawisk, czy też częstotliwości powtarzania się ich. I tak na przykład jeżdżąc po drugiej wojnie po Niemczech Zachodnich spotykałem się aż do znudzenia z argumentacją, że „we wszystkich narodach są zbrodniarze — a nie tylko w Niemczech“. Odpowiadałem na to stale, że istotnie zbrodniarze znajdują się w każdym narodzie, ale tutaj chodzi o nieodwracalny fakt, że procent tych zbrodniarzy w Niemczech był niepokojąco wysoki. A po drugie, nie każdy naród pozwala na to, by rządili nim zbrodniarze.

Zasada procentowości obowiązuje, jak sądzę, całą dziedzinę zwaną psychologią narodów, czy też odcyfrowywaniem charakteru narodowego. W ten tylko sposób odsuniemy się od generalizacji, która zaciemnia obraz a nie rozjaśnia go. Pamiętajmy cały czas o tym, że poszukiwania charakteru narodowego odbywają się w terenie bardzo trudnym, albowiem chodzi tutaj o cechy natury duchowej, oraz tak zwane imponderabilia. I tak na przykład możemy postawić śmiało wniosek, że śmierć przemawia do Hiszpana o tyle mocniej niż do Włocha, który odsuwa się od samego pojęcia śmierci. Hiszpana fascynuje śmierć i jest to jedyny kraj w Europie, który wywiesza takie dziwaczne hasła jak „Viva la muerte“ (niech żyje śmierć!).

Charakter narodowy nie jest jakimś stałym czynnikiem. Kto pamięta Francję z roku 1918 i później i porówna ją z Francją roku 1939 i dalej, ten dojdzie do wniosku, że w samym charakterze narodowym Francji dokonała się olbrzymia prze-
na na tle traumy pierwszej wojny

światowej. W mniejszym stopniu występuje ta zmiana w Anglii, której gotowość do wejścia do wojny w roku 1939 była nieskończenie mniejsza od ochoty wojennej roku 1914. Olbrzymie zmiany obserwujemy w Rosji, gdzie naród ongiś rozgadany i nie mający skłonności inhibicyjnych, zmienił się, zasadniczo biorąc,

pod uciskiem terroru w naród ostrożny, podejrzliwy i milczący. Największą niespodziankę sprawił jednak Izrael, gdzie dokonała się wielka przemiana narodu żydowskiego — przez kontakt z ziemią. Nawet cechy fizyczne, jak kształt głowy, pigmentacja skóry i kolor włosów uległy zmianie i oglądamy tam dzi-

siaj zjawiska prawdziwie nordyckie o jakich musiał marzyć Hitler. Izrael stanowi najbardziej klasyczny przykład odrodzenia się rasy i sięgnięcia w przeszłość. Potwierdza on tezę, że istnieje charakter narodowy — nawet jeżeli po wiekach ulega on zmianie.

Zbigniew Grabowski

Księgarnia S.P.K.

20, QUEENS GATE TERRACE,
LONDON, S.W. 7.

Wyłączne przedstawicielstwo
Instytutu Literackiego i
„Kultury“ na Wielką Brytanię

Aleksander Hertz

SZKICE
O IDEOLOGIACH 20/-

Herling-Grudziński G.

INNY ŚWIAT 25/-

Singer Bernard

OD WITOSA
DO SŁAWKA 30/-

Witos Wincenty

MOJE WSPOMNIENIA
3 tomy 145/-

Zaremba Paweł

HISTORIA POLSKI
tom I 33/6

Przesyłka każdej książki 3s.

ROZSTRZYGNIECIE KONKURSU „ORLA BIAŁEGO“

Tematem KONKURSU był dzienniczek obejmujący siedem dni dowolnie obranego tygodnia i dający wierny obraz tego, co autor robił, mówił i myślał w tym czasie.

Dziesięć spośród nadesłanych prac zakwalifikowano do druku i ogłoszono w „Orle Białym“ w nrach 40—44.

W głosowaniu korespondencyjnym, w którym wzięli udział nasi czytelnicy z W. Brytanii, Francji, Australii, Brazylii, Szwecji, Włoch, USA, Turcji i Norwegii,

pierwsze miejsce przypadło J. Korczakowi za pracę „Lekcja języka polskiego“ — głosów 110.

drugie Zofii Grabowskiej za pracę „Zapiski z r. 1940“ — głosów 100.

trzecie Janinie Orłowskiej za pracę „Własny dom“ — głosów 80.

Zgodnie z warunkami konkursu, J. Korczak zdobywca pierwszego miejsca otrzymuje jako nagrodę potrójne honorarium autorskie, pozostali autorzy ogłoszonych prac otrzymują normalne honorarium autorskie.

Oprócz tego wszyscy uczestnicy konkursu, łącznie z tymi, których prace nie zostały ogłoszone, mają prawo do dwu książek z następujących 10 wydanych przez GRYF PUBLICATIONS LTD.:

W. Anders: BEZ OSTATNIEGO ROZDZIAŁU, Z. Grabowski: OJCZYŻNA EUROPA, (red.) Günther: SIENKIEWICZ ŻYWY, S. Korboński: W IMIENIU RZECZYPOSPOLITEJ, A. J. Narbutt-Łuczyński: U KRESU WĘDRÓWKI, Z. Nowakowski: WIECZORY POD DĘBEM, A. Piłsudska: WSPOMNIENIA, M. Sokolnicki: DZIENNIK ANKARSKI, K. Sosnkowski: MATERIAŁY HISTORYCZNE, M. Tomkiewicz: BOMBY I MYSZY.

Z zadowoleniem należy podkreślić, że udział w konkursie wzięli nie tylko autorzy ogłaszający swoje prace w prasie polskiej, lecz także — co było ukrytą intencją organizatorów — zgłosili się do niego co najmniej w 50% ludzie nie parający się piórem zawodowo. Np. J. Korczak zwycięzca konkursu ma lat 19, rozpoczął w tym roku studia uniwersyteckie w Londynie i nigdy przedtem prac swoich nie drukował. Bezpośrednim „odkryciem“ konkursu „Orla“ był także pamiętnik Marii Wilczewskiej „Z KAZACHSTANU DO DOMU“, który ze względu na rozmiary był drukowany oddzielnie i wywołał żywy oddźwięk u czytelników.

Redakcja „Orla Białego“ pragnie serdecznie podziękować czytelnikom, którzy wzięli udział w głosowaniu oraz szczególnie p. Krystynie Brzozowskiej za Jej cenną pomoc w przygotowaniu konkursu.

Dobry uczynek —
zachęcić przyjaciela
do prenumerowania
„ORLA BIAŁEGO“



SZYBKO I TANIO!

Biuletyny, ulotki reklamowe,
druki jedno- i wielobarwne
wykonują

ZAKŁADY GRAFICZNE

GRYF PRINTERS (H.C.) LTD.

171, Battersea Church Road,
LONDON, S.W. 11.
Tel. BAT 0879

GDY jeszcze za panowania Jana XXIII zaczął się „dialog“ wielu myślało, że takie braterskie, szczere i serdeczne rozmowy katolików z niekatolikami rozpoczynają nową, wielką erę w dziejach Kościoła. Dziś, po upływie tylu lat, można już zrobić bilans tego „dialogu“, przyjrzeć się plusom i minusom i odpowiedzieć na pytanie, czy ów optymizm był uzasadniony.

Temat to zbyt obszerny, aby można go przedstawić wyczerpująco w jednym artykule, ograniczmy się więc tylko do odpowiedzi na pytanie: co dobrego i co złego przyniósł „dialog“ dla Kościoła, tj. dla Wiary.

Zacznijmy od niektórych plusów.

A więc najpierw tzw. „wyjście z getta“, tj. lepsze zapoznanie się katolików z życiem innych grup chrześcijańskich i niechrześcijańskich. Jest coś z prawdy w tym przesadnym i niepoehlebnyim powiedzeniu, że Kościół katolicki, od czasów Soboru Trydenckiego aż do Jana XXIII, żył w getcie, gdyż podobnie jak Żydzi i inne grupy narodowo-religijne mniejszościowe, w ciągu wielu wieków świadomie oddzielał się od wpływów tego wszystkiego co mogłoby zanieczyścić depozyt Wiary i oparte na nim obyczaje. Jest to zresztą normalna i spontaniczna reakcja każdej zagrożonej grupy społecznej mniejszościowej, a katolicy — w większości wypadków — stanowili i stanowią mniejszość, dziś np. 500 milionów katolików wobec ponad 3 tysięcy milionów niekatolików. Ostre przepisy prawa kanonicznego, zabraniające udziału w kulcie niekatolików, czytanie ksiąg religijnych bez *Nihil obstat* i *Impri-matur*, a zwłaszcza przepisy o małżeństwach mieszanych, utrzymywały katolików z dala od innych wyznań. I to „wyjście z getta“ niewątpliwie — jak każdy bezpośredni kontakt z życiem innych grup społecznych — przyniosło katolikom rozszerzenie horyzontów, głębsze zrozumienie życia naszych bliźnich i dało podstawy do lepszego i bardziej braterskiego współżycia ze wszystkimi.

„Dialog“ przyczynił się także do pogłębienia przeżyć solidarności ludzkiej. Bezpośrednie kontakty, rozmowy, współżycie katolików z niekatolikami dają okazję do przeżywania prawdy o jedności rodzaju ludzkiego, która, dzięki temu, że zbyt

Ks. MICHAŁ PORADOWSKI

B I L A N S

abstrakcyjnej i teoretycznej staje się bardziej praktyczną, wyczuwalną, konkretną.

Wreszcie „dialog“ otwiera drogę do ekumenizmu, czyli upragnionej jedności świata chrześcijańskiego (temat to zbyt obszerny by go tutaj poruszać).

Niestety, wydaje się jednak, że skutki ujemne „dialogu“, są liczniejsze i „cięższe“, więc też przechylają szalę na swą stronę.

Oto niektóre z nich.

1. Osłabienie, a w wielu środowiskach, nawet zupełne zarzucenie postawy walki o triumf Wiary. Oczywiście, w każdej epoce katolicy dają inny wyraz tej postawie walki (nie raz bywało nawet, że przybierała ona formy błędne, z którymi już walczył Paweł Włodkowic, którego teza *fides ex necessitate esse non debet* zwyciężyła na Soborze w Konstancji i została powtórzona na Drugim Soborze Watykańskim), ale postawa sama jako przekonanie, że misją Kościoła i obowiązkiem jego wiernych jest apostołstwo, tj. szerzenie Wiary, zdobywanie świata dla Wiary, dla Chrystusa, jest czymś istotnym. A kto chce się dogadać, dojść do porozumienia idzie na kompromis, nie na walkę; porzuca postawę zdobywcy, apostoła. Od czasów „dialogu“ prawie zupełnie nie ma nawróceń, ani też przejść z innych wyznań na katolicyzm. Katolicy tracą nie tylko ducha zdobywców, ale nawet i obrońców Wiary.

2. W następstwie przychodzi także i zachwianie samej Wiary (nawet wśród duchowieństwa). Wielu już ma wątpliwości co stanowi depozyt Wiary (poddaje się dyskusji i wątpliwościom nawet zawartość Credo odmawianego we Mszy św.), a za tym idzie i upadek wiary, tj. przekonania religijnych.

3. „Dialog“ rozbiera katolików, gdyż przez grzeczność, by nie urazić w czymś tych, z którymi się dialoguje lub aby ich pozyskać dla „dialogu“, idzie się na ustępstwa, które z czasem wpływają na wyrobienie się nowego stylu życia katolików, no-

wych przekonania, praktyk, często bijących w istotne zasady Wiary. Dzieńsze obrazoburstwo jest wymownym tego przykładem. Kiedy zaczęto zapraszać niekatolików do świątyni katolickich na wspólne obrzędy religijne, aby nie urazić w czymś zaproszonych gości, zaczęto usuwać z kościołów figury i obrazy Matki Bożej i świętych. W większości wypadków, raz usunięte, znikły na zawsze i tak zaczęło się dzisiejsze obrazoburstwo, które w wielu krajach przybrało formy zupełnie świętokradcze, jak np. wyrzucanie poświęconych figur do morza, palenie, sprzedawanie na jarmarkach (ileż tabernakulów używa się dziś jako budy dla psów!) Dodajmy, że są to też niepowetowane straty niezliczonych dzieł sztuki, gdyż obrazoburstwo ma zawsze charakter barbarzyński, niszczyielski. Ale w miarę jak postępuje i rozwija się „dialog“ zaprasza się do kościołów już nie tylko ludzi z innych wyznań chrześcijańskich, lecz także i Żydów i ateuszy i aby nie stało na przeszkodzie usuwa się nawet i krzyże. A usuwanie symbolów Wiary podważyło i samą wiarę, tj. wierzenie i otworzyło drogę do przenikania do środowisk katolickich wątpliwości w wiele dogmatów. Te „dialogowe“ nabożeństwa i zebrania zubożyły także i nauczanie katolickie, gdyż — aby nie urazić gości — zaczęto się ograniczać w kazaniach, przemówieniach i wykładach tylko do tematów, które są wszystkim wspólne, a unikać tego co mogłoby dzielić, a przecież istotne w naszej Wierze jest właśnie to co nas odróżnia od innych, od pogan czy hereetyków.

4. „Dialog“ stał się też okazją dla przenikania do środowiska katolickiego poglądów i praktyk obcych katolicyzmowi, a nawet zupełnie niezgodnych z Wiarą. Każda bowiem praktyka religijna jest przejawem pewnych wierzeń. Przejmując praktyki, przejmuje się także i zasady, wierzenia, na których jest oparta. Ilustracją może być nowa praktyka odprawiania Mszy św. twarzą do ludu. Zwyczaj ten w Anglii został wprowadzony rozporządzeniem królew-

DIALOGU

skim w roku 1552, które nakazało usunięcie dawnych ołtarzy i zastąpienie ich stołami w pośrodku kościoła, a wyrażało pogląd, że Msza św. nie jest powtarzaniem Ofiary Krzyżowej, a tylko symbolicznym przypomnieniem Ostatniej Wieczerzy. Gdy dziś katolicy wprowadzają tę praktykę, niejednokrotnie ulegają nieświadomie tej sugestii protestanckiej pojmowania Mszy św. tylko jako „uczty eucharystycznej“, zapominając o jej charakterze Ofiary i dlatego nawet usuwa się krzyże z tych nowych ołtarzy-stołów.

5. „Dialog“ także ułatwia przemówienie przez katolików poglądów i praktyk wręcz heretyckich i nawet pogańskich. Przykładem pierwszych może służyć sposób w jaki w wielu krajach traktuje się dzisiaj Najświętszy Sakrament. Ulegając protestanckiemu ujmowaniu tajemnicy Przeistoczenia, umniejsza się kult Najśw. Sakramentu, a nawet niejednokrotnie usuwa się go całkowicie z kościołów. Przykładem praktyk pogańskich może być zwyczaj, zaprowadzony ostatnio w wielu klasztorach, gromadzenia się wieczorem na modlitwy nie w kościele przed Najśw. Sakramentem, ale w ogrodzie, „w świątyni natury“, wokół ogniska, urządzając uroczyste procesje z zapalonymi świecami, śpiewami, itp., zapewne nie zdając sobie sprawy, że w ten sposób odnawia się stary kult pogański ognia. Praktyki te są szczególnie niebezpieczne w krajach, gdzie wierzenia pogańskie są nadal bardzo żywe nawet wśród ochrzczonych, jak w Afryce czy Ameryce Południowej.

6. Także „dialogowi“ w dużym stopniu można przypisać rozluźnienie obyczajów wśród katolików, gdyż chaos dogmatyczny i moralny jaki zapanował na skutek dialogowania podważył zasady moralności katolickiej. Oto tylko jeden przykład dla ilustracji. Któż z nas nie pamięta jak to jeszcze przed wojną Kościół zwalczał ideę tzw. małżeństwa na próbę. A dziś jedno z czołowych czasopism jezuickich szerzy właśnie tę ideę, zalecając katolikom najpierw zawieranie małżeństwa cywilnego, a

dopiero po latach współżycia ewentualnie zawieranie małżeństwa kościelnego, sakramentalnego.

7. „Dialog“ znakomicie został wykorzystany przez komunistów. Czego komunizm nie zdołał dokonać w ciągu pięćdziesięciu lat to z łatwością osiągnął w ciągu ostatnich pięciu, jeśli chodzi o przeniknięcie środowiska katolickiego, w krajach gdzie ten „dialog“ ma miejsce. To głównie dzięki „dialogowi“ katolicy porzucili dotychczasową postawę walki z komunizmem, tak zdecydowanie wymaganą przez wszystkich papieży poczynając od Piusa IX (jeszcze przed Manifestem Komunistycznym). Zamiast walki jest obecnie współpraca. Zaczęło się od „dialogowania“, od rozmów, a później przyszła wspólna akcja. Najpierw wspólne manifestacje na rzecz pokoju, później konkretne wspólne manifestacje polityczne (jak np. przeciwko wojnie w Wietnamie) i tak doszło się już dzisiaj, w wielu krajach, do stałej współpracy politycznej, w której katolicy podporządkowali się komunistom. „Dialog“ otworzył komunistom drzwi do instytucji katolickich, jak szkoły, uniwersytety, prasa, radio, telewizja itp. Dziś mamy w prywatnych szkołach i uniwersytetach katolickich członków partii komunistycznej nie tylko studentów, ale także jako profesorów, wykładowców i wychowawców; mamy ich w dziennikach katolickich jako pisarzy, współpracowników i nawet jako redaktorów, mamy ich jako dyrektorów radia i telewizji katolickich. A nie trzeba dodawać, że komuniści tę swą obecność w instytucjach kościelnych należycie wykorzystują. Stąd nic dziwnego, że marksizm-leninizm szybko przenika do środowiska katolickiego do tego stopnia, że nawet w wielu listach pasterskich biskupów spotykamy się nie tylko z terminologią marksistowską, ale nawet i z poglądami komunistycznymi i nawoływaniem do współpracy z komunistami i to w krajach wolnych, tj. nieopaniowanych jeszcze przez komunizm.

Oczywiście, że wspomniane tutaj objawy nie są tylko skutkiem „dialogu“, ale niewątpliwie „dialog“ po-

B.D.I.C

nosi w tym główną odpowiedzialność.

Zapewne można byłoby uniknąć wielu tych niewłaściwości, gdyby „dialog“ był prowadzony przez katolików tak, jak tego sobie życzył Paweł VI. Niestety, wypowiedzi Papieża o „dialogu“ są przemilczane, a stąd i ogółowi katolików nieznane i w praktyce „dialog“ jest prowadzony w sposób narzucony katolikom przez „drugą stronę“.

Tak więc bilans „dialogu“ jest dla Wiary zdecydowanie ujemny.

KSIĘGARNIA POLSKA W PARYŻU

123, Bld. Saint-Germain, PARIS 6.
Tel.: 326 04-42

OSTATNIE NOWOŚCI WYDAWNICZE

Hamel — „SŁOWNIK FRANCUSKO-POLSKI“ Fr. 20.00

Hamel — „SŁOWNIK POLSKO-FRANCUSKI“ Fr. 20.00

Marek Hłasko — „SOWA, CÓRKA PIEKARZA“
Nowa powieść znanego pisarza
206 stron Fr. 15.00

Zygmunt Zaremba — „SŁOWO O WACŁAWIE MACHAJSKIM“
Studium o polskim rewolucjonis-
cie, przyjacielu Stefana Żerom-
skiego 146 stron Fr. 9.00

Szymon Konarski — „O HERALDYCE
I HERALDYCZNM
SNOBIZMIE“
Źródłowy szkic historyczny
90 stron Fr. 12.00

— „POLSKA W PAMIĘTNIKACH
GEN. de GAULLE'A, 1944—1946“
(wznowienie)
Wybór tekstów i przedmowa
Kajetana Morawskiego
40 stron Fr. 5.00

Doskonała książka na nagrody młodzieży w szkołach przedmiotów ojczyźtych

ICH MŁODE LATA

JADWIGI OTWINOWSKIEJ

Opowieść o chłopcach z Legionów

Cena: 9/-

„GRYF“ — 171, Battersea Church Rd.
London, S.W. 11.

ZMIANY W GÓRZE

PRZEJŚCIE w stan spoczynku generałów Bordziłowskiego i Kuropieski, a przede wszystkim zastąpienie Ochaba „marszałkiem Polski“ i dotychczasowym ministrem obrony M. Spychalskim, spowodowało nie tylko liczne przesunięcia na szczytach Ludowego W.P., ale także znaczne odmłodzenie jego starszyny. Jest ona obecnie chyba najmłodsza wiekiem wśród generacji układu warszawskiego, a przeciętnie o około 15 lat młodsza niż wojskowa starszyna państw zachodnich.

Nim zapoznam Czytelników z „napoleońskimi“ karierami jej czołowych przedstawicieli, nakreślę dokonane przetasowania i obecną obsadę najważniejszych stanowisk.

Ministrem obrony został dotychczasowy szef sztabu generalnego, gen. dyw. Wojciech Jaruzelski, mający niespełna 45 lat.

Szefem sztabu generalnego i II wiceministrem został jego rówieśnik i dotychczasowy zastępca, gen. dyw. Bolesław Chochy.

Głównym inspektorem szkolenia i III wiceministrem zamianowany został gen. dyw. Tadeusz Tuczapski, dotychczasowy zastępca gen. broni Bordziłowskiego, mający dopiero we wrześniu 46 lat.

Jedynie najstarszy obecnie wiekiem i starszeństwem wiceminister i szef głównego zarządu politycznego W. P., gen. Urbanowicz, mąż zaufania naczelnego politruka sowieckiego, gen. Jepszewa, utrzymał się na dotychczasowym stanowisku. Jest od poprzednio wymienionych o 7 lat starszy.

Pozostał bodaj także dotychczasowy główny kwatermistrz W.P., gen. dyw. Wiktor Ziemiński.

Utrzymali się również na swoich stanowiskach dowódca marynarki wojennej wiceadmiral Studziński, b. oficer sowiecki, i dowódca lotnictwa i obrony plot. gen. dyw. J. Raczkowski, no i oczywiście gen. dyw. Korczyński, były szef wywiadu i kontrwywiadu, a od kilku lat dowódca O.T.K., czyli obrony terytorialnej kraju i także wiceminister.

Duże zmiany nastąpiły natomiast w dowództwach okręgów wojskowych. Dotychczasowego dowódcę Okręgu Warszawskiego, gen. dyw. Waryszaka, który ma 49 lat i został mianowany inspektorem baz i skład-

nie sprzętu, zluzował gen. dyw. Huszcza, b. oficer sowiecki, i zastępca gen. Bordziłowskiego w głównym inspektoracie szkolenia. Dotychczasowy dowódca Okręgu Śląskiego, gen. dyw. Molczyk, mający zaledwie 44 lata, został pierwszym zastępcą szefa sztabu generalnego. Jego dotychczasowe funkcje przejął gen. bryg. F. Siwicki, który był szefem sztabu tego okręgu. Również w Pomorskim Okręgu nastąpiła zmiana, bo jego dotychczasowy szef sztabu, gen. bryg. Stebelski, został przeniesiony na funkcję zastępcy głównego inspektora szkolenia.

Komendantem akademii sztabu generalnego został w miejsce już 65-letniego gen. dyw. Kuropieski, przedwojennego majora, znacznie młodszego gen. dyw. Czaplewski, który był dotychczas jednym z zastępców szefa sztabu generalnego.

Dla dotychczasowego dowódcy słynnej 6. dywizji powietrzno-desantowej, gen. Rozłubirskiego, stworzono nową funkcję — szefa inspektoratu szkolenia wojsk desantowych.

Czy najstarszy obecnie rangą gen. broni Duszyński, który ongiś był głównym inspektorem szkolenia, a następnie został szefem studiów i planowania, nadal pełni tę enigmatyczną funkcję, a tym samym podlega młodszemu pod względem stopnia generałom, nie jest pewne. Głucho również o generale Bieni, który został swego czasu zdjęty ze stanowiska komendanta akademii sztabu generalnego i przeniesiony do Okr. Wojsk. Pomorze, choć był zaliczany do najzdolniejszych generałów — obok Jaruzelskiego i Tuczapskiego. Nie wiadomo również, kto zastąpił zmarłego niedawno gen. Jakubika, który był zastępcą dowódcy lotnictwa i zięciem „marszałka“ Spychalskiego. To samo dotyczy następcy usuniętego z lotnictwa gen. Maniekiewicza.

Wiadomo natomiast, że utrzymali się na dotychczasowych, dla reżimu ważnych funkcjach: gen. dyw. Pietrzak, dowódca wszystkich formacji bezpieczeństwa wewnętrznego, oraz gen. bryg. Braniewski, komendant Wojskowej Akademii Politycznej, nie

mówiąc już o osławionym gen. Moczarsze, ministrze spraw wewnętrznych, przywódcy „partyzantów“ i przewodniczącym ZBoWiD-u.

Zmiany na niższych funkcjach generalskich zostały częściowo w prasie ujawnione. Tym bardziej nie warto się nimi zajmować.

Warto natomiast raz jeszcze podkreślić, że (po odejściu Spychalskiego, który ma 62 lata, oraz jeszcze starszych Bordziłowskiego i Kuropieski) bodaj już nie ma w czynnej służbie generałów 60-letnich i że przeważają wśród nich czterdziestolatki.

Warto natomiast raz jeszcze przyjrzeć się bliżej pochodzeniu i karierom choćby tylko czterech czołowych obecnie przedstawicieli warszawskiej generacji, zajmujących kluczowe stanowiska, tzn. gen. gen. Jaruzelskiego, Urbanowicza, Chochy i Tuczapskiego, bo życiorysu piątego dygnitarza, Korczyńskiego, nistety nie znam.

Gen. Jaruzelski, urodzony w 1923 roku w pobliżu Puław w Lubelskim, pochodzi, podług „Życia Warszawy“, z rodziny inteligentnej, a, jak głosi fama, z rodziny ziemiańskiej. Wojna zastała go w szkole średniej i wymiotła, niewątpliwie jako „turystę Stalina“, na teren ZSRR. Prasa krajowa, mówi, oczywiście tylko dyskretnie, o „znalezieniu się na obszarze Związku Radzieckiego“ i podjęciu tam pracy robotnika w 16 roku życia. Nie dostawszy się do wojsk gen. Andersa, obecny minister obrony wstąpił w 1943 roku do oddziałów Berlinga, ukończył skróconą szkołę oficerską i został jeszcze w tym samym roku dowódcą plutonu w 5 pułku piechoty. Jako dowódca zwiadu pułkowego przemierzył cały szlak bojowy 2 dywizji, od Puław aż nad Łabę. Po wojnie brał aż do 1947 roku udział w walkach z antykomunistycznymi oddziałami leśnymi. Aż dziw, że wśród licznie mu nadanych, bojowych i niebojowych odznaczeń polskich, sowieckich i czechosłowackich nie ma Krzyża Grunwaldu. W następnych latach ukończył z wyróżnieniem wyższą szkołę piechoty i akademię sztabu generalnego, a następnie był wykładowcą służby szta-

WOJSKOWEJ PRL

bów, szefem zarządu politycznego różnych szkół wojskowych, dowódcą 12 dywizji, wreszcie zastępcą szefa a od 1960 szefem głównego zarządu politycznego W.P. W 1962 roku został mianowany jednym z wiceministrów, a w lutym 1965 roku szefem sztabu generalnego. Jest członkiem centralnego komitetu PZPR i od 2 lat posłem na sejm, „wybrany“ w okręgu szczecińskim. Uchodzi za człowieka zdolnego i energicznego, posiada solidne przygotowanie wojskowe i jest, oczywiście, w pełni oddany rządzącej monopartii.

Gen. Chocha urodził się w 1923 w Grodnie. Z jakiego środowiska pochodzi, prasa krajowa nie podaje. Podaje natomiast, że uczęszczał także do szkoły średniej, gdy wojna wybuchła, i że, tak samo jak Jaruzelski, „znalazł się“ na terenie ZSRR i tam wstąpił w 1943 do 1 dywizji im. T. Kościuszki. Choć w jej szeregach walczył już pod Lenino, jego udział w walkach był bez porównania krótszy niż Jaruzelskiego, ograniczył się bowiem do ostatniej fazy tępienia antykomunistycznych partyzantów w roku 1947. W międzyczasie ukończył szkołę oficerską w Riazaniu, a później pełnił różne funkcje w szkole piechoty w Lublinie. Po ukończeniu akademii sztabu generalnego w 1951 był wykładowcą taktyki ogólnej, dowodził krótko 6 dywizją i został jednym z zastępców szefa sztabu generalnego. Jakim właściwościami czy rozgryskom zawdzięcza wypłynięcie na szczyty, nie wiadomo. Jest stosunkowo skromnie odznaczony i do niedawna mało się o nim słyssało.

Gen. Tuczapki urodził się w r. 1922 we Lwowie, w którym rzekomo ukończył w 1941 roku szkołę średnią i podjął, jak głosi PAP, studia na tamtejszym uniwersytecie, jak wiadomo, wówczas zamkniętym, które bo to ładniej brzmi, „przerwał ze względu na ciężkie warunki rodzinne“. Do Ludowego W.P. wstąpił dopiero w 1944 roku, po zajęciu Lwowa przez wojska sowieckie. W lutym 1945, po ukończeniu skróconej podchorążówki artylerii, trafił do 11 pułku artylerii i wziął jeszcze udział

w ostatnich walkach 2 armii, podczas których został ciężko ranny. Po wojnie pełnił różne funkcje w oddziałach i sztabach artyleryjskich, ukończył w 1957 r. sowiecką akademię sztabu generalnego i był następnie najpierw jednym z zastępców szefa sztabu generalnego, a później zastępcą głównego inspektora szkolenia, zanim sam nim został. Jest tak samo jak Chocha, członkiem PZPR.

Gen. Urbanowicz, najstarszy z tej czwórki, urodził się w 1916 roku w głębi Rosji, bo w Orle, ukończył jakąś szkołę morską i był aż do napaści niemieckiej na Sowiety mechanikiem w sowieckiej marynarce handlowej. Następnie zgłosił się do armii czerwonej, brał udział w walkach pod Moskwą i na innych frontach i został odkomenderowany do oddziałów Berlinga na funkcję oficera politycznego. Jako politruk 4 dywizji brał udział w walkach tej dywizji od Wisły do Odry, widocznie się eksponując, bo został rzekomo trzykrotnie ranny. Po zakończeniu działań wojennych był kolejno naczelnym politrukiem marynarki wojennej, okręgu wojskowego Pomorza i lotnictwa, został następnie komendantem wojskowej akademii politycznej, a później zastępcą szefa GZP, by po objęciu szefostwa sztabu przez Jaruzelskiego w 1965 zostać szefem wszystkich politruków. Jest on niewątpliwie mężem zaufania Moskwy, a ponadto członkiem CKKP przy K. C. partii i posłem na sejm, „wybrany“ akurat w okręgu cieszyńsko-bielskim. Posiada wszystkie odznaczenia bojowe.

Jak widzimy, cała ta czołowa czwórka, zresztą bynajmniej nie jednolita pod względem pochodzenia, doświadczenia bojowego i znajomości rzemiosła wojskowego, zrobiła błyskawiczną karierę i dostała się na szczyt piramidy wojskowej w bardzo młodym wieku.

Jedynie wojskowa kariera obecnie znów na cywilne funkcje przeniesionego „marszałka Polski“ Spychalskiego była jeszcze bardziej błyskot-

liwą, choć wieloletnim więzieniem przerwana. Wszak został on w marcu 1945 zastępcą naczelnego dowódcy W.P., a w 1963 roku marszałkiem, choć nie dowodził choćby przez tydzień nie tylko armią czy dywizją, ale nawet pułkiem, batalionem, kompanią czy plutonem.

Zdumiewająco niski (przeciętnie) wiek warszawskiej starszyny wojskowej jest, oczywiście, zjawiskiem przejściowym, spowodowanym przez zwolnienie niemal wszystkich przedwojennych oficerów W.P. przez Rokossowskiego, odesłaniem po „październiku“ niemal wszystkich „popów“ do Rosji oraz przejściem wszystkich starszych „partyzantów“ czy „berlingowców“ (jak Berling, Żymirski, Zarzycki, Moczar, Spychalski itd.) na takie czy inne stanowiska cywilne. Z biegiem czasu ten przeciętny wiek się podniesie i, że tak powiem, unormalni. Zwłaszcza, że wśród obecnej generalicji warszawskiej jest bez porównania więcej rzetelnie i wszechstronnie przygotowanych fachowców wojskowych, niż było bezpośrednio po „październiku“ i że niechybnie nie brak wśród niej ludzi zdolnych i sprężystych, a rządzącej partii szczerze oddanych.

BIBLIOTEKA „KULTURY“

„Zeszyty Historyczne“

ZESZYT XIII 1968

zawiera m.in. prace:

T. Katelbach: ZET.

Wiktor Tomir Drymer: Zagadnienie żydowskie w Polsce 1935—1939.

Stanisław Kot: Wspomnienia (III)

Edward Puacz: Powstanie Warszawskie w notatkach Adama Bienia.

Witold Babiński: Ze wspomnień o Józefie Lipskim.

Tadeusz Romer: U kolebki pewnego sojuszu.

Jan Weistein: Scenariusz ministra Gafencu.

Wypadki krakowskie w ocenie sądu.

Cena: sh. 25/-, F. 15.00, \$ 3.00

Czytaj książkę polską

DZIWNE PRETENSJE

FRYDERYK Goldschlag w artykule pt. „Czapkę wicher nie sie...” („Orzeł Biały”, Nr. 45 z br.) pisze: „Za nasze położenie wewnętrzne i ostateczną katastrofę winię całe społeczeństwo, które z biernością i masochizmem znosiło wszystkie razy, utrwalając w ten sposób aparat rządzący na błędnie obranej drodze”. Autor nie rozgrzesza też siebie, lecz bije się w piersi i srodze się biczuje.

Zaiste dziwne są to pretensje zarówno do społeczeństwa jak i samego siebie. Nie można bowiem sobie wyobrazić, że całe nasze przedwojenne społeczeństwo było do tego stopnia zdegenerowane i nawiedzone tego rodzaju psychiczno-fizyczną chorobą jaką jest masochizm, polegającą na tym, że się ma przyjemność (zasadniczo płciową) w cierpieniu bólu fizycznego, zadawanego przez inne osoby.

Ponadto jeżeli Goldschlag sądzi, że gdyby nie rządziła „sanacja” moglibyśmy uniknąć „ostatecznej katastrofy” przez wygranie bez niczyjej pomocy walcząc jednocześnie przeciw Niemcom i Rosji to nie może być absolutnie dyskusji na ten temat, albowiem pewne jest, że nawet rzekomo „zbawienny” i „idealny” rząd socjalistów, ludowców i mniejszości narodowych nie dałby sobie rady z tak potężnymi wrogami.

Słusznie Adam Ciołkosz zaprotestował przeciw tak nieuzasadnionemu i krzywdzącemu posądzeniu wszystkich bez wyjątku. Osobiście niewątpliwie Ciołkosz cierpiał tak samo jak cierpi każdy przegrany polityk, ale nie było to cierpienie patologiczne, lecz rzeczywiste i przykre.

JAK BYŁO W RZECZYWISTOŚCI

Nasi rodzimi malkontenci dużo mówią i piszą o fałszowaniu wyników wyborów po 1926 r., pomimo że w niektórych okręgach wyborczych w Wielkopolsce wybierano prawie wszystkich posłów ze Stronnictwa Narodowego, a w innych częściach kraju uzyskiwały mandaty poselskie osoby należące do innych, zbyt licznych partii, nie mających nic wspólnego z „sanacją”.

Powodem było to, że podczas obliczania głosów męzowie zaufania stronnictw patrzyli sobie na palce, co uniemożliwiało nadużycia na godną uwagi skalę.

W celu uniknięcia kontrowersji wskazane jest więc ograniczyć się tylko do wyników wyborów z 1922 r., co do których nie ma żadnych zastrzeżeń i zarzutów.

Otóż w wyniku tych wyborów prawica miała w sejmie 169, Piast 70, a PPS tylko 41 posłów. Resztę mandatów uzyskały niezmiernie liczne partie, liczące od 2 do kilkunastu posłów. Prawica utraciła dużo mandatów wskutek utworzenia bloku wyborczego, złożonego z mniejszości narodowych i innych drobnych partii, przy czym blok ten rozpadł się po wyborach na swe składowe części.

Z tego widać, że gdyby w tym czasie istniał, jak w Anglii i Ameryce, jednomandatowy system wyborczy w grę wchodziłyby tylko prawica, centrum i lewica, przy czym wskutek robienia się centrum i lewicy na 2 słabe i wzajemnie zwalczające się partie ich reprezentacja w parlamencie byłaby liczbowo nawet słabsza niż obecnie jest partii liberalnej w Anglii. Inne partie byłyby zmiecione z powierzchni ziemi.

W takiej sytuacji prawdopodobnie nie powstałaby „sanacja”, gdyż byłaby niepotrzebna.

W wypadku zaś gdyby jednomandatowy system wyborczy wprowadzono później, tj. gdy już była „sanacja”, rzeczywista walka polityczna toczyłaby się między „endecją” i „sanacją”, które były do siebie tak samo podobne jak partie demokratyczna i republikańska w Ameryce, a Piast i PPS byłyby, biorąc nie tylko z osobna, lecz nawet razem, słabsze od angielskiej partii liberalnej.

Powodzenie prawicy w wyborach było, oczywiście, wynikiem tego, że korzystając ze swych praw demokratycznych głosowali na nią masowo chłopci i robotnicy, którzy stanowili ogromną większość narodu. Czynili to, niewątpliwie, z przyjemnością,

bo nikt ich do tego nie zmuszał, tak jak nikt nie zmusza angielskich robotników do głosowania na konserwatystów. Smutne to było dla polityków lewicowych i centrowych, ale nie na to nie mogli poradzić. Dziś robotnicy angielscy wybraliby, gdyby mogli, konserwatystę i rasistę Encha Powella na stanowisko premiera prawie jednogłośnie.

SYTUACJA GOSPODARCZA

W 1922 r. powojenny stan gospodarczy kraju był bardzo ciężki. Lud polski jednak nie szukał ratunku i pomocy u lewicowych doktrynerów. Prawdopodobnie odgrywała tu pewną rolę nieuzasadniona i przesadna obawa przed wewnętrznym bolszewizmem.

Później jednak, zwłaszcza po 1928 roku, sytuacja gospodarcza zaczęła szybko się poprawiać. Wprawdzie płace nominalne wzrastały bardzo powoli, ale za to gwałtownie spadały ceny. Statystyka przyjmuje za punkt wyjścia rok 1928, kiedy ustalono złotego i nastąpiła względna stabilizacja gospodarcza. Od tego czasu do 1938 r. ceny spadły prawie o połowę. (Wskaźnik z 1928 roku 100, wskaźniki zaś za 1938 r.: artykuły przemysłowe 59, a rolne tylko 50 — przeciętnie 57). Uwzględniając drobne podwyżki płac nominalnych widzimy, że płace realne w tym okresie podwoiły się, a tym samym podwójnie wzrosła stopa życiowa. Nie było to więc małe osiągnięcie w tak krótkim czasie i gdy świat uginał się pod brzemieniem kryzysu gospodarczego. Było to raczej coś w rodzaju „cudu gospodarczego.”

Czy w takiej sytuacji można było skłonić szarego człowieka w Polsce do głosowania na lewicę, a nawet do otwartego buntu? Biedni ludzie nigdy nie buntują się, gdy stale i systematycznie poprawia się ich stan materialny. Buntują się natomiast nawet bogaci, gdy ich stopa życiowa systematycznie się obniża.

W 1927 r. chłopci strajkowali nie dlatego, że ich sytuacja materialna

(Ciąg dalszy na str. 31)

TAM SIĘ TEŻ ŻYŁO (IV)

KAPIEL: Raz na kiedyś biorą nas Niemcy do kąpeli. Szykujemy się co tego jak na bal, wyprowadzają nas przecież za druty. Eins, zwei, drei, odliczają Niemcy piątki albo ósemki w tłumie wijącym się jak węgorze w beczce. Niektórzy z nas warują godzinami przed bramą, żeby być pierwszymi w pochodzie. Po co, trudno powiedzieć. Kiedy wychodzimy na szosę i tak następują zmiany w kolejności. Ludzie z końca wrywają się na początek, nie wszyscy mogą nadążyć, w sabotach chodzi się wolniej niż w butach. „Jak wam nie wstyd! Przecież Niemcy patrzą!“, krzyczą poszkodowani, którzy z „wystanych“ pierwszych szeregów znaleźli się w ostatnich.

Tam i sam na szosie pracują kaelowcy, ubrani w pasiaki, ludzie różnych narodowości i wyznań, mówiący wieloma językami. Kiedy Niemcy odwracają się, patrzą na nas tępych oczyma, w których czasem, szczególnie na widok dziecka, zapala się iskierka zainteresowania. Często jesteśmy świadkami scen katowania i tortur. Nieruchomy strzęp człowieka w rowie; inny ciągnie wóz z trupami, jeszcze wciąż szlachetna głowa i ręce artysty z długimi palcami, czarne i pokrwawione. Rzuca się na niego tresowany wilczur, wyrwa kawał mięsa z łydki. „Ha-ha-ha, dobry dowcip“, śmieją się Niemcy, kiedy głowa w błocie, a z nogi spływa tania ciecz, ludzka krew. Pies z wywalonym ozorem obwąchuje swoją ofiarę albo trupy, które wypadły z wozu. Po bokach szosy, za drutami, kłęczą albo kucają tysiące w pasiakach, makabryczne grządkki ludzkiego cierpienia.

Nasz strażnik, zwany „Blutwurst“, bo lubi krew, wrzeszczy: „Schneller, du alte Gänse, verfluchte Dreck“, i popęda nas pejczem. Idziemy dalej, co można zrobić?

W jakimś miejscu na szosie otulonej w tumany kurzu albo tonącej w błocie kończą się koleczaste druty i zaczynają osiedla niemieckiej obsługi. Jasne domki z błyszczącymi szybami, przez które łapiemy wzrokiem obrazy mebli, kanapki, fotele. Mój Boże, nawet fotele! Białe firanki, świeczniki, lampy z kolorowymi abażurami, na stołach kwiaty, wszystko to dla nas niedostępne marzenie, katalizatory nostalgii. Domki otoczone są wypielęgnowanymi trawnikami, grządkami i cienistymi drzewami, które czasem boleśnie kwitną.

Kopce brukwi i kartofli śmieją się szydyczko okrągłymi mordkami. Żeby to jakaś brukiew potoczyła nam się pod

nogi, marzymy. Surowa brukiew jest lepsza od ananasa, żadne owoce na świecie nie będą już miały cudownego smaku brukwi.

Przed bramą łaźni następuje maratoński bieg i szczęśliwi „pierwsi“ wchodzą do lodowato zimnej szopy, aby zająć „lepsze“ miejsca na wąskich ławkach. Niemcy patrzą z pogardą, jak się pchamy, niewiadomo dlaczego. Ot tak, chyba z przyzwyczajenia, żeby być pierwszymi, wszystko jedno do czego.

Mężczyzn skierowano do męskiej łaźni, niewielu ich jest, nie przepadają za kąpielą. Rozbieramy się i czekamy aż pierwsza tura wyjdzie spod pryszniców. Masa nagich ciał, piersi, piersiątki, tyłki, zady, cienkie uda albo flakowate brzuchy opadające w pomarszczonych fałdach albo jeszcze gładkie, zapadnięte. Ciała jak szkielety, albo potwornie rozdęte, tłoczą się, depcą sobie po piętach, ocierają się o siebie. „Brr, jakaś ty zimna!“ „Zabierz te lodowate łapska!“ Gesia skórka i obrzydliwy kolor skóry odbierają ciałom normalny wygląd. Krzyki, jazgot, kobiety mają zawsze coś do powiedzenia. Dzieciaki skaczą na nagusa, wyciągają spod ławek łachy, zostawione przez poprzedników, może się przyda. W zielonych mundurach kręcą się bademajstrzy, na których nie zwracamy uwagi. Na nich także nie działała ta wystawa wyniszczonych kobiecych aktów.

W pełnej pary łaźni świeci mała żarówka, jak klejnot w opalowej oprawie. Z otworów w suficie, z których wiele nie działa, leją się wąskie strumyki ciepłej wody. Nieomal zawieszona w masie kobiecych ciał, walczą zawzięcie o kawałek miejsca pod czynnym prysznicem. Trzeba szybko myć Bobusia, żeby chociaż kilka chwil móc rozkoszować się luksusem ciepłej wody, pieszczącej sponiewierane ciało. Przymykam oczy, wyciągam ręce do góry, jak dobrze! Naraz oczy zachodzą mi łzami, przeszłość wybiera sobie dziwaczne momenty, żeby się przypomnieć, dobrze że mroczno i mgliście, nikt nie widzi.

„Halt, genug!“ ryczy bademajster zieleniający w oparach. I zamiast krótkotrwałej rozkoszy wilgotnego ciepła, lodowate chłaiście. Wyskakujemy szybko spod pryszniców i do komór.

Ciemne i głębokie komory robią przykre wrażenie, szczególnie na początku. Pod pałapem, na podłodze pełzają węże rur, czernią się pręty i sztangi, czym głębiej wchodzisz w tajemniczą ciemność, tym lepiej i bardziej śmierzdi. Czy w takich komorach zginęła matka,

ojciec, dziecko, mąż? Czy takie komory widziały ich ostatnią mękę? „Wydaje mi się, jakby Lilusia błagała mnie o pomoc“, mówi Sonia, której wywieźli ośmioletnią córkę. „Czuję rączkę Adasia, czuję...“, szepce Niuta, której podczas selekcji wyrwali czteroletniego synka i zbitą do nieprzytomności zostawili przy życiu, chociaż błagała, że chce iść z dzieckiem.

Na żelaznych wózkach z ramiączkami wsuwają się do komory nasze łachy, które były w parówce na odwszeniu. Wymiętoszone, jeszcze dymiące, często z wypalonymi dziurami. Nieraz znajdujemy na nich wazy, żywe i wesole, jakby nigdy nie. Znow porcja krzyków, żeby ubierać się prędzej, i wreszcie zmęczone, z przymrużonymi od półmroku oczyma, wysuwamy się na światło dzienne. Mężczyźni już czekają.

Wlecemy się szosą, z narzuconymi pledami, z owiniętymi w szmaty mokrymi włosami. Czasem, która nosi kapelusz, który najśmieszniej wygląda w tym otoczeniu. Trzeba mocno trzymać dzieci, które rozbiegają się na boki, skuszone iluzoryczną swobodą, przestrzenią, płatami zielonej trawy. Ubrani jak z igły spacerują Niemcy, w idealnie zaprasowanych mundurach, świecących od galonów, naszywek, guzików. Rewolwery za pasem, skórzane pejce w rękę, wielkie szare psy u boku. Czasem żołnierze trzymają w rękę chleb, nieraz któryś cisnął nam kawałek. Żołnierki kręcą tyłkami, popisując się filmowymi płaszczami lub pelerynami na futrze. Moni woła do Hildy, Kocham, i tęsknym wzrokiem obejmuje dziewczynę z innego obozu, która ginie w ruchomym tłumie.

Ciekawe, czy ci, którzy zostali mieli rozum nie otwierać kotłów ze zupą, tak chce się zjeść coś ciepłego, kiszki tańczą jeszcze żwawiej niż przed kąpielą. Zostawili. Rzucamy się na kotły, jak dzicy.

ZMIENIAMY SIĘ W OBÓZ ZAGŁADY

Naprzeciwko naszych baraków, za drutami, były niemieckie magazyny, w których zbierano rzeczy po wykończonych, oraz stajnia i chlew, stanowiące rozrywkę dla dzieci, szczególnie, kiedy świnie uciekały, a żydowscy „robotnicy“ musieli je łapać. W magazynach zauważyliśmy kiedyś walizkę z nazwiskami pierwszej dwutysięcznej grupy, którą wysłano od nas w maju 1944,

(Ciąg dalszy na str. 14)

rzekomo do Bergau. Woleliśmy nie komentować.

Naraz, był to koniec 1944 r., albo może początek 1945 r., magazyny zaczęły pękać, wypływały ze siebie tysiące rzeczy, których nie mogły pomieścić. Niemcy zaczęli w tym okresie zwozić do Bergen-Belsen majątek rabowany w całej okupowanej Europie: urządzenia szpitalne, biurowe i fabryczne, wspinały meble, pełne walizy. Mokły na deszczu srebrzyste Roentgeny, kruki wily sobie gniazda w świecznikach z brązu i skomplikowanych maszynach, aksamitną pleśnią pokrywały się skórzane fotele.

Z dnia na dzień obóz Bergen-Belsen zmieniał swój charakter. Ewakuowano ludzi z innych „zagrożonych“ obozów, z łapanek, z wysiedleń, a także mniej ważnych jeńców wojennych. Większość byli to Żydzi, ale mnóstwo było i nie-Żydów. Przed zamkniętymi między zwojami kolezastych drutów przewijał się najbardziej nieprawdopodobny film świata. Byliśmy uczestnikami i widzami „Vernichtungslager Bergen-Belsen“.

Grubego Haassa o wyglądzie i humorach pijanego karczmarza, ale czasem z odruchami ludzkości, zastąpił Kramer, „Bestia z Oświęcimia“, fachowiec od wykańczania ludzi. Szosa zaludniła się makabrycznymi pochodami bosych szkieletów w papierowych pasiakach, lub łachmanach. Ogolone głowy, pokryte strupami lub kępkami szczeciny, rozbiegane oczy, zacięte usta. Jak potworne liszki w aureoli nieznośnego smrodu przesuwali się przed naszymi oczyma, godzina za godziną, dzień za dniem, tysiące za tysiącami.

Półnagie kobiety błagały o szczyptę proszku do prania, o agrafkę, żeby spiąć rozpadające się łachmany. Mężczyźni-widma na opuchniętych nogach z ropiejącymi wrzodami. Na nasze dzieci patrzyli ze zdumieniem, z rozrzwieniem, jakto, jeszcze są dzieci, małe dzieci? to nie wszystkie zagazowali, podusili, rozbili im główki?!

W przejściu padały urywane słowa, o wykończeniu. Trawniki i Poniatowa, o powstaniu warszawskim, o mordowni we Francji, Belgii, na Węgrzech. Oświęcim zajęty przez Rosjan... my z Buchenwaldu... z Birkenau... Drańcy... Teresienstadt. Prędko, Niemiec patrzy, pies wacha, strzępy zdań, nazwy, w najrozmaitszych językach, na migi. Wszędzie to samo, męka milionów, zguba milionów, ludzie przez ludzi.

Napięci jak struny nie mogliśmy oderwać się od drutów. Może przypadkiem spotkaliście, może słyszeliście... Przerażeni, drżący, mówiliśmy sobie, jak nam jeszcze dobrze, do kiedy? A na ekranie mózgu ból nadawał obrazy kochanych ludzi w piecach, gazówkach,

w męczarniach nie do objęcia. Serce waliło, żeby ich przedtem zabili nim... szkoda, że nie mieli trucizny... kiedy nas... Jak pijak do butelki tak wracaliśmy do drutów i pytali, słuchali bez końca.

Czasem szkielety, jeszcze wciąż ludzie, mówili, trzymajcie się, jeszcze będzie dobrze, już niedługo. Czasem nawet uśmiech zabląkał się na poranione wargi.

A KTO UMRZE WOLNYM BĘDZIE...

Spali pokotem na ziemi, w namiotach, w barakach rozsadzanych przez nadmiar ludzi. Z braku miejsca wielu spało na stojąco, niechby tylko dali. Tyfusy, świerzby, dyzenterie, jeszcze zdrowi, wszyscy razem w splocie śmierdzących ciał, w śmiertelnej intymności niehumanitarnej nędzy. Umierającym, zwanym „muzulmanami“, przydzielano szajsbety koło klozetów, gdzie konali na gołych deskach, w powodzi ekskrementów, w ciżbie bo szajsbety były także przepełnione. Ci jeszcze zipiący traktowali śmierć jak opróżnione miejsce, spali na trupach, opierali się o trupy, przykrywali zdjętymi z trupów szmatami. Inna niż normalna, śmierć była codziennym zjawiskiem, jak głód, bicie, wszy, ból brzucha; wielu marzyło o niej, jako o statecznym wyzwoleniu. Każdy kęs był ważniejszy od śmierci, pójście do latryny miało większe znaczenie, ludzie umierali tysiącami dziennie śmiercią, której odebrano ludzki charakter. W Bergen-Belsen niepotrzebnie były komory gazowe, wystarczyło krematorium. W dzień i w nocy słyszeliśmy dzikie wrzaski, wycia, jęki i strzały. Wiał się gęsty dym po bezdusznym niebie bergensbelsenowskiego piekła.

DWA RODZAJE LUDOŻERSTWA

Naturalną konsekwencją warunków było ludzstwo: pozostali przy życiu wycinali trupom wątroby i serca, jedli je na surowo. Nie budziło to w nikim oburzenia czy obrzydzenia. Ci, którzy byli jeszcze w stanie coś odczuwać, uczucia te raczej zachowywali dla „kapo“ różnych narodowości, czyli nadzorców mianowanych przez Niemców z pośród więźniów. Kobiety kapo były to ordynarne babska, kręcące grubymi tyłkami i mizdrzące się do Niemców. W wyrefinowany sposób maltretowały towarzyski niedoli, dostając za to ubranie i dodatkowe przydziały. Czasem Niemcy brali je do łóżka. Mężczyźni kapo byli jeszcze gorsi, kaci bez serca i sumienia, niemieckie narzędzia do wykańczania ludzi, zbrodniarze o wynaturzonych instynktach.

Nazistowskie metody wykańczały ludzi nie tylko w fizyczny sposób, gazem,

kułą, ogniem, czy przy pomocy dzikich psów. Także osiągnięty różnymi środkami rozkład moralny był ich ulubioną bronią, doprowadzając do podobnych rezultatów. W „szkole“ niemieckich kacetów (innych także!) fabrykowano specyficzne psychiki i charaktery wśród ludzi będących w tych samych warunkach. Kawałem chleba odebrany komuś od ust, zdjętym z innych paltem lub obietnicą, kupowali sobie Niemcy tanich katów i krwiożercze psy w ludzkiej postaci, które spełniały za nich najbrudniejszą robotę. Divide et impera, szatańską perfidią łamali resztki

BIBLIOTEKA „KULTURY“

Leopold Tyrmand

ŻYCIE TOWARZYSKIE i UZUCIOWE

*Powieść o potędze małości
w socjalizmie*

Cena: sh. 43/6, F. 26, \$5.50

Wzmocniające nerwy i oczyszczające krew, a będziecie cieszyć się zdrowiem i wzmoczoną wydajnością w pracy!

Wyciąg z życiodajnych gruczołów zwierzęcych

KALEFLUID

Używanie naszego preparatu polepsza stan zdrowia w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia, depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania, zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym. W sprzedaży w wielkich aptekach. Wysyłamy bezpłatnie w języku polskim przepisy używania.

Laboratoire B. KALEFLUID

**FRANCJA
66, BLD. EXELMANS. PARIS 16-e.**

**PODSTAWĄ ISTNIENIA PISMA
JEST REGULARNIE OPŁACA-
NA PRENUMERATA**

ludzkiej godności i lojalności, szczerli brata na brata, rozpalali walkę „klas“ między tymi, którzy jeszcze coś mieli, a tymi, którzy nie mieli do stracenia nawet sumienia czy erca. Ten trick duchowej degradacji stosowali Niemcy także poza obozami, we wszystkich okupowanych krajach, nawet w rodzinnych Niemczech, ale w specyficznych warunkach obozów trudniej było ludziom bronić się. Maltretowani więźniowie bali się kapo więcej niż Niemców, płaszczli się przed nimi, nienawidzili ich. Byli tacy, którzy w szybkim zrywie buntu przeciwstawiali im się, aby jeszcze prędzej zamilknąć na zawsze, od kuli, psów, czy na szubienicy.

Kiedy bezradnie obserwowaliśmy robotę kapo, daremnie przemawiając od czasu do czasu do ich ludzkich uczuć, tkwiło w nas jak kolec pytanie bez odpowiedzi, dlaczego właśnie oni uratowali się, ratują się. Gdzie podzieli się ludzie wielkiego ducha, zwyczajnego ducha, jak to może być; zamykaliśmy oczy, żeby nie widzieć, zatykaliśmy uszy, żeby nie słyszeć.

FILOZOFIA ŁODZI RATUNKOWYCH

W związku z napływem dziesiątków tysięcy ludzi zaprowiantowanie było coraz gorsze. Na każdym kroku odczuwało się rozprzężenie i dezorganizację. Niemiecką załogę zmniejszyła się, pozostało więcej kobiet niż mężczyzn, sadystyczne Walkirie o blond ondulowanych włosach, coraz w innych strojach. Nawet esesowcy zdawali sobie już sprawę z sytuacji politycznej, jednostki zaczęły wymykać się z karbów żelaznej dyscypliny, wątpliwości zastąpiły u niektórych bezprzykładną butą. Niemcy zaczęli myśleć o zabezpieczeniu sobie pokonanego jutra, wobec czego, prócz normalnych rabunków, kombinowały z odważniejszymi kacownikami, za których pośrednictwem wymieniali żywność na kosztowności, oczywiście, kosztem olbrzymiej większości tych, którzy nic nie mieli. Dla uzyskania alibi ludzkości byli nawet tacy, którzy rozraczali opiekę nad jednostkami z pośród więźniów, kapo czy nie kapo.

Ci z więźniów, którzy nie byli jeszcze w stanie zupełnej apatii czy wycieńczenia, byli zdesperowani, zdolni do wszystkiego, żeby tylko przeżyć, dożyć. Prócz kombinacji z Niemcami, zastrzeżonych dla najzaradniejszych, a więc liczonych na palcach, ludzie okradali niemieckie kuchnie, łapali z kopców brukiew, kartofle, czasem najbardziej poszukiwane cebule. Także kilku cwaników z naszego „Sonderlager“ chodziło na nocne wyprawy po żywność.

Początkowo komisja obozowa starała się karać tych „złodziei“, zabierając im dodatkowe pledy, czy część przy-

działów, konfiskując łupy. Ale zrozumiały w naszych warunkach brak konsekwencji i coraz straszliwszy głód spowodowały, że wyprawy nie ustawały. Jako członek sądu obozowego, którego wyroków nie miał kto wykonywać, parafrazowałam powiedzenie, że cnota to chroniczny brak okazji, wobec czego byłam bardzo pobłażliwa dla tych, mających okazję nie być enotliwymi. Chociaż, prawdę mówiąc, mogło to mieć tragiczne skutki dla całej grupy, zbiorowa odpowiedzialność itp.

Interpelowany przez zawistną gromadę niezaradników, jeden z naszych przywódców powiedział uczciwie, że jak okręt tonie, nie można zatopić łodzi ratunkowych tylko dlatego, że nie wszyscy w nich się mieszczą. Od tego czasu wyprawy stały się właściwie usankcjonowane, ku rozgoryczeniu tych, którzy w nich nie brali udziału. Szczególniej kobiety były bardzo rozżalone, a powiedzenie o łodziach ratunkowych stało się dla nas przysłowiem. Nie odstraszały ludzi nawet trupy, które często leżały przy kuchni przez kilka dni, w celach profilaktycznych i dla pokazania, że bohaterzy Niemcy umieją bronić swoich zapasów.

ŚWIAT JEST MAŁY

Wśród nowoprzybyłych niektórzy „szczęśliwcy“ odnajdowali krewnych i znajomych, dowiadywali się czegoś o najbliższych. Nie zapomnę, jak ośmiolletnia Halinka, którą uważaliśmy wszyscy za okrągłą sierotę, Bronka opiekowała się nią, chociaż dziewczynka była bardzo trudna, robiła pod siebie itd. — rozpoznała matkę w potwornej kobiecie w pasiaku. Histeryczny wrzask dziewczynki, dziki wzrok kobiety. Nie można było ujawnić prawdy, bo Halinka była na fałszywych papierach na inne nazwisko, wobec czego opowiedzieliśmy nadzorczyńni jakąś bujną bajkę, że pozwoliła ona matce i dziecku pocałować się przez druty.

Mężczyzna z węgierskiej grupy odnalazł żonę i córkę, aby zaraz je stracić jeszcze raz, bo przeznaczone były na wykończenie. Specjalnie Radomianie „odkrywali“ dużo znajomych, czego im szczerze zazdrościliśmy. Po nacieszeniu się bliskimi i nawet nie tak bardzo bliskimi, którzy naraz stali się najbliższymi, ludzie często wyzyskiwali pozadrutowe znajomości dla celów handlowych, dla zdobywania gazet, czy wiadomości. Niektórzy pomagali tym jeszcze bardziej nieszczęśliwym od nich samych.

Ja sama nie próbowałam nawet szukać, wstydziłam się pytać, słowa stawały mi w gardle na sam widok skazanych na zagładę. Jak to normalnie w życiu bywa, nie widziałam swojej sytuacji, widziałam ich. Zaszłyłam się na przyce godzinami, nie mając siły ani odwagi dojść do drutów. Prosiłam, pytajcie, może czasem, ale nie chciałam wiedzieć, nie wierzyłam już w to „może“, którego niektórzy trzymali się, jak tonący brzytwy. Te dziesiątki tysięcy defilujących przez szosę, zdychających za drutami, to byli inni ludzie niż ci, których mi zabrali; to był inny świat, niż ten do którego tęskniłam. Będąc na wykończeniu wśród wykończonych wydawało mi się, że mój świat znikł bezpowrotnie, a świadomość, że bolała czasem więcej niż głód.

Mina Tomkiewicz

Co wysłać teraz ?

Po co pudłować skoro poinformuje najlepiej najnowszy biuletyn TAZABA ★ ★ ★ (TRZY GWIAZDY)

„POŁO“ bluzki, z kołnierzykiem lub „Golfy“? Ortaliony? Jeżeli — to tylko dobre i z wszystkimi „szykanami“ bo dobry gatunek najlepiej się optaca.

OSTRZA do golenia „Gillette Super Silver“, kalkulujące się u TAZABA: £1 ca: 500 zł., sprzedają się „jak bułki“ po 12—15 zł. za sztukę (clo 75 gr. za sztukę). Łącznie z wysyłką: 50 szt. 29/6; 100 szt. 55/-; 500 szt. £12,15.0; 1000 szt. £22.15.0.

Biuletynami ★ ★ ★, najnowszymi cennikami najbardziej aktualnych leków angielskich, niemieckich, szwajcarskich i doświadczeniem 20 lat służy

Największy na świecie Polski Dom Wysyłkowy

TAZAB 22, ROLAND GARDENS, LONDON, S.W.7.
100 EAST 10th STREET, NEW YORK,
TEL. ALGONQUIN 4-4161
20 RUE LEGENDRE, PARIS 17e. — TEL. WAG 0045

Moja działalność w czasie

Współpraca moja jako prezesa PCK z organizacjami Ruchu Oporu nie ograniczała się oczywiście do spełniania tej roli natury technicznej. Było zgoła inaczej. Porozumiewanie się kierowników akcji bojowej, Ruchu Oporu, POWN (Monika) z prezesem PCK stało się pewnego rodzaju obyczajem, jeśli nie prostą koniecznością. Przede wszystkim dotyczyło to spotkań, rozmów, „uzgodnień“ z Aleksandrem Kawałkowskim, z którym — bywało — układaliśmy wspólnie teksty odezw czy broszur, zwykle w Grand Hôtel de Savoie, dokąd przyjeżdżał szef „Moniki“, a gdzie ja miałem zwyczaj zatrzymywać się, gdy przyjeżdżał do Grenoble na zebranie PCK. Poza tym — ze Stanisławem Zabiełą, a po jego aresztowaniu z ministrem Tytusem Komarnickim, z płk. J. Jakliczem i szeregiem innych działaczy cywilnych, zwłaszcza emigracyjnych, oraz wojskowych i całego szeregu osób zarówno cywilnych jak wojskowych, których nazwiska wypływały lub wysunęły się chwilowo z mojej pamięci.

Nie byłem wprawdzie formalnie członkiem zaprzysiężonym POWN (Monika), ale jak mi kiedyś po powrocie moim z Buchenwaldu oświadczył Aleksander Kawałkowski — uważano mnie tam za „swojego“ i nawet posiadałem coś w rodzaju pseudonimu („Profesor“) używanego potocznie w konspiracji.

Ten właśnie stosunek — milczącego porozumienia i subordynacji — pozwalał władzom POWN (Monika) na korzystanie z moich stosunków i z mojej pozycji dla celów organizacyjnych POWN i w ogóle Polskiego Ruchu Oporu.

Dla przykładu wspomnę tutaj o wypadkach mojej bezpośredniej interwencji u „przyjaciół-Francuzów“ na żądanie władz POWN. Dat tych wydarzeń, niestety, nie pamiętam. Jedną z tych interwencji dotyczyła szkoły w Voiron czy uczniów-Polaków do niej uczęszczających. Nie umiem określić celu interwencji. Pamiętam jednak, że była dość śmiała i ryzykowna... Pojechałem natychmiast do Vichy i zwróciłem się do wielce mi przyjaznego dawnego dyrektora generalnego nauk technicznych w Ministerstwie Oświaty, którego — pomimo dość bliskich stosunków osobistych — znałem po prostu jako Monsieur Luc. Był to ten właśnie Monsieur Luc, którego spotkałem przypadkiem tuż po klęsce wojennej francuskiej. Witając się ze mną serdecznie, wprost po bratersku, zawołał z rozpaczą w głosie: „On vous a trahi! On nous a trahi!“ po czym z właściwą sobie precyzją zaczęła wyliczać: „60 (?) dywizji w Polsce, a najwyżej 20 najsłabszych pozostawionych na francuskim froncie! Tyle a tyle (liczb nie pamiętam) czołgów

w Polsce, a (znikoma liczba) pozostawionych na Zachodzie! Tyle a tyle samolotów! ...etc.“ To równie patetyczne jak patriotyczne nagłe wynurzenie słysząc do dziś w jego pełnej tragicznego oburzenia intonacji... Do dziś jeszcze zastanawiam się co miało znaczyć owo „On“. Kto zdradził? Otóż obecnie — ten pan Luc — bez chwili wahania uczynił zadość mojej prośbie. A znając jego niezwykle bystry i przenikliwy umysł, wiedziałem, iż zdaje on sobie sprawę doskonale, że współdziała w tym wypadku z „Résistance“ polską... Podobnej „pomocy przyjaznej“ nie odmawiał mi pan Luc również w wielu innych prawdopodobnie drażliwszych, trudniejszych wypadkach...

Pozwolę tu sobie na dygresję ogólniejszej natury. Mając — z urzędu — często do czynienia z ówczesnymi władzami w Vichy, muszę stwierdzić, iż spotykałem wśród tych „urzędników systemu kolaboracji“ niemałą liczbę gorących patriotów francuskich, stojących wyraźnie po stronie walczących z najazdem niemieckim i okupacją. Aby zrozumieć tę pozorną dwoistość czy sprzeczność ich przekonań i zajmowanego oficjalnie stanowiska, trzeba — sądzę — uwzględnić, w pewnej mierze przynajmniej, głęboko zakorzeniony we

Francji pogląd, który możnaby sformułować afortytcznie „Tout passe — l'Administration demeure“.

Drugi przykład tej dramatycznej dwoistości — to niezmiernie życzliwy i gorący stosunek do naszych polskich, mocno „nielegalnych“ interwencji, sekretarza generalnego Ministerstwa Oświaty, b. rektora Uniwersytetu w Strasbourg, p. Terrachet. Tu również nigdy nie spotkałem się z odmową. Pamiętam, że na stereotypowe pytanie: „Comment ça va?“ zwykł był odpowiadać: „Chez nous (en Alsace) on dit: „Tant que l'orgue tonne, le service divin n'est pas terminé!“ i dodawał: „Et il tonne de mieux en mieux!“

Otóż pewnego razu — nie umiem, niestety, nawet w przybliżeniu oznaczyć daty — otrzymałem gorące, pilne bardzo polecenie. Należało bardzo śpiesznie zawiadomić kogoś na północy Francji o grożącym poważnym niebezpieczeństwie. Wszystko zależało od pośpiechu. Siadłem natychmiast do auta i przyjechawszy na miejsce (Vichy) — bezwzględnie poprosiłem o audiencję. Zostałem w tej chwili przyjęty, a gdy wyłuszczał sprawę, Terrachet — bez słowa — wziął do ręki słuchawkę tele-

fonu i po paruminutowej przyciszonej rozmowie rzekł po prostu „Jai votre affaire... Pójdzie pan do dyrektora (nazwiska nie pamiętam), zdaje się chodziło o departament szkół powszechnych). Przyjął mnie natychmiast sympatyczny brunet i oświadczył: „Szczęśliwie się składa... Właśnie jest dobra okazja (chodziło o przejazd przez linię demarkacyjną pilnie strzeżoną przez okupanta). To mówiąc zaprowadził mnie do sąsiedniego pokoju, w którym zastałem już „inspektora“. Powiedziałem po prostu o co chodzi. Uważałem przy tym za stosowne nadmienić, iż „message“ jest ważny bardzo, ale niebezpieczny. Otrzymałem odpowiedź, która wywołała we mnie coś jak „uśmiech wewnętrzny“: „Ależ naturalnie, że wiadomość przekazać komu należy... Przecież posiadamy wysokie polskie odznaczenia: Polonia Restituta“... Zadanie istotnie zostało wykonane.

W myśl francuskiej maksymy — jamais deux sans trois — dorzucę tu jeszcze jeden obrazek“. Szczegół ten maluje jednym pociągnięciem pędzla stosunki nasze z Prefekturą w Grenoble, gdzie — wiadomo mi było — mieliśmy wśród urzędników wyraźnych sprzymierzeńców, członków zdecydowanych francuskiego Ruchu Oporu.

Otóż podczas zebrania Zarządu PCK, które odbywało się w La Tronche, zanonosowano mi przybycie dwóch dygnitarzy polskiego sądownictwa zamieszkałych w Grand Hôtelu w Grenoble, prezesów L. Supińskiego i Frenkla. Prosilili oni, abym w arcyważnej sprawie przyjął ich **niezwłocznie**. Oczywiście, prośbie tej stało się zadość. Przerwałem zebranie, aby usłyszeć z ust prezesa Supińskiego, iż przychodzą prosić o natychmiastową interwencję w Prefekturze celem wykreślenia nazwiska znakomitego prawnika polskiego p. Walfisza z listy wielce niebezpiecznej, wręcz tragicznej, osób żydowskiego pochodzenia, które mają być wywiezione do Niemiec prawdopodobnie na straconie.

Zawiesiłem natychmiast obrady zarządu PCK i pojechałem do prefektury, gdzie wpadłem „jak bomba“ do gabinetu p. Amade, sekretarza generalnego, jeśli mnie pamięć nie myli — prefektury. (Sam prefekt był zdaje się nieobecny). Wyłuszczyłem sprawę. P. Amade zbladł i wyjąkał: „c'est grave, c'est très grave... Lista już w drodze...“ Ponieważ łączyły mnie z panem Amade także stosunki literackie, jak ze szczerym poetą, nalegałem mocno, natarczy-

2-ej wojny światowej (III)

wie... Chwył za telefon... A po chwili, rzuciwszy słuchawkę wybiegł bez słowa... Czekałem z zapartym tchem w jego gabinecie. Po jakimś czasie, który wydał mi się długim bez miary, Amade wrócił z rozjaśnioną twarzą... Powiedział, że udał mu się przychwycić ową nieszczęsną listę i wykreślić nazwisko p. W., który podobno sam, w najlepszej wierze ukreślił powrót na swoją szycję, podając bez potrzeby niebezpieczne dane osobiste.

Wśród rozmów i spotkań, które nie mają bliższego związku z właściwym tematem niniejszej Relacji, wspomnę o ciekawych skądinąd, dłuższych rozmowach z osobami urzędowo, formalnie związanymi z reżymem „kolaboracji”, ale posiadającymi dość krytycyzmu, aby zdawać sobie sprawę ze swego fałszywego położenia. Istniała tu oczywiście cała gama odcieni.

A oto jeszcze na pół anegdotyczna, ale ściśle odpowiadająca rzeczywistości opowieść:

Dowiaduję się, że dawny lektor uniwersytetu katolickiego w Tuluzie został z nienacka aresztowany przez... władze francuskie, posłuszne Vichy. Grozi to, oczywiście, szybkim przekazaniem uwięzionego władzom kompetentnym niemieckim i odesłaniem do jednego z obozów koncentracyjnych. Znam stan zdrowia młodego uczonego, zdaję sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Ponieważ ówczesny minister oświaty, p. Jacques Chevalier, znany filozof i dziekan wydziału des Lettres w Grenobli był mi znany osobiście, pędzę do Vichy i proszę o natychmiastowe posłuchanie. Wprowadzono mnie prawie natychmiast do małego pokoiku. Przy telefonie grzmi, ciskając się, sam minister. Na krzeselku, tuż obok, jakiś interesant. Telefon się kończy, a minister z furią wpada na milczącego gościa i zaczyna mu bezceremonialnie wymyślać, bije pięścią w stół i nie przebiera w słowach. „Źle się zapowiada“ — myślę — i czekam. Tymczasem minister wyprawia po prostu i gwałtownie owego gościa i — z arcyuprzejmym gestem pyta czego sobie życzę. Przedstawiam sprawę jak najprościej, jak najwięcej i proszę o interwencję... może u prefekta Tuluzy? (M. Leyritz, słynnego kolaboracjonisty) podsuwam dyskretnie... Jacques Chevalier nie odpowiada ani słowem, wydając dwa bilety wizytowe i kreśli słów parę w pośpiechu na każdym z nich. Podaje mi... czytam... i oczom nie wierzę. Na wizytówce skreślono tylko tyle:

Proszę p... o spełnienie tego, z czym zwróci się do pana oddawca niniejszego, profesor Zaleski. Druga wizytówka tej samej treści, skierowana była, jeśli pamiętam, do rektora p. Bottin. Po przeczytaniu nie mogę się powstrzymać od zrobienia nieco krotchwilnej uwagi: A jeśli teraz Zaleski zażąda 100 tysięcy franków?... Gest — nieco emfaticzny — ministra towarzyszy prostej odpowiedzi, która brzmiała mniej więcej „co do tego jestem spokojny.“ Pojechałem z bilecikami do prefekta M. Leyritz — nie przyjął mnie wprawdzie osobiście — co mnie bynajmniej nie smuciło — ale kazał dać laissez passer. Odwiedziłem znanego Lucjana Bendę w prowizorycznym więzieniu, a potem już nie pamiętam po załatwieniu jakichś starań i formalności miły więzień został wypuszczony na wolność i... po dziś dzień szczęśliwie z niej korzysta.

* * *

W grubym zeszycie zakopany — po moim aresztowaniu — w dziedziawionej przez Liceum farmie pod Villard de Lans notowałem dość skrzętnie, acz bezładnie i niesystematycznie, różne rozmowy z osobistościami polskimi i obcymi, przede wszystkim francuskimi. Niestety, podczas dwuletniego z górą pobytu w ziemi, wilgoć wyssała z rękopisu atrament, a z pozostałych śladów-hieroglifów nic już podobno wyczytać nie można.

Wymienię więc również w bezładzie przypomnień długą nocną rozmowę z radcą ambasady Frankowskim przed jego wyjazdem do Anglii. Przewidywania ostrożne, bardzo ostrożne, ale nieskażone jednak ani popłochem, ani nawet wyraźniejszym pesymizmem. Snuje mi się po głowie wiele rozmów z Adamem Rose, nacechowanych wyraźnym choć na dalszą metę obliczonym, optymizmem. Jego wiara w ostateczne zwycięstwo nad Hitlerem opierała się na zestawieniach potencjału przemysłowego przeciwników.

Przypominają mi się też rozmowy z jakimś generałem francuskim wypuszczonym z niewoli, a poznanym zdaje się za pośrednictwem dziekana Uniwersytetu w Dijon — Chabot. Mówił mi ów generał coś w tym rodzaju, że jednak dzięki marszałkowi Pétainowi Francja uniknęła losu Polski... Pamiętam również życzliwe wielce, a rzeczowe w tróscę o nasze losy rozmowy z gen. Faury... życzliwe, ale lekliwe zarazem rozmowy z jakimś generałem (nazwiska nie pamiętam) prezesem Francuskiego

Czerwonego Krzyża... Ostra wymiana zdań z urzędującym w Min. Spraw. Zagran. w Vichy, p. Rochat. Pamiętam, że się w dyskusji trochę uniosłem. Załagodził starcie towarzyszący mi Adam Rose.

Inna natomiast rozmowa z urzędującym tamże p. de Hauteclouque krewnym gen. Leclerc. Trwała przeszło godzinę i wykazała przedziwną, a zadziwiająco mnie niepomatu harmonię całkowitą poglądów. Ale był to zdaje się ostatni dzień urzędowania p. de Hauteclouque w Vichy...

Podobnie rozmawiałem ze słynnym p. Wybott, stwierdzając naszą dziwną a śmiało akcentowaną zgodność, o charakterze wybitnie „Résistance“. Pamiętam, że wyznaczaliśmy sobie dość bliski termin nowego spotkania. Gdym się stawił w oznaczonym terminie, powiedziano mi — półdyskretnie — iż nie będę już miał sposobności rozmawiania tutaj z p. Wybott.

Z wymiany zdań całkowicie przypadkowej utkwilo mi w pamięci, niestety — bez daty! powiedziane mimochodem przez p. Luc'a: „wracam od marszałka Pétain... Przesłałem rozumieć jego politykę.“ No i jeszcze jedna prawie zabawna wymiana zdań z przypadkowo spotkanym w poczekalni prefekta Didkowskiego profesorem Uniwersytetu w Grenobli. Oparci o framugę okna dyskutujemy przez chwilę. „Jestem przekonany — mówi ów profesor — w razie zwycięstwa aliantów (nad Niemcami) — stracimy (Francja straci) wszystkie nasze kolonie...“ Przecież temu ze szczerzego przekonania, czyniąc w końcu ustępliwą uwagę: „Ostatecznie, ostatecznie straci Francja położone zbyt „peryferycznie“ Indochiny. Ale napewno nie ponadto... (myliłem się, oczywiście).“

Wśród tej galerii — w najprzeróżniejszy sposób związanych z ówczesnym reżymem Pétain'a i Vichy — osób, nie wszystkie bynajmniej zasługują w moim sumieniu na tak życzliwe oceny, jak Terrachet, Luc, ten i ów dyrektor, p. de Hauteclouque, a nawet Jacques Chevalier. Prawdziwych, oddanych duszą i ciałem ówczesnym rządowi Laval'a nie brakło. Nie będę ich wliczał, ani też wymieniał. Znaleźli się, niestety, i sługusi i zdrajcy i nawet okrutni siepacze.

Nie brakło tedy i ofiar, których ówczesna Polska Walcząca dostarczała oficie katom i „koncentracyjnym“ katorżnikom. Ofiary te raz jeszcze przypieczętowały krwią, torturami i okropnością obozowego istnienia w wielkie przymierza pokoleń walczących o wolność i niepodległość Ojczyzny-Polski

Zygmunt L. Zaleski

COŚ NIECOŚ

O RZADKICH ZBOCZENIACH

Niedawno pojawił się w jednym z tygodników zgoła nieszablonowy list-artykuł, pomyślany zapewne jako humorystyczny przyczynek do bogatego, ale nieco koturnowego materiału redakcyjnego. Celem wzniecenia odpowiedniego nastroju autor posłużył się słownictwem nie rozszczynającym sobie prawa do miana cenzuralnego. Z przychylnych głosów czytelników wnioskuje, ten śmiały zwrot w nieortodyksyjną stronę publicystyki spotkał się z uznaniem, a nawet natchnął fraszkopisarzy do równie zabawnych socylecizmów. Moralność widocznie nie ucierpiała i nie z myślą o niej zabieram się do analizy przedmiotu.

We wspomnianej epistoli znajduję wulgarną nazwę dyskretnej części ciała, ochrzonej potocznie terminem „podładki“, a w naukowym żargonie „nates“, cztery czy więcej razy. Raz nawet, zapewne w celu wywołania specjalnego efektu wychodzi z ust „żywo przystojnej szatynki“, Amerykanki, polskiego pochodzenia.

Następne słowo, które przykuło moją uwagę, powtarzane z lubością, to „cycki“. W literaturze fachowej, weterynaryjnej, posiada pełne prawo obywatelstwa, skoro określa narząd u zwierząt, pełniący ważne funkcje fizjologiczne. Esteci, i na tym gruncie, zastępują je „wymionami“.

W odniesieniu do piersi kobiety, zwłaszcza żony hohatera opowiadania, nabiera swoistego posmaku, chyba również celowo wzniecanego. Ta niefortunna właścicielka powyższej ozdoby figuruje w opowiadaniu męża, jako kobieta lekkich obyczajów (tak ją bez ogródek brzydtko nazywa), a syn jako potomek źle prowadzącej się matki. Po tej introdukcji autor daje próbę skatologii, co może wywołać protest właścicieli subtelniejszego zmysłu powonienia. Dla dokładności podaje, że powtarza z pasją krótkie, dosadne określenie pewnej funkcji fizjologicznej, załatwianej zazwyczaj w dyskretnych ubikacjach.

Nazywanie rzeczy po trywialnym i wulgarnym imieniu należy do ulubionych środków artystycznych Józefa Mackiewicza, Hłaski i Guzega. Darmo szukać tego sposobu w klasycznej literaturze. Jeśli Wyspiański poluje za rymem do „dorówna“ i pozwala Czepcowi, a więc

brutalnemu chamowi, znaleźć odpowiednik to jednak w relacji drukiem posługuje się kropkami. Kochanowski korzysta czasem z tego pomysłu w swych fraszkach i to samo czynią jego następcy aż do współpracowników „Szpilek“ włącznie. Zazwyczaj odbywa się to wszystko z pochwały godnym umiarem i ogranicza się więcej do aluzji, aniżeli do przesadnego realizmu.

Etykę i estetykę epoki odzwierciedlają dzieła sztuki. Prawdziwy artysta nie przechodzi obojętnie obok problemów życiowych. W swych twórcach powraca do nich i stara się przedstawić istotnego „Zeitgeist“. Jego wzmożona wrażliwość pozwala mu wyczuć przed innymi nurtujące prądy i odgadnąć kierunki, po których potoczą się kielkujące dopiero zagadnienia duchowe. Właściwy wybór środków do zwrócenia uwagi na nie i ułatwienia zrozumienia daje miarę głębi twórczości.

Artysta, zwłaszcza genialny, wyróżnia się od swego otoczenia. Cieszy się pewnymi przywilejami, a co ważniejsze — pobłażliwością. Wybacza mu się niejedno, co powoduje z reguły podniesienie brwi, gdy to czyni zwyczajny śmiertelnik. W pewnych granicach, naturalnie. Gdy konwencjonalne kryteria dobrego smaku i minimalnej dyscypliny ulegają zbyt częstemu lub jaskrawemu naruszeniu, obok krytyka wyrusza się wciśbiński psycholog.

Poufne związki między sztuką a psychoanalizą są nazbyt dobrze znane, aby do nich powracać. Z myślą o nich zamierzam poruszyć jedynie problem sprośności w literaturze. Sprośność jest główną treścią tego, co określamy ogólnie jako nieprzyzwoitość (obscenty, indécence, Unanständigkeit). Można ją wyrazić gestami, rysunkiem i — co nas szczególnie interesuje słowem. Mówimy o niej wtedy, gdy stwierdzamy naruszenie utartych form, regulujących sposób i granice opisywania wydarzeń związanych z seksem, jako też pewnymi, niezbyt apetytnymi czynnościami fizjologicznymi. Jest więc pewnego rodzaju przekroczeniem.

Szkola Freuda wyróżnia wśród pacjentów z chorobliwą aktywnością płciową dwie, w tej chwili właśnie, nas zajmujące grupy. Pierwsza, homoseksualności, kieruje pożądanie w stronę narządu,

odmiennego od tego, który skupia uwagę normalnych osobników. Rezygnuje z właściwego aparatu płciowego partnera, zastępując go innymi. Druga natomiast, zachowuje pełne uznanie dla ważności narządu płciowego, ale perwersyjnie, interesuje się nie właściwą jego funkcją, lecz zgoła inną, związaną tylko aratomicznie z narządem płciowym jego sąsiedztwem. I tak, czynności wydzielnicze (oddawanie kału i moczu) przyciągają całą uwagę i zapał seksualny zбочeńca. Istnieją i inne zбочenia, które jednak nie należą do tematu.

Te dziwne impulsy są bardzo żywe we wczesnym dzieciństwie. Nauka zwie je „coprophilia“, co oznacza zamilowanie do ekskrementów. Rodzice i pedagodzy zwalczają je i starają się tłumić jako niezgodne z ogólnie przyjętym wzorem naszej kultury. Przeciwdziałają się ich utrwaleniu i rozwojowi podobnie, jak zwalczają się pochopy sadystyczne, odgrywane (tak przemożną rolę w erotycznym życiu. W wypadkach, kiedy koprofilijne popędy utrzymują się poza okresem pokwitania, mamy obraz gotowego zбочenia.

Znajomość takiej perwersji, do niedawna jeszcze ograniczona do ekskluzywnego koła psychiatrów, obowiązuje dzisiaj każdego gorliwszego czytelnika i szarego bywalca teatralnego. Fotograf-bohater w sztuce Jules Feiffera „Little Murders“, granej obecnie w londyńskim „Aldwych Theater“, specjalizuje się w artystycznych zdjęciach kału. Jak francuzi mówią: chacun à son goût.

Z koprofiliją łączy się, lub niezależnie od niej występuje inna anomalność: coprolalia. Jest to natrętno-przymusowe, niepoahamowane sypanie sprośnymi, nieprzyzwoitymi słowami. Wydanie ostatecznego sądu o takim przestępcy następuje dzisiaj poważne trudności. Co dla jednego stanowi dostateczny powód do poddania go psychiatrycznemu badaniu, zachęca drugiego, jeśli chodzi o pisarza, do przyznania kandydatowi wyróżnienia literackiego.

Mniej rażącym, a więcej zabawnym wydarzeniem jest świadome lub podświadome potykanie się językowe. Polega na celowym lub mimowolnym przekręcaniu i zniekształceniu słów w ten sposób, że budzą kojarzenia z ambarasującymi sytuacjami. Niezrównanym mistrzem takiej improwizacji na scenie był komik Palenberg. Niespodziewana modyfikacja słowa np. u mówcy podczas uroczystej okazji, zdradza głęboko niekiedy ukryte w podświadomości nastawienie do osób i wydarzeń, kontrastujące brutalnie z oficjalnym credo. Klasyczny przykład, chętnie cytowany przez Freuda, to toast wniesiony na cześć nie-lubianego szefa. Jetzt wollen wir auf das Wohl unseres geschätzten Chefs

aufstossen (odbijać się), zamiast poprawnego „anstossen“ (trącić się kieliszkiem).

Psychiatrzy wiedzą dobrze, że w pewnych stanach chorobowych najsurowsze tabu ulega naruszeniu. Charcot opisuje przypadki chłopców z najlepszych domów, posługujących się bardzo brzydkim językiem w ataku hysterii. Notowano nawet u zakonnic bluźnierstwa i erotyczne fantazje w deliriach historycznych.

Podobne zjawiska obserwujemy również u ludzi pzornie zupełnie zrównoważonych, gdy znajdują się w dmiennym środowisku lub w niezwykłych warunkach. Jakby wentyle bezpieczeństwa otwierają się i wypuszczają istny potok rysztkowej zawartości. Proces ten stwierdziłem podczas służby wojskowej, w czasie obu wojen, u oficerów rezerwy. Z chwilą nałożenia munduru zmieniała się osobowość właściciela. Z poczuciem władzy i autorytetu szedł w parze „uwarunkowany odruch“, swobodny upust tłumionej dotychczas wulgarności, godnej lub przewyższającej repertuar niejednego zawodowego kaprala.

W okresie mej pracy szpitalnej darzyłem baczna uwagą młodych kolegów, przydzielanych na oddział leczący prostytutki. Jakkolwiek świeżo promowani, więc bogaci we wiedzę i fachową terminologię, zwolna przyjmowali nazwy zaczerpnięte z ohydneho żargonu pacjentek. Pozwalali sobie na to nie tylko w stosunku do Koryntianek — co jeszcze można było wybaczyć — ale nawet w służbowych raportach i naukowych dyskusjach. Gdy ich surowo karcilem, jedni tłumaczyli się sugestywnością i dosadnością nabytej gwary, inni, bardziej sportrzegawczy i krytyczni, — pewnego rodzaju przymusem, a nawet przyjemnością z takiego przestępstwa. Twierdził, że wyrzekając się oficjalnej, zwłaszcza łacińskiej terminologii, na rzecz gminnego wariantu zadowalali swoje potrzeby estetyczne. Zapewnianie, że dalsze oddawanie się tej perwersji wpłynie katastrofalnie na karierę, wystarczyło z reguły, aby ich uleczyć.

Przymus, o którym była przed chwilą mowa, idzie często w parze z natręctwem, obsesją. Jakaś myśl, idea powraca uporczywie i nie sposób się jej pozbyć. Czasem towarzyszy jej uczucie lęku i niepokoju. Są ludzie, którzy liczą każdą napotkaną latarnię, inni dotykają pewnych przedmiotów lub otwierają i zamykają szafy, inni myją ręce niezliczone razy, używają ostrych antyseptyków etc. Tacy osbnicy są niezdolni, mimo najlepszych chęci, powstrzymać bieg natrętnych myśli lub zrezygnować z niedorzecznych czynności. Niewątpliwie, wspomniane wyżej przejawy sprośności mają wiele cech przymusowej -neurozy. Na uwagę zasługuje, w związku z omawia-

nym tematem, typ niepoprawnego żartownisia.

Klasycznym przykładem takiego natrętnego narratora jest pan Jowialski z komedii Fredry. Sypie on żartami i anegdotami „bezinteresownymi“, pragnąc jedynie wywołać niewinną przyjemność. Żart może jednak mieć zabarwienie zaczepne i służyć do zaspokojenia sprośności. Do tego celu prowadzi tzw. tłusty żart (po angielsku: smut, po niemiecku: Zote, po francusku: obscénité). Opowiadający, zazwyczaj mężczyzna, kieruje go z reguły pod adresem kobiety. Świadomie lub intuitywnie podkreśla pewne fakty, związane z seksem, w nadziei, że słuchaczka pojmie jego stan podniecenia i sama mu ulegnie. Jeśli oczekiwanie go zawiedzie i kobieta okaże jedynie zakopotanie lub zawstyżenie, cel swój przeciw osiągnął, gdyż taka odpowiedź jest również reakcją na podniecenie. W dalszej perspektywie taki dowcip oznacza chęć uwiedzenia.

„Kawały“ mają może większe powodzenie u słuchaczy rodzaju męskiego. Służą do odtworzenia w ich samej fantazji oryginalnej sytuacji obu płci tak, że uprzytomniają im seksualną agresję, a nawet właściwy akt.

„Smut“ w ostatniej analizie obnaża drugą osobę (zazwyczaj rodzaju żeńskiego). Zmuszają ją do wyobrażenia sobie dyskretnych części ciała lub wręcz stosunku i uświadamia jej, że narrator ma również tę samą wizję na myśli. Dla przykładu podaję następującą „tłuską“ anegdotę:

Młody człowiek zapewnia uroczą kobietę o swych żywych uczuciach dla niej. Ona słucha go przez jakiś czas, wreszcie przerywa potok komplementów Muszę pana uprzedzić, że moje serce już dawno zajęte. Ach — brzmi odpowiedź — nie sięgam tak wysoko.

Za właściwą technikę obiera cywilizowany „smut“ aluzję, odpowiednio przerobioną i wydelikacjoną. Dopiero w wyobraźni audytorium następuje przestoczenie w prawdziwą sprośność. Im większa panuje rozbieżność między dyskrecją w podaniu dowcipu, a intensywnością reakcji, tym wyższa jest ranga dowcipu. Kobieta o pewnej kulturze i smaku nie zniesie brutalnej sprośności w dowcipie. Usunie pierwiastek humoru w podświadomość i odeprze agresję. Skłonność do opowiadania kawałów idzie niekiedy w parze z ekshibicjonizmem i sadyzmem.

Historia muzyki i medycyny zna przypadek szczególnego „kawalarza“, który kosztował pierwszą dużo wstydu, a drugą postawił przed nierozwiązaną zagadką. Tyczył się W. A. Mozarta, największego i najsubtelniejszego muzyka świata.

Wolfgang Amadeusz, podobnie jak

jego siostra Maria Anna, zwana „das Nannerl“, późniejsza baronowa Berchtold odebrali najstarsze, 13ciece patrycjuszowskie wychowanie. Ich ojciec Leopold, sam sławny muzyk i światowiec, dbał, może przesadnie, o wykształcenie i maniere nieprzeciętnie zdolnych dzieci. Młody Mozart mógł służyć za wzór dżentelmana i humanitarnego geniusza. Jego listy — zachowało się ich wiele — świadczą chlubnie o jasności, poprawności, delikatności i dyskrecji korespondenta. Pozostają w najzupełniejszej zgodzie z obrazem kompozytora, który sobie wytworzyliśmy, słuchając jego niezmierniej muzyki. Nie należy to do rzeczy, ale zaciekaWi czytelników lwowskiego pochodzenia: jeden z synów Mozarta, Franz Xaver, był kapelmistrzem teatru i nauczycielem muzyki we Lwowie, w latach 1810—1834.

W swej podróży po Europie młodociany Mozart zawadził o Augsburg, rodzinne miasto ojca, gdzie poznał nieco młodszą od siebie kuzyneczkę Marię, Annę, Teklę i zapewnił jej miejsce w historii jako „Augsburger Bäsle“, albo krótko „Das Bäsle“, co oznacza krewniaczkę w rodzaju pociotka. Widocznie wzbudziła w nim gwałtowniejsze i szczególniejsze uczucia analizeli inne kobiety, z którymi los go zetknął i na których wdzięki kochliwy Mozart był zawsze czuły. Po krótkotrwałym, rodzinno-poufałym flircie wywiązała się korespondencja. Listy panienci tchną taką banalnością, że można o nich zapomnąć. Natomiast Mozart zdumiewa karczennym wprost wulgaryzmem i sprośnością. To wykolejenie deifikowanego geniusza stanowi do dzisiaj ciężki kamień obrazy i rozczarowania dla purytańskich biografów. Jedni przechodzą nad nim do porządku dziennego — epizod augsburki pozostaje bez wzmianki — drudzy szukają gorączkowo za okolicznościami, łagodzącymi tak niegodne postępowanie. Polski język nie nadaje się do uchwylenia i właściwego oddania ekscesów Wolfganga Amadeusza. Poza nieprzyzwoitością dziwny, puerylnie stylizowany język, bezsensowe dobieranie podobnie brzmiących wyrazów, rymowanie à la ksiądz Baka mogą wywołać wrażenie, że autorem jest głupkowaty schizofrenik.

„Das Bäsle“ była żywą, przystojną dziewczyną, simplicissima serva dei. Zagięła patrol na sławnego kuzyna i znosiła z dobrą miną nieco obcesowe zaloty. Niestety, po dwakroć niestety, jej wyrozumiałość była daremna. Mozart zwrócił swą namiętność w inną, bardzo fatalną stronę i cierpiał z tego powodu całe swoje krótkie życie. Oto jeden z mniej woniejących kwiatków rzuconych pod stopy kuzynki z Augsburga:

(Dokończenie na str. 20)

Józef Garliński

„DRAMAT I OPATRZNOŚĆ“ 18/6
„MATKI I ŻONY“ 18/6
„MIĘDZY LONDYNEM
I WARSZAWĄ“ 18/6

Trzy książki, które w beletrystycznej formie wprowadzają czytelnika w atmosferę walki, zaskakujących osiągnięć i wielkiego zasięgu Armii Krajowej.

„ZIEMIA“ — opowieść 12/6

Skład główny:

GRYF — KSIĘGARNIA S.P.K.
20, Queens Gate Terrace,
London, S.W.7.
i wszystkie kioski i księgarnie
polskie

Allerliebste häsle, häsle!
Ma très chère Cousine!

Bevor ich Ihnen schreibe, muss ich
aufs Häuserl gehen-jetzt
ist's vorbey: ach! — nun ist mir wieder
leichter ums Herz.

.....
halten Sie ihr Versprechen, sonst muss
ich mich brechem

.....
ob Sie nicht gutwillig wollen Frieden
machen
oder ich liess meiner Ehr eins krachen.

.....
und sollt ich heut noch machen einen
Schyss.

Taką kopolalią popisywał się kompozytor „Requiem“, które grano na pogrzebie Chopina, „Zaczarowanego flutu“ i „Symphonie concertante“ dla skrzypiec, violi i orkiestry, K. 36.

Na zakończenie pewna uwaga, dotycząca się mojej nadwrażliwości na sprośność. Stwierdziłem na sobie, że co mię boli i razi w ojczystym języku, przyjmuję bez tragicznego wstrząsu w obcym. Doszedłem do wniosku np., że język ukraiński nadaje się znacznie lepiej niż każdy inny do wyrażenia pewnych drażliwych słów. Sam się łąpię na uciekaniu do niego, gdy wzbiera we mnie potrzeba eksplozji. Naturalnie, tylko w czterech, szczelnie zamkniętych ścianach. Nie protestuję również, gdy się kłnie lub bluźni po włosku. Idealny język, jakby stworzony do łagodzenia każdej brutalności. Mam natomiast dziwne uprzedzenie do języka czeskiego. Nie wyobrażam sobie wyznania miłosnego, złożonego w mowie, w której samogłoski skazane są na podrzędną rolę.

Ze smutkiem stwierdzam u siebie wyraźne zбочenie. Gdzież więc granica normalności? Istnieje — ale o tym innym razem.

F. Goldschlag

JAN PĘKSZYC

DRZEWIEJ...

Ósmy odcinek szkicu poświęconego przeszłości ziemi i człowieka.

W 863-im roku Konstanty i Metody znaleźli się na Morawach, bogato wyposażeni przez cesarza Michała na tę wyprawę misyjną. W tym momencie musimy zrozumieć jeden bardzo ważny fakt: Morawy „oficjalnie“ w oczach Zachodu, były państwem chrześcijańskim! Przecież jeszcze w 822 książę Mojmir przyjął Chrzest z rąk Biskupa Ratyzbony! — Ale też trzeba zrozumieć różnicę pomiędzy przyjęciem religii przez Księcia i jego Dwór, oraz kilkunastu „bojarów“, a przyjęciem religii przez cały naród i masy ludowe. I właśnie to zaszło na Morawach w 822 roku. Sytuacja religijna w państwie Rościława przedstawiała się więc tak, że dwór i część ludności — szczególnie klasy „wyższe“ były chrześcijańskie, ale masa ludowa była pogańska. To właśnie Rościław dooskonale rozumiał i postanowił ten punkt rozegrać przeciwko niemieckiej „Reichskirche“ i wpływom germańskim.

Stosunkowo nieliczna ilościowo grupa misyjna „Braci Sołuńskich“, jak nazywano Konstantego i Metodego, miała pracę ciężką, tym bardziej, że musiała toczyć nieustanną walkę z wrogim klerem niemieckim, ale miała też tę przewagę nad „Niemcami“, że zwracała się do ludu w jego własnym języku. Największym jednak utrudnieniem była niemożność wyświęcania własnych księży, którzy by mogli dalej szerzyć naukę w języku słowiańskim.

Kler bawarski oskarżył obu „Braci Sołuńskich“ przed papieżem o herezję. Papież kazał im stawić się w Rzymie, dla oczyszczenia się z zarzutów. Głównym punktem oskarżenia, było używanie przez nich języka słowiańskiego w liturgii. Konstanty, (który w tym czasie przyjął imię Cyryla), potrafił jednak obronić swoje stanowisko w tej sprawie, i spotkał się ze zrozumieniem ze strony Papieża i życzliwym przez niego przyjęciem. Papież, Hadrian II, poleca nawet wyświęcenie na księży dużej grupy uczeni Konstan-

tego, w tej grupie był też jeden imieniem Gorazda; sam Konstanty (Cyryl), pozostał już w Rzymie, i tam zmarł w 869 roku.

Metody wraca już sam na Morawy z listami papieskimi, dającymi mu prawo i możliwość dalszego prowadzenia Misji wśród Słowian. Rościław jednak wysłał go wkrótce po raz drugi do Rzymu, tym razem z prośbą, aby Papież wyłączył spod władzy biskupów niemieckich terytory państwa Wielko-morawskiego oraz te słowiańskie, które zostaną nawrócone na chrześcijaństwo przez misję Metodego.

Papież zgadza się na prośbę Rościława; zostaje wskrzeszona dawna, jeszcze staro-rzymska, diecezja syrmijska; teraz Papież odradza ją jako diecezję Pannonii, obejmującą swoim zasięgiem Wielko-Morawy, Pannonię (dzisiejsze Węgry), oraz ewentualnie te wszystkie ziemie słowiańskie i nie-słowiańskie, które Metody nawróci na Chrześcijaństwo. Siedzibą Biskupa miał być Velehrad, stolica Rościława. Dopoki na tronie papieskim zasiadał Hadrian II, akcja misyjna Kościoła słowiańskiego rozwijała się pomyślnie. Gdy po jego śmierci stolicę Apostolską objął Jan VIII, zdecydowany przeciwnik języka słowiańskiego w liturgii, biskupi niemieccy osmieleni przez niego, wystąpili otwarcie przeciwko misji Metodego (870 r.).

Nastąpiło 15 lat walki Kościoła słowiańskiego z „Reichskirche“. Po śmierci Metodego kler niemiecki wziął górę. Do pewnego stopnia ponosi tu winę następca Metodego, biskup Gorazda. Oskarżony przez Niemców o rozszerzanie herezji, stanął przed księciem, który chciał sprawę tego oskarżenia rozpatrzyć; Rościław kazał Gorazdzie, jak i biskupowi Wichingowi, Niemcowi, złożyć przysięgę, że głoszą Ewangelię zgodnie z nakazami Papieża. Wiching złożył przysięgę, Gorazda dumnie odrzucił żądanie księcia, twierdząc, że Rościław jako człowiek świecki, nie może żądać przysięgi od duchownego. Rościław wobec tego poparł teraz Wichinga. Mimo to Kościół słowiański nadal rozwijał

się coraz szerzej w krajach słowiańskich, głównie dzięki popularności wśród szerokich mas ludności i klas średnich.

Opisuję tu pokrótce dzieje słowiańskiej misji religijnej Konstantego (Cyryla) i Metodego, ze względu na ważność tych wypadków na terenie Słowiańszczyzny, tak pod względem społecznym i religijnym jak i politycznym.

Faktem najważniejszym jest wprowadzenie i rozpowszechnienie pisma słowiańskiego „głagolicy“. Dzięki temu, już w IX wieku język słowiański wszedł do nielicznej wówczas w Europie rodziny języków kulturalnych. Dzięki temu pismu zachowało się do dziś dnia język słowiański, nazywany później językiem „staro-cerkiewno-słowiańskim“; został on zaliczony do ważniejszych języków Europy, a nawet postawiony obok łeciny, greki i hebrajskiego, tracąc tym samym miano „barbarzyńskiego“, jakim obdarzano go od czasów starożytnych.

Działalność Metodego na Morawach trwała 22 lata; pamięć o nim i jego pracy, uwieczniona przez jego uczniów w słynnym „Żywocie św. Metodego“, pisanym głagolicą w języku słowiańskim, nie wygasła.

Do 892 roku trwał pokój pomiędzy państwem Wielkomorawskim a cesarstwem Zachodnim. W tym to roku wybuchła groźna wojna, w której, po stronie niemieckiej po raz pierwszy, występują przeciwko Słowianom, Węgrzy.

W 894 roku umiera następca Rościsława na tronie wielko-morawskim książę Świętopełk. Dwaj jego synowie, Mojmir II. i Świętopełk II. zawarli kompromisowy pokój z cesarzem Arnulfem; rezultatem tego pokoju była zależność trybutarna Wielko-Morawii od cesarstwa. Mimo tego pokoju, w 906 roku, Arnulf, znów w spółce z pogańskimi Węgrami, uderza na chrześcijańskie państwo wielko-morawskie. Podkreślam tu ten fakt związku Niemców, zawsze się głoszących, jako niosących wiarę, sprawiedliwość i kulturę ludom „barbarzyńskim“ i „pogańskim“, z poganami, gdy tylko dawało to korzyści ich polityce zaboru, gwałtu i grabieży. Zasady te przetrwały w polityce niemieckiej aż do czasów nowożytnych. Wszystko jest dopuszczalne i sprawiedliwe, co daje Niem-

com korzyści i zwycięstwo, przy jakiegokolwiek okazji i we wszystkich czasach.

W tej wojnie klęska Morawian była zupełna. Na skutek tej katastrofy zaczyna się upadek i rozkład państwa wielko-morawskiego. Pod naciskiem kleru niemieckiego, Gorazda i większość księży obrządku słowiańskiego musi opuścić Morawy i ziemie przyległe. Udają się oni do Bułgarii, gdzie dalej prowadzą pracę misyjną wśród Słowian południowych i wschodnich. Skutkiem tej pracy będzie przyjęcie wiary św. przez książąt ruskich Kijowa i Nowogrodu. Organizacja Słowian morawskich rozpada się. Pierwszą organizacją częścią, która odpada od całości państwa, są Czechy. Tu książęta Wratisław i Spitygniew, poparci przez cesarza Arnulfa, nie tylko odłączają się od słowiańskiej Wspólnoty, lecz korzystając z osłabienia, zajmują dla siebie także Śląsk i Małopolskę (Księstwo Wiślan).

Chrześcijaństwo przyszło do Czech ok. 880 roku, gdy książę czeski Borzywój, w tym czasie wasal Świętopełka wielko-morawskiego, przyjął chrzest z rąk Metodego. Co prawda, już dużo wcześniej, bo w 845 roku, w Ratyźbonie, 14-tu książąt plemiennych czeskich przyjęło chrzest z rąk tamtejszego biskupa. Ale to był tylko osobisty chrzest tych 14-tu książąt, podczas gdy prosty lud plemion słowiańskich, zamieszkujących Czechy pozostał nadal w pogaństwie. Powoli jednak chrześcijaństwo, tak od strony słowiańskich Moraw, jak i od strony niemieckiej, szczególnie od strony Ratyźbony, rozpowszechniało się w Czechach. Gdzieś ok. roku 875 ludność Czech była już w ok. 90% chrześcijańską. Borzywój nie miał wielkich trudności w nawróceniu reszty.

Potomkowie Borzywoja, Przemyslidzi, jak ich nazywa historia, utrzymywali bliskie stosunki ze Słowianami Połabskimi, czego np. wyrazem było małżeństwo Wratisława I z Drahomirą, księżniczką plemienia Stodran, (z nad Haweli i Sprewy). Syn Wratisława, Waclaw, (921-929), uznany przez kościół czeski za świętego, został zamordowany przez swego brata, Bolesława I Srogiego (929-972). Bolesław Srogi stworzył z Czech silną monarchię, typu czysto feudalnego. Do 950 roku prowadził

Kazimierz Schleyen

LWOWSKIE GAWĘDY

Cena: 30 sh.

Do n a b y c i a :

Gryf — Księgarnia SPK,

20, Queens Gate, Terrace,

LONDON, S.W. 7.

Bolesław politykę anty-niemiecką w sojuszu ze Słowiańszczyzną Połabską. Za panowania cesarza Ottona I musiał jednak Bolesław ukorzyć się przed Niemcami, płacić im trybut, a nawet pomagać im w wojnie przeciwko Węgom, w 955 roku. Dopiero małżeństwo siostry Bolesława, Dobrawy, z księciem Polan, Mieszkiem, wzmocniło pozycję Bolesława wobec Niemców i pozwoliło mu na prowadzenie samodzielnej polityki, kosztem jednak tradycyjnych sojuszy z Słowianami Połabskimi, zaciętymi wrogami Mieszka.

Na północny-wschód od państwa wielkomorawskiego, a na wschód od Słowian Połabskich, rozwijały się państewka plemienne Polan (Lechitów) i Goplan. Gdzieś w pierwszej połowie IX wieku nastąpił, z przyczyn jeszcze niedokładnie historycznie zbadanych, upadek organizmu państwowego Goplan i ich dynastii plemiennej Popielidów (Popielów?), i w tym czasie powstanie silniejszego księstwa Polan, z dynastią Piastów (Chościszkowiczów) na czele. Według kroniki tzw. Galla Anonima, genealogia tego rodu zaczyna się od całkiem legendarnego Piasta (Chościszkowica?) — „kołodzieja“, i poprzez coraz bardziej źródłowo pewniejszych jego potomków, dochodzi do Ziomomysława (Siemomysława?), którego synem był Mieszko I., pierwszy rzeczywisty twórca, już nie państewka plemiennego, lecz ponadplemiennego państwa Polan — państwa Polskiego.

Mieszko wprowadził do swego państwa chrześcijaństwo jako religię panującą, przyjmując oficjalnie i uroczystie chrzest wraz z całym swym dworem i wielu naczelnikami plemiennymi z terenu swego Państwa.

Historia plemion tych, władzy Mieszka podlegających, jest historią Narodu Polskiego.

DZIEDZICTWO

Brzęcząca mucha
usiadła na rzesach,
ale powieki drgnęły
jak zwijane żagle,
więc odfrunęła.
Tonące spojrzenie
zaczepiło się jeszcze
o kosmyk gąteży.

Oddech drzew kamforowych
nie chłodzi jak klony
lub wierzby, pod którymi
z psem, wędką i książką — —
Ledwie czas się przesywał
w klepsydrze wakacji,
rośliny z innej gleby,
innej drzewnej rasy,
jak parawan szpitalnym
ramieniem zielonym
ostłoniły intymność
ostatecznej sceny.
Ale i tamten chłopak
z głową wtuloną w ramiona
ręce smagłe
do plamy na bluzie przycisnął:
któryś z nich celnie,
zaledwie przed chwilą
twardy owoc z rozmachem
rzucił ku drugiemu.
(Jeszcze młodszy niż oni
tak samo, jak piłką
granatami bawili się u nas
nad Wisłą.)

*

Przecucie zna chwyt wilczy,
by do gardła skoczyć.
Chłód grozy w serca
zwojów odbiorczych uderza.
Gdy zmętniały źrenice
przekazą tę chwilę
matce o oczach czarnych
od czarnej rozpacz,
skośnookiej madonnie bolesnej
lub białej płacze żałobnej,
której tży spaliły oczy —
gdy obraz na siatkówce
dramatu odbity,
utrwalony zostanie
jak słowa w marmurze,
od tysięcy lat ryte
wiecznym rylcem wojny —
czy te dwie matki
zdołają przebaczyć? ...

Uważny telewizor
cyklopiem spojrzeniem
ogarnia obraz świata:
na morzach, w pustyniach
i w miast kamiennych dżunglach,
metropoliach globu,
i na najdalszych krańcach
zapomnianej ziemi
nie ma ratunku dla Abla,
na grzech jego brata
nie ma sposobu.

WIADOMOŚCI CODZIENNE

czytamy rano przy kawie
bitwa na morzu
bambardowanie miast
zwycięstwo pod
widzimy na ekranach
powódź i wróg zabiera domy
grad wymłócił ziarno myśli
nienawiść podpałiła świat
zdrętwiały lodem
żywe serca
ucichł puls rzek
czerwona rosa
wsiąka w spękane wargi ziemi
pomór ludzką szarańczę nawiedził
równie skutecznie jak głód
komunikaty
ciężkie walki na południe od
dodatki nadzwyczajne
wielka klęska wroga
więc w kamiennych milionowych ulach
w cieniu rakiet
w sercach spokojnych
modlimy się jak od setek lat
skutecznie
o cud
od powietrza głodu ognia i wojny

INNY ŚWIAT

Gdy chłód przez szpary
wpełza węzem śliskim
gdy ziębną stopy
a w kłębek zwinięty
lęk
powolutku
nieuchwytnie prawie
w spłoszone myśli
ostre żądło wbija
aż ślepe serce
w biegu się potyka

wtedy
na przelaj stromych lat
po trawie
po ciepłym piasku
wracam
by twarzą do ziemi
przypaść
w oddechy rdestu
i rozgrzanej mięty
i słuchać długo
jak zielonym smyczkiem
konik polny dotyka
napiętych strun ciszy
w refrenie ptasiej strofy
i wody świetlistej
dźwięczą kropelki blasku
że aż bolą oczy
ważka przysioda
na krawędzi cienia

*

ten świat
jest bardziej rzeczywisty
od mojego codziennego świata
w którym ja sama
wciąż jestem
z nieprawdziwego zdarzenia

ZACHÓD

Na różowych jeziorach
wysepki chmur
płaskie lądy
zatoki zielonkawej ciszy
tam mieszkają
aniotowie z bajki
w dole
na krawędzi
konturów
w które twradnieje
mrok
błyszczą gdzieniegdzie
wilcze oczy
tam mieszkają ludzie
niebo gaśnie
jeziora
napływają groźną purpurą
rozsuwają się lądy
wielki wóz ugrzązł w pyle
musi jeszcze okrążyć
cień chmury
Roztargniony aniot
zbyt wcześnie
wbil pierwszy złoty gwóźdź
w ciężkie od łez
wieko nocy

Przypominamy ankietę „Kultury“ o czytelnictwie

Z KAZACHSTANU DO DOMU

Obudził mnie szmer i stukanie. Leżałam chwilę nie ruszając się i przyglądałam się otoczeniu. Było niezwykle: głównie przez to, że przypominało jakby kaplicę, z której usunięto ołtarz i obrazy, a pozostawiono tylko krzyż nad drzwiami i moje łóżko. Spoglądałam na krzyż — bo leżałam twarzą w tę stronę i zastanawiałam się czym ten krzyż różni się od innych, które spotyka się w mieszkaniach na codzień. Ten krzyż był w tym pokoju najważniejszy. Dominował nad wszystkim co się tu znajdowało. Przykuwał pierwszą uwagę. Pod krzyżem znajdowały się drzwi — również nie takie jakie widuje się w mieszkalnych domach: nie były prostokątne — lecz górna ich krawędź tworzyła łukowate obramowanie. Potem spojrzałam w kierunku okna, było wysokie, omal że do sufitu, również z łukowatym obramowaniem, szybki drobne i matowe. Było tu białe, czysto i surowo.

Nie mogłam przypomnieć sobie — skąd ja się tu zięłam, a co gorsze — kim ja w ogóle jestem. Trwało to chwilę, ale było bardzo przykre, połączone z lękiem. Po chwili usiadłam i obejrzałam się za siebie. Poza mną, wzdłuż tej samej ściany, stało takie samo łóżko z odsuniętą pościelą, a drugą ścianę wypełniało nieomal w całości wysokie okno. Pod nim stał jasny duży stół i dwa krzesła. Pod stołem siedziało malutkie jasnowłose dziecko, trzymało w ręce zniszczony bucik, z którego zwisały dwa długie pasemka sznurowadeł, — waliło nim w nogę od stołu.

Było tak zajęte, że nie zauważyło, że się już obudziłam i że mu się przyglądam. Od czasu do czasu odkładało bucik i podnosiło sucharek, który leżał obok na podłodze i obiema rączkami próbowało upchać cały do buzi. Obok panował fantastyczny nieporządek: leżał mój obłożony płaszcz, chustka, różne łaszki i drobiazgi, pomiędzy kazachstańskim paszport, broszka, pierścionki, zegarek, duża pajda razowego chleba i w ogóle wszystko co zawierał mój tobolek leżało wymieszane na ziemi.

Od razu przypominałam sobie wszystko: że uciekałam z Kazachstanu, że wczoraj przeszłam rzekę, że jestem w Polsce i że zaopiekował się nami jakiś klasztor. A to dziecko tam pod stołem — to mój synek, który obudził się wcześniej, ściągnął mój tobolek z krzesła, rozpakował i je teraz właśnie, swoje zwykle śniadanie, takie do którego był przyzwyczajony w czasie naszej wędrówki przez Rosję.

Gdy znalazłam się obok niego, synek wydał wesoły okrzyk, rozjaśnił się — i od razu poczęstował mnie mokrym i pokruszonym sucharkiem, resztką jaka pozostała w jego małej piątce.

Podniosłam go, posadziłam na stole i przyjrzałam się mu — niespokojna czy dziecko jest zdrowe i czy się wczoraj nie zaziębiło. A i dziś, zanim się obudziłam, siedziało długo na wpół gołe i bose na zimnej podłodze. Dziecko jednak było w doskonałej formie: nie miało nawet kataru, było wesołe i miało dobry apetyt. Ja również czułam się dobrze i ze zdziwieniem przypominałam sobie wtedy jak się to u nas w domu uważało zawsze, by zimą nie przemoczyć nóg i nie siadać na zimnym kamieniu. A wczoraj prawie cała byłam mokra i zamarzałam siedząc długo na klasztornych schodach. I nic mi to nie zaszkodziło! — Ani teraz — ani później, lata całe nie zachorowałam ani razu, ani na nerki ani ischias czy płuca. — Nie zaziębiłam się wtedy i nie miałam nawet kataru, ale czułam się dziwnie zmęczona, jakby obojętna na wszystko. Mogłabym określić, że żyłam przez kilka dni na „zwolnionych obrotach“.

W drugim pokoju coś się poruszyło i dało się słyszeć krzątanie. Tak jakby ktoś nakrywał do stołu. Brzęczały naczynia na tacy. Ktoś wchodził tam i wychodził, krzątanie trwało długo — a potem miły zapach kawy wszedł przez szparę w drzwiach do naszego pokoju i bardzo nas zainteresował.

Trzeba było teraz umyć się i ubrać. Bardzo się starałam, żebyśmy oboje z synkiem wyglądali schludnie i czystuśko, ale dwa dzbanki wody, które stały przy białej żelazkiej umywalce — to było za mało, sukienka którą miałam w toboleku była wymięta, a ta w której tu przyszłam — była dołem wilgotna. Grzebień się znalazł, ale pończoch nie było. Ani tych, które niosłam w ręku przez rzekę, ani żadnych innych. Pończochy moje płynęły teraz Zbruczem, zaczeptały o wodorosty, owijały się o kamienie i niepokoiły ryby.

Całe szczęście, że płynęły same — beze mnie. Z dreszczem przypominałam sobie teraz to, czego tak bardzo się obawiałam: wczoraj, przed samym wyjściem z domu, Hafija nagle odwróciła się do mnie i powiedziała, że w rzece, w tym miejscu gdzie będę przechodzić, leżą druty kolczaste. „Można je wyminać“ — „tylko bardzo trzeba uważać by w nie się nie wplątać“. Teraz uswiadomiłam sobie jak bardzo się bałam tych zardzewiałych, kolczastych zwo-

jów, które kołysały się i przewalały po dnie tej burej i wezbranej rzeki — czekając na mnie. W takiej rzece jak ta — ja się raz kiedyś w dzieciństwie topiłam i lęk przed mętną, ruszającą się wodą pozostał mi do dziś. Nie bałam się wczoraj strażników, nie bałam się wilczurów granicznych, o których też wiedziałam, tylko bałam się rzeki. O Boże, jak jak ja się wtedy nieprzytomnie bałam. Zrobiło mi się gorąco ze strachu teraz — gdy uprzytomniłam to sobie.

Stałam, patrząc na jasną, czysto umytą podłogę, jakbym tam właśnie zobaczyła tę rzekę. I później — po miesiącach od tego dnia — kilka razy we śnie przeżywałam na nowo tę przeprawę przez Zbrucz. Budziłam się wtenczas przerażona, spocona ze strachu.

Teraz synek stał przy mnie z podniesioną główką — i przyglądał mi się zdziwiony. Powróciłam znów do tego białego pokoju, a potem pochyliłam się, wzięłam go za rączkę i otworzyłam drzwi do sąsiedniego pokoju, który — jak mi się zdawało — był jadalnią. Duży okrągły stół stał na środku — i czekał na nas. Był nakryty białym obrusem, miał dwa lśniące nakrycia i mnóstwo pysznego jedzenia na niezliczonych talerzykach, a w samym środku stał duży imbryk z kawą...

Dopiero po chwili usłyszałam, że ktoś poruszył się w pokoju i zobaczyłam zakonniką w białym habicie. Siedział na krześle przy oknie, patrzył na nas i uśmiechał się.

Gdy jedliśmy — dolewał nam kawy, smarował bułeczkę dziecku i życzliwie zagadywał. Potem powiedział, że Ojciec Przeor wydał polecenie żebym nie opuszczała klasztoru przez parę dni i że do tego czasu będziemy spać w tamtym pokoju, a jadać w tym. Był to najmiłszy „areszt domowy“ ze wszystkich jakie dotychczas były na świecie. Muszę się przyznać ze wstydem, że przeważnie spałam i w dzień i w nocy. Budziłam się jednak zawsze w porę gdy słyszałam w drugim pokoju brzęk naczyń i nakrywanie do stołu.

Synek nie przeszkadzał mi wcale w spaniu. Prowadził swoje własne, odrębne życie po drugiej stronie drzwi prowadzących do klauzury i gdy przychodziłam do gościnnej jadalni — czekał już na mnie siedząc na kilku poduszkach ułożonych na wysokim krześle przy stole. Był bardzo zaprzyjaźniony z zakonnikiem towarzyszącym nam przy posił-

(Ciąg dalszy na str. 24)

ku. Wydawało mi się nawet, że Jeżyk przekłada tamto męskie towarzystwo nad moje. Ja zaś w ciągu tych paru dni dziwnie mało interesowałam się dzieckiem — widocznie czułam, że ma dobrą opiekę. Wieczorem po kolacji, gdy zostawaliśmy sami, brałam małego za rączkę i szliśmy do kościoła, zamkniętego o tej porze od strony miasta. Prowadził synek, który doskonale był obeznany z terenem.

Minęły dwa dni, w trzecim dniu — senność odeszła. Wstałam wcześniej i porządkowałam swoje rzeczy, odkładałam to co mi już nie było więcej potrzebne. Odłożyłam suchary, które przywędrowały z nami do miejsca gdzie nam już wcale nie były potrzebne, ale kromkę razowego chleba, którą dostaliśmy od nocnego stróża w Kamieńcu — po namyśle zawinęłam razem z kazachstańskim paszportem w niebieską chusteczkę i umieściłam na samym wierzchu w moim tobołku. Chleb nie spleśniał. Wysechł tylko i zrobił się jeszcze ciemniejszy niż był. Chciałam go pokazać moim rodzicom. Nie pamiętam co się potem z tym chlebem stało. Niestety, chleb nie może być trwałą pamiątką, nawet gdy to jest CHLEB MIŁOSIĘRZDZIA. Z tamtych wszystkich rzeczy które niosłam na plecach przez Rosję, pozostała mi tylko złota broszka z szafirem, ta sama której karczmarz nie chciał przyjąć ode mnie. Służy mi teraz jako amulet.

Gdy kończyliśmy śniadanie, wszedł Ojciec Przeor i musiałam opowiedzieć wtedy wszystko od początku do końca. Opowiadałam starając się nie opuścić — przez kilkanaście minut, może pół godziny i cała moja trzytygodniowa ucieczka zmieściła się w tym czasie. Byłam zdziwiona. Przeżywałam to tak długo, a już nic więcej nie mam o tym do opowiedzenia? Ojciec przeor wypytawał jeszcze o to, o tamto. Odpowiadałam — aż WSZYSTKO było opowiedziane. Gdzie się podziały te długie samotne godziny moich trzech tygodni życia — jeżeli w opowiadaniu mieszczą się w jednym lub dwóch kwadransach?

„Areszt dmowy“ został zdjęty. Następnego dnia szliśmy znów przez miasteczko, oboje z synkiem. Ale nie razem i nie sami. Odprowadzało nas dwóch zakonników. Jeden niósł Jeżka, w pewnej odległości szedł drugi i niósł mój tobołek, potem długo nie szedł nikt, a na końcu szłam ja i niosłam bilet kolejowy. Na nogach miałam pończochy. Przyniosła mi je jakaś kobieta z miasteczka.

W pociągu znaleźliśmy się na parę minut przed odejściem. Długo patrzyłam przez okno na oddalające się sylwetki zakonników. — „Jak to dobrze — że na świecie są klaszatory — myślałam że wdzięcznością. Nigdy nie zapomnę do-

broci ludzi, z którymi spotykałam się od początku do końca mojej ucieczki.

Pociąg ruszył. Każdy obrót jego kół oddalał mnie od granicy — a zbliżał do tych, do których powracałam. Siedzieliśmy wygodnie w prawie pustym przedziale — przy oknie — za którym biegły POLSKIE pola, łąki i lasy, lub migały oświetlonymi okienkami polskie chaty. Jeżyk zasnął od razu na chustce, którą mu rozłożyłam, z głową na moich kolanach, a ja chwilę potem. Obudziłam się na jakiejś większej stacji, gdy nasz wagon zaczął się zapelniać. Wzięłam wtedy dziecko na kolana, przy mnie usiadła jakaś tęga kobieta z koszykiem. Znów zasnęłam mocno. Obudziłam się gdy już było jasno. Pierwszą osobą, którą zobaczyłam, był sowiecki żołnierz — w czapie, z nausznikami na głowie, w walonkach i z karabinem między szeroko rozstawionymi kolanami. Obok niego siedział drugi — taki sam. Zrobiło mi się od razu gorąco. Odwróciłam głowę do okna i patrząc na mijany las — gorączkowo przypominałam sobie na jakim etapie ucieczki się znajduję? — Czy jeszcze przed Uralem? A może między Kijowem a Winnicą? Naprzeciw nas siedziało kilka skromnie ubranych kobiet, a przy oknie naprzeciw mnie — ta sama kobieta z koszykiem, której w nocy ustąpiłam miejsca. Pewno zmieniała miejsca gdy spałam — pomyślałam. Kobiety rozmawiały półgłosem po POLSKU. — A więc jestem na pewno w Polsce — pomyślałam z ulgą odwracając z niechęcią głowę od żołnierzy.

Tymczasem obudził się Jeżyk. Chwilę rozglądał się sennie po wagonie. Żołnierze siedzący obok nie zdziwili go wcale. Potem podniósł główkę i popatrzył uważnie na mnie, ale się nie rozśmiał po swojemu gdy przemawiałam do niego, ani też nie interesował się krajobrazem za oknem wagonu. A po chwili dowiedziałam się, że dziecko miało już dość tej podróży. Nie chciał już nigdzie JECHAĆ. — CHCIAŁ MIESZKAĆ. Przeszedł na kolana żołnierza, zjechał mu po bucie na podłogę i pomaszerował do drzwi przedziału. Wyszedł za nim. Potem stałam na korytarzu przed oknem trzymając go na rękach. Wyrwał się i uciekał. Znów powróciłam do przedziału, postawiłam go na ławce przy oknie i próbowałam mu dać coś do jedzenia. Odwracając głowę, zeslizgiwał się na ziemię i zmierzał ku drzwiom. Zaczynało to być męczące i kłopotliwe. W wagonie było ciasno i przeszkadzaliśmy podróżnym. Wobec tego zabrałam swoje rzeczy i mimo że do Tarnopola była jeszcze godzina jazdy — zdecydowałam się stać resztę podróży na korytarzu. Jeżyk od razu pomaszerował korytarzem przed siebie i zatrzymał się dopiero przed drzwiami.

Przestaliśmy przy tych drzwiach godziłą. Pociąg kilkakrotnie zatrzymywał się na małych stacyjkach. Ludzie wysiadali i wsiadali. Popychano nas i potracano. Było zimno i przeciąg. Staliśmy w kałuży topniejącego śniegu. I za każdym razem gdy otwierały się drzwi — mały nurkował pod nogi pasażerów i chciał wysiadać. Przytrzymałam go za rękaw lub za kołnierz, albo za pasek przy ubranku. Za co się dało. I oddychałam z ulgą gdy drzwi zamknięto i pociąg ruszył. Synek nie płakał, nie złościł się, nie kaprysił. On tylko chciał wysiąść. Nie mógł już znieść dalszej podróży.

Dojechaliśmy do Tarnopola. Staliśmy najbliżej drzwi i pierwsi wysiedliśmy. Nie musiałam brać synka na ręce jak to lubił, tylko szłam za nim. Przytrzymałam go za kołnierz płaszczyka, bo nie chciał mi podać rączki. Zmierzał wprost do konnej dorożki, która stała najbliżej.

Dopiero gdy weszliśmy do kamienicy dziecko nabrało do mnie zaufania — i pozwoliło się zanieść po schodach na piętro.

Staliśmy przed drzwiami, które NA PEWNO otworzą się i przyjmą nas. Serce mi biło i czułam się zmęczona jakbym długo biegła i tutaj dopiero się zatrzymała. Tu za tymi drzwiami żyją sobie zwyczajnym, codziennym życiem, a o nas myślą że — jak w tej bajce — jesteśmy za górami, rzekami i lasami, o kilka tysięcy wiorst oddaleni — we władzy ZŁEGO czarownika Stalina. Byliśmy — ale już nie jesteśmy. Stoimy tu przed drzwiami WOLNI.

Ja nawet nie dzwoniłam wcale. Naprawdę nie dzwoniłam. Otworzyła mi moja Mamusia. Skąd Mamusia wiedziała, że my tu jesteśmy?

Zaraz potem — pokazał się mój Ojciec, Siostra i reszta rodziny. Powitanie i wypytawanie nie było końca. A jednak oni przeczuwali że uciekłam, bo po moim ostatnim liście była taka długa przerwa. Sądziłi, że nas złapano i że nas nigdy już nie zobaczą. Staliśmy wciąż przy otwartych drzwiach — mówiąc jeden przez drugiego i nie mogąc nacieszyć się sobą — gdy nagle zorientowaliśmy się, że Jeżyk znikł!

Zaczęliśmy się rozglądać i szukać. Może zsunął się po schodach i wyszedł na ulicę? Ale nie. Znaleźliśmy Jeżka w dużym dzieciennym pokoju. Był sam. Siedział — malutki na podłodze, paluszek trzymał w buzi i wpatrywał się oczarowany — szeroko otwartymi oczami w pociąg na szynach, na różnej wielkości autka, misie i pajacyki — cały ten raj dziecięcy, którego on dotąd nie miał. Synek mojej siostry, chłopczyk w jego wieku, podbiegł do swego ojca i po-

(Dokończenie obok)

KRONIKA WOJSKOWA

wiedział „Tato, to MOJE zabawki“. Ojciec wziął go na ręce — Jeżyk wstał, podszedł do mego szwagra, podał mu rączkę i powiedział poraz pierwszy w życiu „Tato“. — Ojciec Jeżka był w tym czasie w obozie jeńców w Kozielsku. Synek ojca swego nie pamiętał wcale. Miał siedem miesięcy, gdy ojca mu zabrano.

A teraz dziecko zrozumiało nagle, że można mieć dom z zabawkami i ojca — a on nie miał. Miał TYLKO mamę.

Na drugi dzień dwóch roczniaków Jeżyk i Pawełek pobiło się. Poszło o zabawki: moja siostra wydzieliła połowę zabawek dla Jeżyka, on jednak uważał, że powinien mieć wszystkie.

Mego męża zobaczyłam znacznie, znacznie później. Dokładnie: po 17 latach, 8 miesiącach i dziewięciu dniach. Stał w przystani na Tamizie. My: ja i Jeżyk staliśmy na pokładzie statku, który minął Tower Bridge i wolno podpływał. To podpływanie trwało chyba z godzinę: Na statku i na brzegu było cicho. Podróźni — z górą spoglądali — na tych tam w dole, na brzegu, którzy zgromadzili się, by ich powitać. Czułam się całkiem jak PENELOPA — że tak wierna i że tak długi czekałam — i nie należy się dziwić — że ze wzruszeniem spoglądałam na MEGO ODYSEUSZA w londyńskiej przystani.

Mąż stał z podniesioną głową, w rękę miał bukiet goździków, i patrzył na pokład — na siwą starszą panią stojącą w pobliżu nas. Spojrzenie jego było czule i serdeczne, takie właśnie jakiego można się było spodziewać od własnego męża po wielu latach rozstania. Szkoda tylko, że nie było skierowane na mnie. Poczulałam się nagle rozżalona, że na mnie nie patrzy. Byłam młodsza, szczuplejsza i miałam swoje własne ciemne włosy. „Co on w niej widzi“ — myślałam — przyglądając się jej również?

Na szczęście statek zdecydował zatrzymać się i reszta potoczyła się błyskawicznie. Jeżyk pierwszy znalazł się przy ojcu i razem podszedł do mnie. Kwiaty: delikatne, pachnące goździki przeszły do moich rąk, a potem ja sama w ręce męża. Tamtą, starszą panią już się nikt z nas nie interesował i dalszych komplikacji nie było.

Gdy kiedyś później zapytałam męża, dlaczego nie patrzył na mnie tylko na nią, gdy staliśmy na pokładzie statku, roześmiał się i powiedział, że zawsze sobie wyobrażał, że po tych „tarapatkach“ jakie przeszłam, powinnam być siwa i nie zwrócić większej uwagi na „młodą brunetkę“, która stała po drugiej stronie jego syna.

„Jak on to ładnie powiedział“ — pomyślałam. Spojrzałam na męża i roześmieliśmy się oboje.

Maria Wilczewska

Zmiany na szczytach wojskowych piramid. Niemal we wszystkich ważniejszych siłach zbrojnych nastąpiły ostatnio lub nastąpią niebawem liczne zmiany na kierowniczych stanowiskach.

W Stanach Zjednoczonych obejmie w czerwcu funkcje szefa sztabu wojska gen. Westmoreland, dotychczasowy dowódca sił zaangażowanych w Wietnamie, a jego miejsce zajmie dotychczasowy jego zastępca — gen. Abrams, który jest rzecznikiem powiększenia i dobrozbrojenia rządowych wojsk wietnamskich. Odnośne nominacje już nastąpiły, nie ma natomiast dotychczas pewności, czy i kiedy obecny szef połączonych sztabów, gen. Wheeler, zluzuje generała Lemnitzerę na funkcji naczelnego dowódcy sił NATO w Europie.

We Francji szefem sztabu całości sił zbrojnych został (w następstwie zabitego w katastrofie lotniczej gen. Ailletta) gen. lotnictwa Fourquet, który w 1941 roku dołączył do gen. de Gaulle'a, a ostatnio był delegatem ministra dla spraw zbrojeniowych.

W Wielkiej Brytanii odchodzący w stan spoczynku szef sztabu imperialnego, gen. Cassels, został mianowany marszałkiem. Zastępcą szefa sztabu obrony został po gen. Cole wice-admirał Hogg.

W Niemczech Zachodnich dowódcą I korpusu został gen. Uechritz w miejsce gen. Bennecke, który objął dowództwo środkowego frontu NATO po gen. Kielmansegg, zaś szefem wywiadu został — po legendarnym gen. Gehlen — gen. Wessel.

W Polsce ministrem obrony został (w miejsce wykomplementowanego marszałka Spychalskiego) gen. Jaruzelski, szefem sztabu generalnego gen. Chocha, a głównym inspektorem szkolenia gen. Tuczapski.

Liczne zmiany nastąpiły oczywiście także w Czechosłowacji — zwłaszcza w związku z ucieczką gen. Sejny, jeśli zaś idzie o Sowiety, to warto bodaj odnotować tylko zamianowanie marszałkami gen. Bytyckijego, dowódcy obrony przeciwlotniczej, i gen. Koszewoja, dowódcy sił sowieckich, stacjonowanych w Niemczech Wschodnich i w Polsce.

Niemcy wschodnie. Uzbrojenie i wyposażenie „Nationale Volksarmee“, czyli regularnych sił zbrojnych, poprawia się stale, nie tylko dzięki dostawom sowieckim, ale także wskutek stopniowego rozkręcania własnego przemysłu zbrojeniowego. Podnosi się również poziom wyszkolenia w konsekwencji coraz liczniejszych wspólnych manewrów i ćwiczeń szkieletowych, przeprowadzanych razem ze sztabami lub oddziałami sowieckimi i — rzadziej — polskimi.

Podciągnięto również poziom korpusu oficerskiego. Gdy przed przeorganizowaniem VOPO na NVA aż 70% oficerów nie posiadało nawet średniego wykształcenia, to obecnie ogromna ich większość posiada dużą lub przynajmniej małą maturę, a 7% ukończyło wyższe studia. Wszyscy dowódcy dywizji i pułków, nie mówiąc o sztabowcach, ukończyli podobno bądź sowiecką, bądź drezdeńską akademię sztabu generalnego. Uderza stosunkowo mała ilość generałów (zwłaszcza w porównaniu z PRL). Przed rokiem było podobno tylko 42 generałów w NVA, 14 w VOPO i 9 w oddziałach ochrony pogranicza i aparacie wywiadowczym i kontrwywiadowczym. Za to nie szczędzi się pieniędzy na ciągle uszczelnianie przeszkód wzdłuż granicy zachodniej oraz „muru Ulbrichta“, który posiada około 200 bogato wyposażonych wież obserwacyjnych. Jeszcze więcej pieniędzy łoży się niechybnie na propagandę, dywersję i wywiad na terenie NRF oraz na oficjalne wizyty, składane zwłaszcza Moskwie i Północnemu Wietnamowi. Częste przyjazdy sowieckiego marszałka Jakubowskiego, dowódcy sił „układu warszawskiego“, są również bardzo znamienne. Nacisk na usprawnienie paramilitarnej organizacji młodzieżowej „Vorwärts“ oraz bojówek fabrycznych, tzw. „Kampfgruppen“, nie słabnie. Jeśli już w 1963 roku do partii komunistycznej należało 90% oficerów, 43% podoficerów i 9% szeregowców, to można przyjąć, że obecnie niemal cała kadra zawodowa jest tej partii szczerze oddana.

Siły sowieckie na terenie NRD ocenia się nadal na 20 dywizji, w tym 10 pancernych. Mają one niemal pełne stany liczebne i podobno w sumie ok. 6.000 czołgów „T-54“ i „T-62“, a ponadto po jednym baonie rakiet taktycznych na dywizję i po 1 brygadzie większych rakiet taktycznych na każdą armię, które mogą być uzbrojone w głowice atomowe. Do tego dochodzi stacjonowane na terenie NRD lotnictwo sowieckie, na ogół nowoczesne i oceniane na 850 do 1.000 samolotów. Jedyne na temat wyrzutni sowieckich rakiet średniostansowych wiadomości są sprzeczne. Obrona plot. jest natomiast z pewnością w pełni rozbudowana. Gdy do tej masy oddziałów sowieckich dodamy oddziały wschodnio-niemieckie, stanie się rzeczą zrozumiałą, że poligony na szczupłym obszarze NRD są stale przepelnione i że w związku z tym część oddziałów sowieckich ćwiczy na pomorskich i śląskich poligonach w Polsce. Tymczasem lądowy front NATO (z wy-

(Dokończenie na str. 26)

Najdostojniejsze muzeum Londynu — słynne na cały świat, British Museum, stoi na ośmiu akrach gruntu, a jego podziemia, gdzie mieści się niejeden bezcenny skarb, niezawsze dostępny dla publiczności — bo jest w reperacji, lub zbyt kruchy, lub zgoła tylko dla specjalistów — zajmują tę samą kubaturę co muzealny budynek.

I oto, ni stąd ni z owąd te chronione przed wilgocią sklepienia, te nowoczesnie izolowane piwnice, zostały zaadaptowane przez falangi bezdomnych kotów londyńskich, które — wciskając się przez otwory od nadziemnych wentylatorów, zakładają w mrokach muzealnego skarbcza swe szeroko zaplanowane rodziny, zwołują marcowe konklawe i przy okazji zjadają, czy może nadgryzają — gdyż urzędowe komunikaty na ten temat są bardzo powściągliwe — wiele opakowań wielu cennych eksponatów.

Mniej więcej około 90-ciu kotów jest wywiabianych rocznie z podziemi British Museum przez pracowników Królewskiego Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami i przewożonych do ich specjalnych domów dla bezdomnych zwierząt, lub też do ambulatoriów Towarzystwa, gdzie, jeśli nie znajdą zwierzęcego Samarytanina, który je stamtąd zabierze, zostają beboleśnie uśmiercane.

Dla angielskich miłośników kotów jednak, akcja ta okazała się przysłowio- wą płachtą na byka. Z chwilą oficjalnego ogłoszenia o piwnicznej inwazji, niebaczni na trudności z jakimi walczą urzędnicy Królewskiego Towarzystwa przy wywabianiu kotów na zewnątrz — całą szeregą pań, panów na emeryturze, chłopców po maturze, urzędników pocztowych z pobliskiego urzędu, ślepców, wariatów i aktorów, panien sklepowych i pensjonarek — wszczęło wojnę podjazdową z humanitarnymi władzami R.S.P.C.A.

Udając, że przechodzą obojętnie koło ledwo co zauważalnych wentylatorów,

jątkiem zachodnio-niemieckiej „Bundeswehr“) słabnie i słabnie! jest wprawdzie znacznie słabsza niż zachodnio-niemiecka, nie wolno jednak zapominać o tym, że tak czy inaczej na Bałtyku dominuje niepodzielnie flota sowiecka, wsparta rozrastającą się flotą satelickiej Polski.

Jugosławia. W jesieni 1966 uruchomiono wojskową akademię techniczną i przedłużono szkolenie w podchorążówkach do 3, a częściowo nawet do 4 lat. Od zakończenia wojny przeszkolono 116.000 oficerów w 54 szkołach i akademiach wojskowych. Poprawia się również uzbrojenie, a niedawno zwodowano jeden okręt podwodny własnej produkcji.

Kage

„HOLYROOD“

POCZTÓWKA ZE

wszyscy ci koci zbawcy ruchem nagłym, a wprawnym wrzucają w głąb podziemi muzeum, przez oneż wentylacyjne otwory, wszystko co się da — a więc odpadki mięsne, świeże rybki, resztki risotta, czy nawet otwarte puszki z kondensowanym mlekiem.

Tak więc do podstawowego kłopotu z kotami w podziemiach muzeum dochodzi jeszcze kłopot pilnowania przechodniów i — wreszcie kłopot podobno największy: odytkanie rur wentylacyjnych, w które koty wciskają się poczuwszy jedzenie, a potem nie mogą się z nich wydobyć. Policja nie chce interweniować. Miłosierdzie dla głodnego zwierzęcia jest prawem każdego obywatela — powiadają londyńscy „bobbies“, a British Museum cierpi dalej.

Jeżeli była mowa o kotach, to wspomnijmy i o myszach.

— Podatek od psa na pewno znowu pójdzie w górę — jęczą brytyjczy petyści. — Schodzimy na psy. Niedługo angielskiego John Bulla nie będzie stać na utrzymanie najpospolitszego nawet kundla...

— Kocie jedzenie, wspaniałe przysmaki z wielorybiego mięsa podrożały znowu o jednego pensa na puszcze. Co raz gorzej dzieje się w tym zjednoczonych królestwie kotów i starych panien. Nasze koty-pieszczochy upadną niedługo tak nisko, że zaczną polować na myszy...

— Tępcie myszy — nawołują gromko władze samorządowe we wszystkich gminach Wielkiej Brytanii. Mysz — to wróg gospodyni i farmera. I chociaż to nasze własne, rodzime, nie importowane myszy — tępcy je w zgodnym wysiłku i wbrew hasłu „Popierajmy wszystko co brytyjskie“.

Te i tym podobne wezwania, hasła i żale nie robią najmniejszego wrażenia na... Narodowym Klubie Hodowców Myszy, który w tym kraju nieprawdopodobnych klubów i stowarzyszeń ma olbrzymie wzięcie. Zawołanie bojowe klubu jest zwięzłe: „Hodujmy myszy“. Hodujmy, bo: mysz mało kosztuje w wyżywieniu, daje się łatwo oswoić, a jeżeli to kogo interesuje, można się na niej poduczyć genetyki, gdyż mysie skrzyżowania rasowe przynoszą również wiele niespodziewanych wyników, co o wiele trudniejsze i nudniejsze krzyżowanie gatunków róż. Mysz zastąpi z łatwością drogiego psa, łakomego kota, oraz kanarka, który w brytyjskim klimacie zawsze jakoś traci ochotę do śpiewu...

Po powyższych zachętach wydrukowanych w piśmie Narodowego Klubu

Hodowców Myszy, czytamy o ostatnich zdobyczach na tym niezmiernie ważnym polu.

Dosłownie za psi grosz możemy obecnie nabyć (za pośrednictwem Klubu): mysz srebrno-kremową, mysz niebieską, z białym brzuszkiem, z różowymi oczami (wielka mi rzecz! zwykły albinos. przypisek autora) mysz z loczkami za uchem, o truskawkowym odcieniu futerka, mysz w paski i wreszcie — cud nad cudy — mysz, wypisz, wymaluj — miniaturkę siamskiego kota, brązowo popielate stworzenie o sterzących uszkach i błękitnych oczach.

Niejaka pani Cooper tak długo krzyżowała pokolenia myszy, aż wyhodowała ten ostatni genetyczny krzyk mysiej mody. Najciekawsze jest to, że jej własne cztery siamskie koty uważają nowe myszki za własne dzieci i odnoszą się do nich z najwyższą kocią czułością.

Jak moda to moda. Dyktaturze jej nie umkną ani hodowcy myszy, ani nawet kobiety, których życiowym zadaniem jest walka z dyktaturą.

Pani Helena Vlahos, dzielna Greczynka, miała niemiłe przeżycie w Londynie — właśnie z powodu mody. Po przejściach tajemniczej ucieczki z Aten, po wywiadach, konferencjach prasowych, przemówieniach, protestach i artykułach, pani Vlahos poczuła się wreszcie tak zmęczona, iż postanowiła dokładnie odpocząć. No i oczywiście, jak każda rasowa kobieta, wakacje swe umyśliła zacząć od tego, co zawsze najlepiej kozi znużone nerwy niewieście — od zakupów.

Potrzebowała płaszczka. Udała się więc do jednego z najbardziej znanych londyńskich domów mody, przejrzała szereg modeli i wreszcie zauważyła skromny, o szlachetnym kroju płaszczek w

ZBRODNIA
KATYŃSKA
W ŚWIETLE DOKUMENTÓW
z przedmową
WŁADYSŁAWA ANDERSA
Cena: 35/-

THE CRIME
OF KATYN
FACTS and DOCUMENTS
Cena: 37/6

KSIĘGARNIA S.P.K.
20, Queens Gate Terrace,
London, S.W. 7.

ZJEDNOCZONEGO KRÓLESTWA

kratke, który na dodatek był „kropka w kropkę“, czy raczej kratka w kratkę replikę jej własnego płaszcza, pozostawionego w Atenach. Tamten płaszcz był oczywiście grecki, ten — oczywiście angielski. Niewiele myśląc, wzruszona pamięcią o płaszczu, który zdezerterowała, spytała ile angielski model kosztuje i kto go projektował. Uprzejma sprzedawczyni odpowiedziała, że jest to model rysownika, u którego często ubiera się królowa angielska i że płaszcz ten, jak zresztą wszystkie zaprojektowane przez dyktatora brytyjskiej mody — ma swoją własną nazwę. Model tego cuda w kratkę nosi nazwę... „Junta“.

Pani Helena Vlahos nie kupiła żadnego przyodziewku w wytwornym „boutique“ i opuściła go w stanie wiekiego wzburzenia. Następnego dnia powiedziała dziennikarzom, iż angielski model jej ateńskiego płaszcza winien nosić wyraźne firmowe znakowanie: „Model Anti-Junta“.

Są jednak ludzie na ziemi brytyjskiej, którzy, chociaż tak samo wysadzeni z siodła przynależności do własnego rządu przez polityczne przemiany — swój los uchodźczy traktują ze stoicyzmem. Do takich uchodźców należy z pewnością niejaki pan Ferenc Horvath, kraju przez polityczne przemiany — raz od opresji sowieckiej, a drugi raz — od jakiegokolwiek pracy.

Ferenc Horvath zjechał do Londynu już w roku 1948, rozejrzawszy się szybko po mieście, zajrzał do Labour Exchange i postanowił zostać... trampem.

Wyglądający jak Bóg Ojciec w średnim wieku, brodaty pan Horvath jako jedyny majątek posiada maszynkę spirytusową, na której w parkach angielskich gotuje sobie herbatę, oraz smażony ulubiony przez siebie bacon. Żyje z tego co otrzyma „w darze“ od przechodniów, gdyż nigdy nie żebrze, skądże, zna na to zbyt dobrze brytyjskie przepisy prawne. Po prostu wygląda dekoracyjnie i intrygująco, spoglądając wymownie na przechodzących błękitem swych wyblakłych oczu. Ferenc Horvath ubrany jest na swoje wolne od trosk życie niezmiernie malowniczo: w dwa płaszcze, skórzany półkożuszek, sztuczkowe spodnie — takie jakie się nosi do kościoła St. Margaret's na ekskluzywne śluby, w grube walonki „made za Żelazną Kurtyną“, oraz szalik w kolorach jednej z najlepszych internatowych szkół angielskich.

Zapytany przez dociekliwego dziennikarza, dlaczego wybrał wolność w Lon-

dynie, pan Horvath odpowiedział z odzieniem politowania w głosie: w zimie w Londynie jest stanowczo cieplej niż w Budapeszcie. Zainterpelowany, czy nigdy nie brał pod uwagę możliwości pracy, odpowiedział po prostu: „Wszystko na całym świecie jest już „kaput“, więc po co się męczyć? Po co pracować, jeżeli można nie pracować? Poza tym jestem bardzo zajęty! Co rano kąpię się w Serpentyń, w Hyde Parku. To bardzo zdrowo. Potem — karmię ptaki. Rozumiemy się wzajemnie doskonale. No i przede wszystkim czytam co najmniej jedną gazetę dziennie. I tak życie mi płynie godnie i szczęśliwie...“

Gdyby nie perfidia Albionu, może by pan Ferenc nosił dziś na swej siwej głowie — kapelusz Napoleona. Ale — będąc lepszymi kupcami za czasów wielkiego cesarza niż są nim dzisiaj — Anglicy sprzedali swego czasu słynny trójrożny piróg cesarza wszystkich Francuzów za jakąś marną sumę nabywcy, którego nazwisko nie zachowało się dla potomności.

Kilka miesięcy temu we Francji to samo nakrycie głowy osiągnęło na licytacji zawrotną sumę 45 tysięcy nowych franków. Kapelusz co prawda podobniejszy był do nakrycia głowy trampa, niż do ozdoby cesarskiej głowy. Trudno się jednak temu dziwić, zważywszy, że piróg cesarski zdrowo wykapał się w morskiej wodzie w roku 1814-tym, kiedy to Napoleon płynął z niewielkiej wyspy Pianosa na Elbę. Silny szkwał zerwał mu kapelusz z głowy, wytarzał go zalany wodą pokładzie i zmieszał z błotem na decku niewielkiego stateczku. Wobec tego Napoleon, który nie posiadał już wielu rzeczy do zaofiarowania, oddał go wspaniałomyślnym gestem szambelanowi swego maleńkiego dworu — niejakiemu Lafi, który z kolei, obejrawszy nieszczęsny przedmiot, szybko go się pozbył ofiarując go pewnemu, angielskiemu oficerowi. W wiele lat później, bo dopiero w roku 1938 licytowano go w Londynie, oraz sprzedano za śmieszny cenę.

Dzisiaj los jeszcze jednej pamiątki po Napoleonie będzie na pewno szczęśliwszy niż dawniej. Napoleoński piróg kupiła bowiem znana francuska firma wyrabiająca „napoleoński“ koniak — mianowicie Courvoisier. Właściciele tego olbrzymiego koncernu mają zamiar umieścić go w oszklonej gablocie w swej fabryce, poddawszy go oczywiście uprzednio dokładnemu oczyszczeniu chemicznemu.

Księgarnia S.P.K.

20, QUEENS GATE TERRACE,
LONDON, S.W. 7.

Anders Władysław
BEZ OSTATNIEGO
ROZDZIAŁU 35s

Sosnkowski Kazimierz
MATERIAŁY
HISTORYCZNE 63s

Rudnicki Jan
SŁOWA A CZYNY 65s

Narbut-Łuczyński J. A.
U KRESU
WĘDRÓWKI 52/6s.

Korboński Stefan
W IMIENIU
RZECZYPOSPOLITEJ 63s

Nowakowski Zygmunt
WIECZORY
POD DĘBEM 42s

Tomkiewicz Mina
BOMBY I MYSZY 35s

Grabowski Zbigniew
OJCZYŻNA EUROPA 50s

Kuniczak W. S.
THE THOUSAND
HOUR DAY 42s

Korboński Stefan
WARSAW IN EXILE 42s

Przesyłka każdej książki 4s.

AMBASADORKI

II. ŻONY

Z pierwszej części mojego omówienia książki Żylińskiej pt. „Piastówny i żony Piastów“ mógł Czytelnik słusznie wyciągnąć wniosek, że księżniczki piastowskie rozsiane zostały po stolicach całej prawie Europy. Nie było niemal dynasti, w której żyłach nie płynęłaby krew Piastów. Z drugiej jednak strony — wszystkie te rody panujące zasilaly swą krwią naszą dynastję, tak że cała prawie Europa rządzona była właściwie przez jedną wielką rodzinę o bardzo zróżniczkowanych interesach dynastycznych.

Cudzoziemskie królowe rzadko cieszyły się u nas sympatią. Nic w tym dziwnego — na Zachodzie przecież, zwłaszcza w rodzinach panujących, stanowisko kobiety było wyższe niż w Polsce. Królowa miała wyższe wykształcenie, szersze horyzonty, większy głos w sprawach państwowych, a poezje trubadurów wyniosły kobiety na wyżyny, o których Polki, podlegające woli ojca, męża i brata — nie mogły nawet marzyć. Silne męskie ramię i potężny, a chyży miecz były wówczas w Polsce artykułami najpierwszej potrzeby.

Jeśli zważymy jeszcze, że kroniki w owych czasach pisali u nas duchowni, spoglądający na kobietę jako na źródło pokus i grzechu, jasne jest, że poza świątobliwymi niewiastami jak św. Jadwiga śląska, Kinga, Jolanta, a później nasza Jadwiga Andegawenka — niewiele żon królewskich cieszyło się ich dobrą opinią. Wystarczyła krótka, uszczypliwa wzmianka w kronice, aby taką cudzoziemkę pogrzyżyć w oczach historii. I dopiero późniejsze studia i głęboka analiza różnych źródeł, zwłaszcza zagranicznych, dają możliwość wzięcia w obronę kobiet, na które przed wiekami rzucono kalumnię.

Zacznijmy od Dąbrówki-Dobrawy. Kronikarz czeski Kosmos, praski kanonik, pisze o niej jadownicę: „taka była głupota kobiety, że udawała młodą dziewczynę“. Długosz zaś dodaje: „nie zawijała ona głowy w latach starszych, ale na wzór dziewczę występowała strojna w przepaskę i wieniec“. Biskup merseburki Thietmar, który żył znacznie wcześniej od nich obu (zmarł w r. 1018), a więc pisał prawie współcześnie, tak mówi: „...przedstawię resztę czynów znakomitego księcia Polan, Mieszka, o którym pisałem szeroko w poprzednich księgach. W czeskiej

krainie pojął on za żonę szlachetną siostrę Bolesława Starszego, która okazała się w rzeczywistości taka jak brzmiało jej imię. Nazywała się po słowiańsku Dobrawa, co w języku niemieckim wyklada się: „dobra“. Gdyby nie Thietmar, biedna Dąbrówka figurowałaby w naszej historii jako kobieta głupia i próżna.

Trzecią żoną Chrobrego była Emnilda. Dwie pierwsze: córkę margrabiego Miśni z rodu Wettinów i księżniczkę węgierską z rodu Arpadów, matkę Bezpryma, odprawił nie mając jeszcze 18 lat. Emnilda znalazła również łaskę u Thietmara. „Trzecią była Emnilda, córka czcigodnego księcia Dobromira, która niestateczny umysł swego męża ku dobremu zawsze kierowała...“

Największą krzywdę uczyniła nasza historia Rychezie (Ryksie), żonie Mieszka II. Postąpiła z nią równie okrutnie jak z jej wybitnym, a nieszczęśliwym mężem, dając mu przydomek „Gnuśny“. Wśród żon Piastów Rycheza miała wysoką pozycję: była córką Matyldy, siostry Ottona III, wnuczką Ottona II oraz księżniczki bizantyjskiej Teophano. Małżeństwo jej z Mieszkiem świadczy o tym, jak wysoko mógł sięgnąć w owym czasie Bolesław Chrobry.

Rycheza wychowywała się w klasztorze w Niemczech, „w jednym z najbardziej kulturalnych środowisk ówczesnego świata“ — mówi autorka. O babce Rychezy, cesarzowej Teophano, pisze Thietmar: „...męską zgoła opieką otaczała państwo swego syna, popierając we wszystkim sprawidliwych, łamiąc zaś i do strachu doprowadzając tych, co głowę podnosili“.

Sądząc z charakterów babki i wuja, Ottona III, oraz ze środowiska w którym się wychowała, musiała Rycheza być dziewczyną wykształconą i przyzwyczajoną do samodzielnego myślenia. Jej przyszły mąż był również nieprzeciętną jednostką: wybitny dyplomata, znakomity rycerz, bardzo na owe czasy wykształcony młodzieniec, opiekun kościoła i fundator opactw. Chlubne

świadcstwo wystawiła mu Matylda, księżna lotaryńska w ofiarowanej Mieszkowi księdze o liturgii katolickiej. Wstęp do tej księgi jest jedną wielką pochwałą Mieszka, „króla z Bożej łaski“, władającego językami greckim i łacińskim. Wspaniałą tę księgę zdołało malowidło przedstawiające samą Matyldę w chwili wręczenia daru Mieszkowi siedzącemu na tronie. Stroje obojga były tam wyraźnie anglosaskie. (Księga ta, przechowywana w bibliotece berlińskiej, zaginęła w XIX w., pozostała jedynie reprodukcja). Prócz greki i łaciny znał Mieszko z pewnością języki czeski i niemiecki. Podobne wykształcenie otrzymały dzieci tej wybitnej pary.

Jak widzimy więc, współcześni oddawali sprawiedliwość Mieszkowi. Niestety, późniejsi kronikarze obciążają ich oboje zarzutami, które wyglądają na oszczerstwo. Jakież to są zarzuty?

Długosz pisze o Mieszku: „Od początku panowania król polski Mieszko okazał się człowiekiem gnuśnego charakteru, tępego umysłu, niezgrabny, w radach nierozsądny, w działaniu słaby, mało zdatny do spraw większej wagi“. I dalej: „oddając się (...) hulankom i rozpuścić, jak twierdzą niektórzy, zbezczeszczył prawo małżeńskie i godność królewską stosunkami z nałożnicami“. Mnich brunwilerski pisze natomiast o jakiejś „wielkiej namiętności“, co brzmi zupełnie inaczej. Jednakże Rycheza opuściła męża po 18 latach pożycia, nie z powodu intryg jego kochanki, ale z przyczyny katastrofy państwowej, która nastąpiła w r. 1030. Jak wiemy bowiem, Bezprym, przyrodni brat Mieszka, i Otton — młodszy, rodzony, najechali Polskę korzystając z niemieckiej i urskiej pomocy. Nie Rycheza więc przez zemstę za zdradę męża sprowadziła Niemców, ale własni jego bracia. Znany nam już mnich brunwilerski pisze, że Rycheza odwoziła cesarzowi insygnia koronacyjne, „Roczniki hilderheimskie“ mówią, że zrobił to Bezprym. Być może, że da-

MAŁO ZNANE PIASTÓW

łoby się pogodzić obie te relacje. Może odesłanie insygniów miało być zapłatą za pomoc cesarską i królowa nie mogła temu zapobiec. Mogła tylko, wyjeżdżając do Saksonii, zabrać je na życzenie Bezpryma aby, przekazując je, przeprowadzić jakieś pertraktacje. Wiemy, że cesarz Konrad zezwolił, aby Ryczeza do śmierci nosiła tytuł królowej, dzięki czemu zachowała się jedność monarchii.

Położenie Ryczezy było bardzo trudne: zdrada męża, najazd kraju przez jego braci, wojna domowa, ucieczka króla do Czech, gdzie — według kroniki Galla został pozbawiony męskości, były to ciosy bardzo ciężkie. „To, że Ryczeza nie straciła zupełnie głowy, dowodzi nie tylko wyrobienia politycznego, lecz takich walorów osobistych jak męstwo, szybkość orientacji i poczucie odpowiedzialności“ — pisze słusznie Żylińska.

Bezprym rządził krwawo przez kilka miesięcy i zginął zamordowany. Mieszko wrócił do kraju i zaraz został wezwany do Merseburga, gdzie na żądanie cesarza musiał rzec się oficjalnie korony i zgodzić się na podział Polski na trzy części: jedna przypadła jemu samemu, druga Ottonowi, trzecia Teodorykowi, wnukowi Mieszka i Ody. Może spotkał Mieszko na dworze cesarza żonę, może doszło między nimi do pojednania, małżeństwo ich było jednak definitywnie skończone.

Czego dokonał ten tak ciężko dotknięty losem władca w ciągu pozostałych mu jeszcze dwóch lat życia? — „Książę Niezłomny“, jak go nazywa prof. Zygmunt Wojciechowski, zjednoczył rozbite królestwo i podjął zwycięską wyprawę na Pomorze, które odzyskał. Czy więc usprawiedliwiony jest surowy sąd Długosza?

O Ryczezie, która po śmierci męża wróciła z synem do Polski, do kraju ogołoconego wojną i rządami Bezpryma, ze skarbem doszczętnie ogołoconym i próbowała naprawić szkody okładając rycerstwo polskie daninami, pisze Długosz, że „wymy-

śliła i wprowadziła“, a później — „nie pozwalała znieść tych ciężarów, mimo próśb wielokrotnie zanoszonych do niej i do jej syna Kazimierza“. Mało tego: „...nienawidziła Polaków, gardziła ich obyczajami i mową i często obrzucała ich obelgami. Ponadto trzymała Niemców na swoim dworze i na urzędach (...). Jak wiemy, i księżniczki piastowskie, wydawane za mąż za granicę, chętnie otaczały się Polakami, jest to zupełnie naturalne. Co zaś do „obyczajów“ — być może, że nie wszystkie polskie obyczaje odpowiadały księżniczce wychowanej w zupełnie innym środowisku. Najcięższy jednak zarzut Długosza dotyczy skarbów, które zebrali poprzedni królowie, oraz insygniów koronacyjnych i pieniędzy: „Wywozi i odziera Królestwo Polskie z wielkich bogactw“. Nie są to wiadomości ścisłe, bo insygnia władzy odesłał już dawniej Bezprym. Co zaś dotyczy innych „wielkich bogactw“ — to wiemy z relacji Kosmosa oraz innych źródeł, że „skarbiec koronny oraz nieprzebrane bogactwa zrabował w parę lat później i uwiózł do Pragi, bodaj na stu wozach, Brzetysław, książę czeski“. Znienawidzona przez Polaków Ryczeza wyjechała z kraju. Wkrótce potem, na skutek buntu Mieciałwa, reakcji pogańskiej oraz najazdu Bratysławy — i Kazimierz musi uchodzić z Polski. Kto pomógł mu odzyskać tron ojca? Ryczeza, która wyprosiła u Konrada pomoc dla syna. Kto czuwał z oddali nad sprawami Polski, jak świadczy o tym natychmiastowa interwencja Henryka III w konflikcie polsko-czeskim? Chyba jednak Ryczeza. Kto wychował Kazimierza na mądrego polityka i dzielnego rycerza? Ciągłe ta uparta, znienawidzona przez Polaków Niemka. Nie wróciła do Polski nigdy. Może zbyt smutne łączyły ją z tym krajem wspomnienia, a może bała się zacieklej nienawiści Polaków? Wstąpiła do klasztoru w Brunwiler. Znajduje się tam dokument z r. 1051, w którym spotykamy zwrot: „domina venerabilis Richeza nomine,

regina quondam Poloniae“ („Czcigodna pani imieniem Richeza, niegdyś królowa Polski“). Ceniła wysoko ten tytuł aż do śmierci.

Były i ruskie księżniczki na polskim tronie. Pierwszą z nich jest Dobronega, co do której nie zgadzają się kronikarze czy była siostrą czy też córką księcia kijowskiego Jarosława. Wiemy z „Rocznika świętokrzyskiego“ (r. 1038), że Kazimierz Odnowiciel „pojął za żonę księżniczkę ruską imieniem Dobrogniewa (Dobronega) Maria, z którą spółdził czterech synów“. Przywiozła ona olbrzymi posag, który po najeździe Brzetysława musiał być Odnowicelowi wielką pomocą. „Latopis“ Nestora mówi, że „dał Kazimierz za wiano osiemset ludzi, których jeńcami zabrał był Bolesław, zwycięzcy Jarosława“. Żyła Dobronega długo, przeżyła męża o lat ponad trzydzieści, o sześć swego utalentowanego i nieokiełzanego syna — Bolesława. Nie wiemy czy była świadkiem tragedii rozegranej w Krakowie.

Bolesław ożenił się również z księżniczką ruską Wyczesławą, córką Światosława czernichowskiego. Jakie było ich pożycie? Nie wiemy. Nie opuściła go w nieszczęściu i kiedy Bolesław musiał uchodzić na Węgry, żona towarzyszyła mu wraz z synem. O chłopcu tym, Mieszku, Gall pisze: „Sam zaś chłopiec istotnie przewyższał wszystkich zarówno Węgrów jak Polaków szlachetnymi obyczajami i pięknosciami i zwracał na siebie uwagę wszystkich jawnymi dowodami, pozwalając mu wróżyć przyszłe panowanie“. Niestety, po śmierci Śmiałego Herman sprowadził oboje do Polski, ożeniono chłopca z ruską księżniczką, a w rok później Mieszko umarł, podobno otruty. Gall pisze: „Skoro zaś umarł młody Mieszko, cała Polska tak go opłakiwała jak matka śmierć syna-jedynaka. Wiśniacy porzucali pługi, pasterze trzody, rzemieślnicy swe zajęcia, robotnicy robotę odkładali z bólu za Mieszkiem. (...) Na koniec biedna matka, gdy w sarkofagu składano szczątki nieodżałowanego chłopca, przez godzinę leżała jakby umarła, bez tchu i bez życia, i dopiero po egzekwiach biskupi ocucili ją wachlarzami i zimną wodą“.

Dobronega, Wyczesława i nieznana nam z imienia żona otrutego przez

(Ciąg dalszy na str. 30)

Hermana Mieszka nie znalazły szczęścia w Polsce.

Władysław Herman miał dwie żony imieniem Judyta: księżniczkę czeską, która dała mu syna Bolesława, zwanego później „Krzywoustym“, oraz Judytę Marię salicką, córkę i siostrę cesarza. Ta druga Judyta miała złą opinię w Niemczech i nie poprawiła jej sobie w Polsce wiążąc się z palatynem Sieciechem, chciwcem i okrutnikiem. „Gdybyśmy z osobna chcieli opisywać wszystkie kłopoty i niepowodzenia (z powodu) Sieciecha, to dzieje jego bez wątpienia dorównywałyby „Wojnie jugurtyńskiej“ — napisał o tym Gall. Na usprawiedliwienie chociaż częściowe Judyty Marii trzeba powiedzieć, że sprowadzała księgi do Polski, a zwłaszcza sławny Kodeks emmeramski. „Rękopisy te (...) zaliczone były ze względu na kosztowne ich wykonanie, złote pismo, miniatury do skarbów“ — napisał prof. Kętrzyński. Przyjechała do Polski wraz z św. Ottonem z Bambergu, który został jej kapłanem, później był apostołem Pomorza.

Pierwszą żoną Krzywoustego była Zbysława, wnuczka wspomnianej już Gertrudy Piastówny, która przywiozła na dwór polski modlitewnik swej babki. Drugą jego żoną została znowu Niemka, Salomea, księżniczka Bergu. W ciągu 23 lat małżeństwa urodziła mężowi siedem córek i sześciu synów. Płodność ta miała bardzo zaciężyć na dalszych losach Polski, tym bardziej, że po Zbysławie pozostał syn Władysław, co więcej jeszcze skomplikowało spadek po Bolesławie.

Agnieszka, żona pierwородnego syna Krzywoustego, potomkini czterech cesarzy i przyrodnia siostra piątego, Konrada von Hohenstaufen, znienawidzona była bardziej jeszcze od Ryczezy. Oskarżono ją o oślepienie z osobistych powodów Piotra Włostowica, który był zresztą stronnikiem jej męża. Drugim stawianym jej przez kronikarzy zarzutem jest nadmierna ambicja, która skłaniała ją do scalenia królestwa i odsunięcia juniorów od sukcesji. Zdaniem Żylińskiej nie jest wiadomo, czy wina była całkowita po stronie Agnieszki, czy też niesnaski spowodowane zostały wzajemną nieufnością braci. Władysław, który wezwał na pomoc Ruś, Prusów i „dziką Jaćwież“, przegrał i — obłożony klątwą biskupią

musiał uchodzić z kraju. Agnieszka — jak wiemy — wygnana przez juniorów, podążyła z dziećmi za nim. Zabiegi jej u cesarza Konrada i papieża spełzły na niczym. Juniorów obłożono klątwami, Polskę interdyktem, wszystko daremnie. Dlaczego jednak wobec powstałych niesnasek Władysław sięgnął po pomoc na Ruś, do Prusów i Jadźwingów? Mógł przecież prosić o rozstrzygnięcie sporu swego cesarskiego szwagra? Ta pomoc, wzywana ukradkiem, aby Zachód się nie dowiedział o jego zamiarze obalenia testamentu ojca obciąża, niestety, Władysława i Agnieszkę.

„Agnieszkę“ — pisze Żylińska — „obwiniają kronikarze o nadmierną ambicję, ale czy ta ambicja jej zasadniczo była sprzeczna z racją stanu Polski? — Niewątpliwie, nie była sprzeczna, ale środki jakimi dążyła do jej spełnienia, stały się klęską dla kraju, którego pomyślność nie musiała jej zaprzętać głowy.

„Faktem jest“ — stwierdza autorka — że ta córka Bambergów nie wrosła nigdy z powrotem w swą niemiecką ojczyznę, uważała się zawsze za księżnę polską na tymczasowym wygnaniu. Wygnanie okazało się jednak stanem trwałym. Najpierw Agnieszka a potem Władysław zmarli na zamku Altenburg w Saksonii. Córka Agnieszki zdobyła wysoką pozycję, której los odmówił matce: została cesarzową Hiszpanii.

Święta Jadwiga rozpoczyna u nas szereg władczyń, które dzięki czci jaką otoczyło je duchowieństwo, doczekały się obszernej dokumentacji i weszły do historii i literatury.

Córka Bertolda III, hrabiego Andechs i Meranu, oraz Agnieszki z rodu margrabiów Miśni, nosiła starogermańskie imię Hadewic, co znaczy „Zwycięska“. Dziewczynkę wychowano w klasztorze i wydano za mąż w wieku lat 12 za Henryka, syna Bolka Wysokiego, który otrzymał później przydomek „Brodaty“. W chwili małżeństwa młodzieniec ten liczył lat 18. „Biedny Henryk, żeniąc się z Jadwigą“ — pisze autorka — nie przewidział jaka próba go oczekuje, albowiem Jadwiga była święta, a to nie jest przypadłość, która czyni łatwym współżycie“. Po urodzeniu Henrykowi siedmiorga dzieci Jadwiga złożyła ślub czystości i nakłoniła do niego również męża. Ale już dawniej prowadziła mniszy tryb ży-

cia. Henryk wybudował w Trzebnicy klasztor, do którego przeniosła się potem Jadwiga na stałe oddając się ascezie, kontemplacji i pokucie za grzechy własne i najbliższej rodziny. Niemalże były te rodzinne grzechy. O skandalach wywołanych przez jej siostrę, kochankę króla Francji, braci Jadwigi i narzeczonego jej córki Gertrudy — księcia Ottona Wittelsbacha, głośno było na dworach europejskich. Druga siostra księżny, Gertruda, królowa Węgier, została zamordowana w Preszburgu. Wszystkie te nieszczęścia i zbrodnie Jadwiga usiłowała okupić ascezą. Miała podobno dar jasnowidzenia: przepowiedziała śmierć obu swych synów, Konrada i Henryka. Zmarła w roku 1243, a miejsce, w którym złożono jej zwłoki, zaczęło odrazu słynąć cudami. W r. 1267 papież Klemens IV zaliczył Jadwigę w poczet świętych.

Żywoć pięknej córki króla węgierskiego Beli, a żony Bolesława V, księcia krakowskiego, sandomierskiego i pomorskiego, znany nam jest z przekazu Długosza pt. „Żywoć błogosławionej Kingi“. Kanonik krakowski oparł się w nim na wcześniejszym życiorysie, napisanym na początku XIV w., którego oryginał zaginął. Żylińska wykorzystuje przekaz długoszowy i omawia obszernie tę barwną i wybitną indywidualność, która umiała podporządkować sobie męża i nakłonić go po latach bezowocnej walki o dziedziczenie tronu do złożenia wraz z nią ślubu dziewictwa. Jej to zawdzięcza on przydomek dany mu przez historię „Pudicus“ („Wstydlivy“). Jej dziełem była prawdopodobnie kanonizacja św. Stanisława. Uroczystość ta odbyła się 8. V. 1254 roku, przy wielkim zjeździe duchowieństwa i książąt piastowskich. Kinga własnoręcznie obmyła winem relikwie i rozmieściła w drogocennych relikwiarzach.

Najmłodsza siostra Kingi — Jolanta — pragnęła pójść śladem starszej o lat 15 siostry: wydana za Bolesława kaliskiego, chciała jak Kinga skłonić męża do ślubu czystości. Spotkała się jednak z oporem siostry, który była dla niej wyrocznią, i ślubu nie złożyła. Ślad pobożności Jolanty, do której skłoniła widać również męża, pozostał w przydomku jaki dali mu współ-

czężni: „Pobożny“. Owocem ich małżeństwa były trzy córki: Elżbieta, Jadwiga i Anna. Druga z kolei, Jadwiga, została później wierną, długoletnią towarzyszką Łokietka i matką ostatniego Piasta, Kazimierza Wielkiego.

Jolanta i Kinga wstąpiły po śmierci mężów do klasztoru Klarysek w Starym Sączu. Przy tej okazji podaje nam autorka imiona 28 Piastów i wdów po Piastach, które poświęciły się życiu zakonnemu. Dlaczego tak wiele z nich wzięło welon? Stało się to z pewnością nie tylko dlatego, że nie znaleziono dla nich godnych mężów. I nie dlatego także, że przez Europę powiał wiatr dążenia do naprawy Kościoła oraz egzaltacji religijnej. Jako trzecią przyczynę podaje Żylińska argument, że „welon zakonny, a tym bardziej godność ksieni czy opatki podnosiły pozycję kobiety w opinii ogółu“. Działo się tak nie tylko w Polsce, ale i na Zachodzie

Autorka cytuje gorące słowa Karola Szajnochy o polskich królowych:

„Oprócz Jadwigi, którą najprzód przemocą z rozdartym sercem w śmiertelne jarzmo wciągnięto, a potem ukochano, nie masz w całej historii polskiej ani jednej ulubionej królowej. Które tylko zapragnęły większego w rządach udziału, tym bez wyjątku padł kamień potępienia...“

Praca Żylińskiej oparta jest na gruntownych studiach. Czerpie z kronik polskich, śląskich, węgierskich, ruskich, niemieckich, angielskich i sag skandynawskich, przytacza mnóstwo opracowań historycznych. Rozwija się przed nami genealogiczne drzewo Piastów, które, zwłaszcza po Krzywoustym, rozrasta się w prawdziwy gąszcz, a konarami obejmuje całą Europę. Autorka staje w obronie pokrzywdzonych kobiet z równym zapałem jak Szajnocha, zapał ten ponosi ją czasem zbyt daleko. Dała jednak czytelnikowi polskiemu książkę pasjonującą i potrzebną do poznania pełnej historii naszej pierwszej dynastii.

Krystyna Brzozowska

Jadwiga Żylińska — „Piastówny i żony Piastów“. Warszawa, 1967, Państwowy Instytut Wydawniczy. Str. 275, 3 nłb.

pogorszyła się, lecz dlatego, iż jak wynika ze wskaźników (ceny artykułów rolnych spadały szybciej niż przemysłowych), nie poprawiła się aż tak bardzo jak ludności miejskiej. Chłopi francuscy również buntują się i walczą z policją z tych samych względów. Głosują jednak gremialnie na de Gaulle'a i nikt ich z tego powodu nie uważa za masochistów.

Angielscy, amerykańscy i niemieccy rolnicy nie buntują się bo ludność miejska płaci im subsydia.

Odwrotnie, jest obecnie w Polsce „ludowej“. Płace nominalne prawie nie wzrastają, a ceny za artykuły pierwszej potrzeby, komorne i opłaty za usługi szybko rosną, co powoduje stałe i systematyczne obniżanie się płac realnych i stopy życiowej, a za przymusowe dostawy artykułów rolnych państwo płaci śmiesznie niskie ceny.

STAN OŚWIATY

Trudno dociec skąd Goldschlag wziął dane statystyczne, według których w 1930 r. „rejestrowano 30% ludności jako analfabetów“. (Czyżby sam ich liczył i to kiepsko). W istocie, dane statystyczne w tym względzie są tylko z 1921 i 1931 r., kiedy dokonano powszechnych spisów ludności, przy czym spis ludności z 1921 r. wykazał 33.1% analfabetów, a spis z 1931 r. tylko 23.1%.

Gdzie byli ci analfabeci? Na Śląsku w 1921 r. 2.6% analfabetów, a w 1931 r. już tylko 0.5%. Był to bodaj najniższy procent możliwy do osiągnięcia jeżeli się uwzględni fizyczną i psychiczną ułomność ludzką, uniemożliwiającą naukę nawet na elementarnym poziomie. Analfabeci więc byli na kresach wschodnich, a przede wszystkim na Polesiu, gdzie w 1921 r. było ich 71%, a w 1931 r. jeszcze 48.4%. Takie było nasze dziedzictwo po Moskalach.

Było to jak na ubogi kraj imponujące osiągnięcie, gdyż w ciągu 10 lat ilość analfabetów zmniejszyła się o 10%, a na Polesiu aż o 22.6%. Przy takim postępie w walce z analfabetyzmem sądzić można, że w 1939 r. było w całej Polsce około 10% analfabetów, przy czym były duże połacie kraju, gdzie ich już nie było.

Ponadto należy uwzględnić fakt, że analfabetami byli głównie starsi ludzie, których już nie można było nauczyć sztuki czytania i pisania. Wśród młodego pokolenia w 1939 r. było mało analfabetów nawet na Polesiu. W każdym razie podczas mojej służby wojskowej na Środkowym Wschodzie i we Włoszech nie natknąłem się ani na jednego żołnierza, który nie umiał czytać i pisać, przy czym prawie wszyscy ci żołnierze pochodzili z kresów wschodnich i dużo wśród nich było Poleszuków.

Obecnie po 23 latach rządów „socialistycznych“ w Polsce statystyka podaje ilość analfabetów na prawie 3.5 proc. ludności i to na terenach gdzie już przed wojną było ich niewiele.

STAN

BEZPIECZEŃSTWA I LOJALNOŚCI

Goldschlag pisze, że chłop będąc na prawie najniższym szczeblu drabiny społecznej („tuż przed Żydem“) „nienawidził starosty i wszelkiej władzy“. Innymi słowy, z konserwatywnego i bogobojnego chłopca zrobił anarchistrę. Jeżeli chodzi o moje spostrzeżenie, było wręcz przeciwne. Chłop był lojalny, hardy, pewien siebie i dobrze znający swe prawa, chroniące go przed starostą, który zresztą nie był rodem z piekła. Na przykład: pewien chłop został ukarany w trybie administracyjnym przez starostę za jakieś drobne wykroczenie. Od tego orzeczenia odwołał się do sądu okręgowego. W tego rodzaju sprawach rola prokuratora ograniczała się zwykle do powiedzenia „popieram oskarżenie“ lub „zrzekam się oskarżenia“. W tym wypadku jednak oskarżycielem był pełniący obowiązki podprokuratora młody asesor sądowy, który wygłosił płomienną i bardzo oskarżycielską mowę dziewiczą. Gdy sąd ogłosił wyrok skazujący, chłop oświadczył gniewnie: „Zapowiadam akasacjo, a pana prokuratora mam w dupie“. Istotnie spełnił swą zapowiedź i groźbę w części dotyczącej złożenia wyводу kasacji w sądzie najwyższym, chociaż prokuratora nie umieścił w przeznaczonym dla niego miejscu. Incy-

(Dokończenie na sr. 32)

dent ten skończył się na wybuchu śmiechu na sali, który udzielił się nawet sędziemu.

Jeżeli chodzi o wyznaczenie Żydom przez „polski elitaryzm najniższego szczebla na drabinie społecznej” czyżby zajmowanie przez nich stanowisk generałów, pułkowników, prezydentów miast, prawie monopol handlu, advokatury itp. świadczyło, że tak istotnie było?

Błądząc nad Wisłą Hostowiec chyba spotkał uciekających przed wymiarem sprawiedliwości naiwnych i początkujących złodziejasków, którzy mu mówili, że nikt nikogo nie wyda policji. Doświadczony i wytrwały przestępca dobrze wiedział, że sędzia nie skaże przestępcy, jeżeli go policjant nie złapie, a policjant go nie złapie jeżeli ludzie go nie wydadzą. Toteż, zgodnie z etyką złodziejską, poradziliby mu unikać chłopów, jeżeli aby zmylić pościg nie może iść głównymi drogami.

W gruncie rzeczy współpraca ludności, zarówno wiejskiej jak i miejskiej, z organami bezpieczeństwa i wymiaru sprawiedliwości była przed wojną w Polsce na wysokim poziomie i często ofiarna. Nie uganiała się u nas policja latami za znanymi przestępcami jak jest często i niekiedy bez skutku w Anglii, lecz ujmowała ich w ciągu kilku dni. Nie rabowano u nas w biały dzień przeciętnie co 10 dni banków. Zdarzały się niekiedy wypadki nocnych rabunków wiejskich agencji pocztowych gdzieś na odludziu, ale właśnie dzięki pomocy chłopów sprawcy przestępstwa niebawem byli schwytani i umieszczeni pod kluczem.

W Anglii więźniowie niekiedy wychodzą z więzień jak z hoteli i często usiłowania ujęcia ich przez policję są bezskuteczne. W Polsce nie było w ostatnich czasach przed wojną ucieczek z więzień. Uciekali czasem więźniowie (przeważnie chłopci) skazani na kary krótkoterminowe podczas pracy poza murami więzienia, ale byli oni dzięki pomocy chłopów niezwłocznie ujmowani przez policję i umieszczani z powrotem w więzieniu.

Goldschlag więc zamiast martwić

PRENUMERATA „ORLA BIAŁEGO”
TYLKO £.2.2.0 ROCZNIE!

się winien być wdzięczny losowi za to, że nie podburzał chłopów i robotników do buntu, albowiem gdyby to czynił byłby wydany przez nich policji i mógłby, zgodnie z naturalnym porządkiem rzeczy na całym świecie, znaleźć się w jakimś Brześciu.

Wobec takiego stanu rzeczy, pomimo wzrostu ludności, przestępczość oraz ilość sędziów, prokuratorów i policji z roku na rok zmniejszała się. Np. w latach 1932-1935 ilość sędziów i prokuratorów zmniejszyła się o 500 osób (z 4 tysięcy do 3.5 tysiąca). W 1936 r. było tylko 448 prokuratorów.

Inaczej jest obecnie w Polsce „ludowej”. Stan policji jest tajemnicą państwową, ale statystyka podaje, iż na mniejszym terytorium i przy mniejszej ilości ludności było w 1966 roku zatrudnionych aż 2.723 prokuratorów, czyli z górą 6-krotnie więcej niż przed wojną i to pomimo faktu, że obecnie zamiast 3 instancji sądowych są tylko dwie. Nic w tym dziwnego. Gdy każdy, kto może kradnie „mienie społeczne” i nikt nikogo nie wydaje nawet horda prokuratorów i innych funkcjonariuszy wymiaru sprawiedliwości nie może sobie poradzić.

Goldschlag słusznie pisze w związku z polemiką z Ciołkoszem, że „gdy dwaj ludzie patrzą na tę samą rzecz, to, mimo identycznych obrazów na swych siatkówkach, widzą ją odmiennie dzięki różnicom w strukturze mózgowej”, tym bardziej, że jak wiadać z tego artykułu trzej ludzie widzą ten sam obraz inaczej.

Wszakże, gdy wykształceni i logicznie myślący badacze tego samego przedmiotu opierają rzetelnie wyniki swych dociekań na źródłach i materiale dowodowym różnice w ich poglądach i ocenie są minimalne. Odwrotne zjawisko następuje gdy w przeciwieństwie do rzetelnych badaczy, stosujących metodę naukową, inni pisząc na ten sam temat puszczają wodze swej fantazji, lub opierają swe wnioski na pobożnych życzeniach.

Z drugiej strony jasnym jest, że Goldschlag cierpi niepotrzebnie za miliony, chociaż niejasne jest dla niefachowca w tej dziedzinie czy ma w tym przyjemność?

Aleksander Stambrowski

PAMIĘCI OFIAR KATYNIA

Uroczystość ku czci ofiar Katynia, zorganizowana z inicjatywy Stowarzyszenia b. Sowieckich Więźniów Politycznych w Londynie, w niedzielę 28 kwietnia br. w kościele św. Andrzeja Boboli, miała charakter religijny. Przed nabożeństwem gen. Anders — prezes Rady Stowarzyszenia — w asyście Władysława Cichego (b. jeniec Kozielska) i Adama Treszki, członków Zarządu Stowarzyszenia, złożył wieniec pod pomnikiem ku czci pomordowanych i zamęczonych ofiar terroru sowieckiego.

W uroczystości wzięli udział m.in. gen. Roman Odzierżyński, prezes Tadeusz Bielecki, prezes Kazimierz Sabbat, prof. Stanisław Ostrowski, prof. Zdzisław Stahl, prezes Paweł Hęciak, gen. Karol Ziemiński, prezes Stefan Soboniewski, dr Witold Czerwiński, płk. Stanisław Kuniczak i ppłk. Zygmunt Nadratowski.

Mszę św. odprawił ks. prałat Kazimierz Sołowiej, który wygłosił podniosłe kazanie. Kaznodzieja przypomniał dzieje mordu dokonane na bezbronnych jeńcach z obozów Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa, podkreślając, że naród w kraju nie ma możliwości głoszenia prawdy o Katyniu. Natomiast my, którzy pozostaliśmy w wolnym świecie, mamy tę możliwość, a zarazem obowiązek i to jest istotny cel naszej emigracji.

Po nabożeństwie w sali parafialnej gen. Anders wygłosił przemówienie, w którym stwierdził m.in.:

„Cały naród wie dobrze, jaka jest prawda o Katyniu. Całe społeczeństwo, cały naród nasz wie doskonale, że w lesie katyńskim i w innych miejscach dotąd nieznanymi bolszewicy wymordowali tysiące bezbronnych naszych kolegów i braci.

Przed kilku miesiącami, przed sądem komunistycznym w Lublinie rozegrała się tragicomedia procesu, związanego z Katyniem. Przed sądem stanęli dwaj studenci, oskarżeni o to, że usiłowali „zamącać prawdę o Katyniu”. Naturalnie według komunistycznych sędziów prawdą była niewinność sowiecka. Oskarżeni podawali oczywisty fakt, że wszyscy Polacy w Kraju, łącznie nawet z partyjnymi komunistami, nie mają żadnej wątpliwości co do tego, że Stalin i Beria winni tego masowego mordu. Jedyną odpowiedzią na tak jawne i prosto w oczy rzucone oskarżenie był wyrok więzienia, wydany 16 listopada ub. roku w sądzie lubelskim. Wyrok fałszywych sędziów nie ukryje prawdy przed światem i historią.

Dzisiaj — zakończył swoje przemówienie gen. Anders — przed tym pomnikiem w kaplicy Matki Boskiej Kozielskiej, u stóp innych pomników, wo-

Z ŻYCIA POLSKIEGO

bec urn i tablic, oraz tych pomników, które ufundowane zostaną w przyszłości, powinniśmy corocznie ślubować, że nie zapomnimy o ofiarach Katynia i wszystkich tych Polakach, którzy zginęli od terroru sowieckiego. Oskarżam Sowietów o te potworne zbrodnie i żądam kary na morderców. Pamięć ofiar będzie zawsze żywa w całym naszym narodzie, który nie słabnie w żądaniu sprawiedliwości i wolności“.

W BRAZYLII W HOLDZIE OFIAROM KATYNIA

Z inicjatywy SLP w Brazylii, odbyło się w przepięknym kościele Uniwersytetu Katolickiego w Sao Paulo, dnia 31 kwietnia 1968, uroczyste nabożeństwo na intencję pomordowanych Żołnierzy Polskich w Katyniu, zamęczonych przedstawicieli Rządu Podziemnego, maltretowanych ostatnio studentów i intelektualistów w PRL, oraz wszystkich Polaków, ofiar reżymu komunistycznego narzuconego Polsce.

Równocześnie została wydana i szeroko rozpowszechniona odezwa do społeczeństwa brazylijskiego i polskiego, w której Stow. Lotników Polskich w Brazylii m.in. oświadcza:

„Potępiamy publicznie reżym i wszystkich, co z nim współpracują, niebaczni na godność ludzką i przelaną krew naszych Żołnierzy.

Potępiamy renegatów, co tchórzliwie i dla korzyści milczą na emigracji o zbrodni katyńskiej i krzywdą Braci naszych w Polsce obojętnością.

Potępiamy reżymowców, którzy wyparli się pamięci polskich Męczenników, których ponad 2 miliony zginęło w sowieckich łagrach.

Potępiamy reżym komunistyczny, zdrajców i sprzedawczyków Polski, którzy na wzór Targowicy usiłują przemocą i gwałtem, upodleniem i fałszem odebrać nam BOGA i OJCZYZNĘ“.

Z OKAZJI ROCZNICY GETTA WARSZAWSKIEGO

Staraniem Kiermaszu Książki Polskiej SPK w Szwajcarii urządzono w Domu Akademickim w Zurychu akademię poświęconą 25-tej rocznicy Getta Warszawskiego.

Na program złożyły się 3 przemówienia. Zagaił O. prof. I. M. Bocheński przedstawiając martyrologię Żydów w czasie ostatniej wojny.

Prof. M. Minkowski jako przedstawiciel Żydów w dłuższym referacie mówił o beznadziejnej walce Żydów w Getcie Warszawskim jako tragicznej manifestacji walczących o wolność ludzi i wspominał o pomocy Polaków udzielanej walczącym w Getcie Żydom.

Dr. J. Paszkowski przypomniał udział i pomoc Armii Krajowej w dostarczaniu broni i sprzętu powstańcom Getta. Następnie podał liczne przykłady pomocy poszczególnych Polaków, którzy nie bacząc na śmiertelne niebezpieczeństwo, ratowali Żydów, a szczególnie tych, którzy wydostali się z piekła tragicznej walki.

Na sali byli przedstawiciele różnych narodów: Czesi, Litwini, Polacy, Słowacy, Szwajcarzy, Węgrzy i Żydzi — razem ok. 200 osób. Szwajcarska Agencja Depeszowa nadała po uroczystości komunikat do 80 dzienników, w rezultacie w całej prasie szwajcarskiej ukazały się artykuły omawiające uroczystość.

Komitet reprezentowały następujące organizacje: Kiermasz Książki Polskiej SPK Instytucja kulturalno-oświatowa — K. F. Vincenz (przewodnictwo i sekretariat), Koło Zurych SPK — Haliszka Vincenz-Poniatowska i dr Janusz Rakowski, Koło Polskie — Wanda i Henryk Blumerowie, Towarzystwo Polskie — dr K. Biźnia, Polskie Kat. Stowarzyszenie Akad. „Veritas“ — ks. mgr. E. J. Frania i dr W. Stefaniak.

ROCZNICA KONSTYTUCJI W ZURYCHU

4 maja br. w Zurychu w sali Klubhaus odbyła się uroczystość poświęcona upamiętnieniu rocznicy Konstytucji trzeciomajowej.

Przewodniczący Komitetu Międzyorganizacyjnego dr W. Stefaniak w dłuższym referacie zobrazował okres działań organizacji niepodległościowych.

W dalszej części programu Maria Paszkowska odegrała na fortepianie kilka utworów Czesława Marka, kompozytora i dyrygenta żyjącego w Zurychu, a następnie Etiudę Rewolucyjną Chopina.

W deklamacji polskiej poezji wystąpiły dzieci w strojach narodowych: Marysia Morkowska, Teresa i Antoś Wojnarscy i najmłodszy J. Chrobot. Prawdziwą atrakcją był występ ośmiolletniej pianistki Andrej Audykowskiej, która zdradza niepośledni talent. Na zakończenie prof. Zaczkowski odegrał na fortepianie parę utworów Paderewskiego i Szopena.

Zapowiadał z humorem i werwą K.F. Vincenz.

W NORWEGII I SZWECJI PRZECIW UCISKOWI W POLSCE

„Zarząd i członkowie Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Norwegii składają hołd Rodakom w Polsce, w szczególności młodzieży akademickiej, pisarzom, artystom, naukowcom i robotnikom, za ich patriotyczne wystąpienie przeciw nikczemnemu nakazowi przerwania przedstawień „Dziadów“ Mickiewicza w teatrze w Warszawie, nakazowi wydanemu przez gnębiącą Polskę siłą i uciskiem, a znenawidzoną przez naród partię komunistyczną i podwładny jej wykonawczy organ państwowy...“

W dalszym ciągu rezolucja stwierdza:

„Razem z Wami, Drodzy Rodacy w Kraju, ufamy i pragniemy, by jak najszybciej upadły w Polsce rządy uzurpatorów, agentów i marionetek Rosji Sowieckiej, ludzi złych i głupich. Podzielając Wasze nadzieje i dążenia, znając Wasze ciężkie warunki bytu, odczuwając Wasz ból i rozpacz — powtarzamy za poetą: „Wytrwania, wytrwania o dajże im, Boże“ i wpatrzeni w jego wizję oczekujemy razem z Wami jutrzienki swobody, za którą przyjdzie do zniewolonego i umęczonego Kraju zbawienia słońce.“

Rezolucja Rady Uchodźstwa Polskiego w Szwecji potępia:

„aparatus ucisku w Kraju..., tłumienie wolnej myśli, twórczości literackiej, artystycznej oraz inicjatywy rozwoju życia gospodarczego“.

„... Metody te dowodzą, że rządząca w Polsce grupa wyzuta jest z wszelkiej idei i sięga do arsenału najbardziej reakcyjnych środków dla utrzymania się przy władzy“.

Rezolucja apeluje również do Żydów w świecie, aby „nie dali się wprowadzić w błąd. Naród Polski nie ma nic wspólnego z antysemityzmem rozdmuchiwany przez rządzącą klikę.“

PLAN BUDOWY DOMU STARCA W AUSTRALII

Stowarzyszenie Polskich Kombatantów w Australii przystępuje do akcji na rzecz budowy ośrodka dla osób w podeszłym wieku. Dom taki ma powstać w miejscowości Marayong koło Sydney i będzie prowadzony przez Siostry Nazaretanki. Koszt budowy Domu wyniesie ok. \$ 12.000.

W grudniu 1966 w Marayong został poświęcony kościół Matki Boskiej Częstochowskiej. SS. Nazaretanki prowadzą tam również szkołę i opiekują się sierotami polskimi.

(Dokończenie na str. 34)

W historii Anglii znamy niejednego szalonego króla. Jego czyny, decyzje, czy zachowanie się, które dzisiaj zakwalifikowanoby z pewnością, jako co najmniej ciężką chorobę, wymagającą leczenia, w tamtych czasach, kiedy wierzono, iż godność monarsza jest dana od Boga — owi pomazańcy Boży rządili szaleńczo i bezwzględnie setkami tysięcy swych poddanych.

W czasach nam bliższych, bo w wieku 19-tym, angielski król Jerzy III, który zmarł w roku 1820 po długim panowaniu, był uważany przez współczesnych mu za człowieka umysłowo chorego. Od chwili jego śmierci aż po czasy dzisiejsze, a więc od prawie 150-ciu lat, nauka medyczna, o tyle bardziej światła od średniowiecznej, czy nawet wczesno-dziewiętnastowiecznej, wciąż jeszcze kwalifikowała nieszczęsnego Je-

GAWĘDA LEKARSKA

KRÓLEWSKA CHOROBA

rze go III jako depresyjnego, maniakalnego psychopaty o gwałtownych i niczym nieprovokowanych okresach podniecenia, które z reguły kończyły się stanem głębokiej depresji.

Na początku naszego wieku osobowością angielskiego króla zainteresował się nawet wielki Zygmunt Freud, stawiając tezę, na podstawie zachowanych opisów jego choroby, iż Jerzy III cierpiał na pewne poważne niedomagania seksuologiczne.

I wręczcie, w wiele lat po Freudzie i jego teorii o przyczynach choroby króla (dzisiaj jak wiemy, nie wszystkie odkrywcze, a nawet rewolucyjne teorie Freudą oparte na instynkcie seksualnym jako na motorze ludzkiego postępowania wytrzymały próbę czasu) — lekarze zaczynają powątpiewać w królewskie szaleństwo, szukając raczej przyczyn w chorobie, która w drugiej połowie 20-go wieku nie przedstawia już wielkiej medycznej zagadki.

Otóż na podstawie raportów dworskich lekarzy z tamtych czasów, pamiętników, czy wspomnień, opisujących zachowanie się Jerzego III, medycyna współczesna jest niemal pewna, iż choroba brytyjskiego monarchy nie miała nic wspólnego ze schorzeniem psychicznym, a była — chorobą fizyczną.

Choroba ta nosi nazwę „Porfirii“ i jest chorobą dziedziczną, chociaż niekoniecznie atakującą każdego członka rodziny. Przyczyną jej jest brak zdolności organizmu do przetwarzania protein, z których składa się w ogromnej mierze nasze pożywienie, i które z jakichś organicznych, wrodzonych powodów nie mogą zamieniać się przy pomocy skomplikowanej chemii ludzkiego organizmu w substancję, jaką organizm ten byłby w stanie zużytkować.

W rezultacie więc, po pewnym czasie organizm tak upośledzony gromadzi olbrzymie zapasy nieprzetworzonych protein, które zaczynają działać jak trucizna.

Chory zaczyna być nieswój. Pewnego dnia odczuje ostre bóle żołądka. będzie cierpiał na wymioty, na obstrukcję, a także, bardzo często, na bóle i słabość kończyn. Te ostatnie objawy stosunkowo do niedawna kładzione były na karb reumatycznych lub artretycznych niedomagań. Niekiedy człowiek chory na porfirię zaczyna naraz nie znosić słońca, a psychicznymi objawami jego choroby będą: najpierw nadmierne przewrażliwienie, podniecenie, irytowanie się bez powodu, potem ha-

lucynacje, nieraz konwulsje, aż do całkowitego stanu delirium. Poza tym dość często psychiczne objawy tej choroby, z krzywdą dla Boga ducha winnych pacjentów, którzy naprawdę czuli się bardzo chorzy, uważane były za ataki hysterii i pozostawiane jako takie — samym sobie.

Jednym z najbardziej charakterystycznych symptomów porfirii jest to, iż uryna pacjenta, po odstaniu się przez pewien czas, zmienia kolor na ciemnoczerwony. To właśnie trucizna w postaci nieprzerobionej przez organizm substancji proteinowej daje w ten sposób o sobie znać.

Oczywiście, za czasów Jerzego III fenomen zmiany koloru był znany, ale niewytłumaczalny. Dopiero dzisiejsze laboratorium doświadczalne i błogostawieństwo postępu w naukach nie tylko medycznych, pozwala nam na zrozumienie wielu niezrozumiałych przed tym objawów.

Odporność organizmu człowieka cierpiącego na porfirię ma ogromne znaczenie. Zwykle przeziębienie, stany gorączkowe, wywołane innymi schorzeniami, a nawet obfite zażywanie środków nasennych — mogą rozbudzić drzemającą w organizmie chorobę.

Obecnie podejrzewa się, że porfirię trafiła do angielskiej rodziny panującej około 400 -u lat temu. Wspomina się Marię, królową Szkoeką, która przez syna swego Jakuba I przekazała ją domom panującym Hanoweru i Prus. I tutaj dzieła historyczne, cierpliwe szperanie badaczy starych manuskryptów, ksiąg i zapisków okazały się nieocenione dla medycyny współczesnej. Wiemy już dzisiaj napewno, iż choroba ta przechodzi z rodziców na dzieci. Wiemy też, że w przeciwieństwie do innych chorób dziedzicznych, nie jest to choroba śmiertelna. A nie będąc chorobą śmiertelną, nawet i dzisiaj może być zaniedbana i zlekceważona przez tych członków rodziny chorego, którzy o swym wiecznie podnieconym, zirytowanym, synu, bracie, czy krewnym powiedzą z uczuciem politowania i beznadziejności: „No coż się dziwić? Taki był jego ojciec i dziadek... To rodzinne. Oni wszyscy zawsze mieli „źle w głowie“...

Otóż nie. Wiele przypadków tych, którzy od pokoleń mieli „źle w głowie“ może być teraz leczonych nie w zakładach dla nerwowo chorych, ale w klinikach chorób wewnętrznych.

Dr. Michał

OBRADY

FEDERACJI POLSKO-WĘGERSKIEJ

W dniu 28 kwietnia br. odbyły się w Chicago Society obrady naczelnych władz Federacji Polsko-Węgierskiej, której prezesem jest dr Karol Ripa. Ze złożonego sprawozdania wynika, że Federacja poczyniła wielkie postępy na terenie świata Zachodniego. Założono nowe delegatury: w Wiedniu, na Florydzie oraz w Meksyku. Główną część zebrania poświęcono uchwaleniu tekstu memoriału do sekretarza Narodów Zjednoczonych, do Białego Domu oraz do członków Kongresu Amerykańskiego. W niedalekiej przyszłości ukaże się broszura obrazująca działalność Federacji.

KOMUNIKAT

Polskie Towarzystwo Historyczno-Literackie w Paryżu posiada w Bretanii, w Dinard, nad samym morzem willę zapisaną w testamencie Towarzystwu przez śp. Kamila Gronkowskiego, jego prezesa. Willa nosi nazwę „LA VISTULE“ i mieści się przy ulicy Vistule No 5. Zgodnie z wolą testatora willa przeznaczona jest na dom wypoczynkowy dla osób z pracującej inteligencji, z pierwszeństwem dla członków Towarzystwa. Willa otwarta jest od początku czerwca do końca września. Opłata za pokój jednoosobowy wynosi 5 Fr., a za dwuosobowy 8 Fr. dziennie. Pokoje są umeblowane, należy jedynie przynieść ze sobą bieliznę pościelową. Jest możliwość gotowania we wspólnej kuchni, otrzymuje się do użytku garnki, sztućce, talerze i filiżanki.

W roku bieżącym są jeszcze wolne pokoje na miesiąc czerwiec i wrzesień. Zgłoszenia o przydział pokoi należy kierować na adres: Société Historique et Littéraire Polonaise — 6, Quai d'Orléans, PARIS 4°.

TAJEMNICE MOWY LUDZKIEJ

W RECENZJACH z książek o współczesnej filozofii polskiej, a zwłaszcza o logice podkreślony był wysoki poziom naukowy, jaki w tej dziedzinie osiągnięto.*) Ale w umyśle praktycznie usposobionego czytelnika mogło zrodzić się pytanie, jaki pożytek można wyciągnąć z tej sytuacji w zastosowaniu do innych nauk lub zagadnień życiowych. Jedną z odpowiedzi na to pytanie można znaleźć przykładowo w napisanej po angielsku, a wydanej w Londynie książce autora polskiego, profesora na uniwersytecie poznańskim, dra Tadeusza Batóga poświęconej teoretycznej fonologii.**)

Ale najpierw, co to jest fonologia? Jest to ta dziedzina badań nad językiem ludzkim, od której zwykła się zaczynać każda porządna, systematyczna gramatyka. Jeśli zajrzeć do klasycznej dla nas „Gramatyki języka polskiego“ Stanisława Szobera, to można się przekonać, że wykład jej zaczyna się właśnie od fonetyki, czyli głosowni opisowej, w której mówi się o głoskach, czyli fonemach. Lecz fonetykę teoretyczną, czyli fonologię nie interesują konkretne właściwości tych głosek i sposoby ich wywoływania przy pomocy narządów mowy, ale ich zasadnicze bogactwo i wzajemne powiązania w poszczególnym a potem każdym systemie językowym. I już na tym tle powstaje całe mnóstwo zagadnień teoretycznych, nad którymi łamią sobie głowę językoznawcy i filologowie, badając zachowane w tekstach zapisy mowy ludzkiej.

Analizując zjawiska fonetyczne języka trzeba się oprzeć o pewne założenia podstawowe, czym właściwie są te elementarne fonemy? I na tym tle powstają spory między teoretykami. Došlo podobno do tego, że jak zapewnia dr Batóg, każdy teoretyk językoznawca posiadał do ostatnich czasów własną teorię fonologiczną. Niedawno wydano w Ameryce specjalny słownik językoznawstwa (Mario Pei: Glossary of Linguistic Terminology, New York, Columbia University Press, 1968), który rozpatruje aż 4 osobne definicje fonemów, czterech wybitnych językoznaw-

ców. I nawet nie ma zgodności w pojmowaniu tego, co rozumie się przez „minimalną jednostkę dających się wyróżnić cech dźwiękowych“.

Tymi zagadnieniami zajmowano się już od dawna. Autor „Aksjomatycznej metody w fonologii“ wymienia na pierwszym miejscu światowej sławy językoznawcę polskiego Jana Ignacego Baudoina de Courtenay (1845-1929), ojca zmarłej niedawno prof. etnologii dr Cezarii Jędrzejowiczowej, rektora Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie. Obok niego wymienić można również świetnego językoznawcę szwajcarskiego Ferdynanda de Saussure (1857-1913). Ale pierwsze próby ujęcia zagadnienia przy pomocy logiki sformalizowanej, czyli tzw. matematycznej i to w sposób aksjomatyczny, tj. w formie podobnej do systematycznego wykładu geometrycznego czy matematycznego, datują się dopiero od r. 1927. Nie mniej te pierwsze wyniki wykorzystano nie wcześniej jak od 1948 r. Prowadziły one nie tylko do wyjaśnienia i uściślenia badań w tej dziedzinie, ale w ostatecznym obrachunku do wyeliminowania wielu błędnych założeń i przechylenia szali na rzecz teorii najbardziej odpowiadających rzeczywistości. Dzięki pracom kilku badaczy obcych i polskiego autora zdołano nieograniczoną liczbę teorii osobistych sprowadzić do dwóch czy trzech mających mocniejsze uzasadnienie. Rozwiązanie zagadnienia podane przez dr Batóga polega na próbie sformalizowania odpowiednio zastosowanej teorii jednego z amerykańskich językoznawców Zellig Sabbettai HARRISA, zwolennika bardzo modnego dziś w różnych dziedzinach strukturalizmu.

Recenzentowi nie sposób przedstawić tutaj całego toku dowodów, dokonanych przy pomocy rachunku znaczkowego z zastosowanej tzw. Wielkiej Logiki, na którą składa się rachunek zdaniowy, rachunek kwantyfikatorów i elementy teorii mnogości. Niemniej, aby dać pewne pojęcie o tym, na jakiej drodze dochodzi się do pewnych wyników, wystarczy wspomnieć, że po symbolicznym przedstawieniu pewnego zespołu pojęć pierwotnych i stosunków, autor zapisuje 14 aksjomatów swego systemu i z nich wyciąga dalsze wnioski i twierdzenia. Odnoszą się one do tzw. łańcuszków fonemów, miejsca i czasu trwania odinków tych łańcuszków. Potem od fonemów przechodzi się do wypowiedzi i zdań prowadzących do określenia tego, co rozumie się przez pojęcie słowa. Z kolei przechodzi się do systemów fonemów i innych pojęć

niebędnych w strukturalnej ich teorii. Na tym tle rozwija się kilka hipotez dotyczących podstaw każdego idiolektu, czyli badanego wycinka żywego dialektu. Zatem idzie tutaj o rzeczy bardzo ściśle i bardzo abstrakcyjne. I właśnie w imię tej ściśłości dr Batóg zastrzega się, że jego system nie ogarnia całokształtu systemu teoretycznej fonologii HARRISA.

Pozytywny wkład swego systemu polski autor ujmuje w 3 punktach: 1) Podanie zespołu pojęć pierwotnych wystarczających dla zdefiniowania prawie wszystkich innych pojęć w fonologii, 2) podanie sposobu aksjomatycznego scharakteryzowania tych pojęć, 3) uporządkowanie aparatu pojęciowego i przedyskutowanie podstawowych hipotez w fonologii. Rozprawę zamyka bibliografia złożona z 24 pozycji oraz rejestr pojęć, nazwisk i symbolów. Tak więc, niebotyczne w swej ogólności zasady logiki znajdują zastosowanie w jakże bliższej każdemu z nas dziedzinie mowy ludzkiej. Wykrycie ogólnych praw, czy prawidłowości, które rządzą w tej dziedzinie może mieć wielkie znaczenie w dalszych zastosowaniach, np. w dziedzinie budowy aparatów reprodukujących syntetycznie mowę ludzką, lub w dziedzinie automatycznych przekładów z jednego języka na drugi. Ale to już należy nie do wiedzy czystej, lecz do jej zastosowań praktycznych.

Z obwoluty książki dowiadujemy się, że dr T. Batóg jest filologiem i logikiem jednocześnie, tytuł magistra otrzymał w r. 1955, a doktorat zrobił w 1962. Obecnie wyklada na Uniwersytecie Poznańskim i ogłasza prace w „Studia Logica“. Książka jego zaś powstała z inicjatywy prof. G.B. Keene z Uniwersytetu w Exeter.

Jan Ostrowski

Prosimy uprzejmie Prenumeratorów „Orla Białego“ o adresowanie cieków i P.O. tylko na:

GRYF PUBLICATIONS Ltd.

**Czy jesteś
członkiem
SPK ?**

...*) Patrz: „Filozofia analityczna Skolimowskiego“, „O.B.“ Nr. 40/1187 z listopada 1967, str. 33-34. „Logika Polska 1920-1939“, „O.B.“ Nr. 42/1189 ze stycznia 1968, str. 36-37 oraz „Gnoseologia“ „O.B.“ Nr. 35/1182 z czerwca 1967, str. 32-33.

***) Tadeusz Batóg: „The Axiomatic Method in Phonology“, London, Routledge & Kegan Paul. 1967, VII+126 p.

Patrząc na tę roześmianą i roztańczoną młodzież, która 4 maja przewinęła się na scenie londyńskiego Commonwealth Institute, trudno jakoś było nam widzom uwierzyć w tę jubileuszową leciwość Zespołu. A jednak to prawda, Zespół ten tańczy już od 15 lat, wykazuje bardzo dobry poziom, jest tą szczęśliwą oazą dla naszej młodzi o artystycznych aspiracjach, młodzieży która przez kilka trudnych lat kształtowania swej osobowości pozostaje w kręgu kultury polskiej.

Ślad tego pozostanie jej chyba na dalsze życie. I to może najważniejsza rola zespołu artystycznego na obczyźnie. „Kolberg“ ma na swoim koncie kilka dziesiątków Maryś, Barbar i Teresek, Andrzejów, Jasiów i Krzysztofów, którzy i czas spędzili pożytecznie i nauczyli się tego i owego. Zasluga to niezmordowanej Olgi Żeromskiej, która kocha taniec i kocha młodzież. Słowa uznania należą się również Zbigniewowi Gedlowi, kierownikowi muzycznemu Zespołu oraz pianistce Barbarze Dulebinie, która na tym występie pożegnała się już z Zespołem.

Wieczór jubileuszowy Kolbergowców należy zaliczyć do udanych. Cały Zespół z uroczą Barbarą Borzysławską i jej miłym partnerem Andrzejem Błońskim wywiązał się doskonale z trudnego maratonu widowiskowego. Sekundował mu dzielnie drugi bardzo sympatyczny Zespół Taneczny „Iskra“.

Gośćmi Zespołu Kolberga byli także: Stanisława Horwat, najlepszy dziś może nasz sopran w Londynie, Elizabeth Lightoler, młoda, bardzo utalentowana pianistka i Chór im. Moniuszki ze Slough pod dyr. Gedla.

„M — JAK MIŁOŚĆ“ — DO TEATRU

Do przedstawienia „Gałązki Rozmarynu“ w reżyserii L. Kielanowskiego, danego przy poważnej okazji, prawie nikt, nie zdobył się na uwagi krytyczne, mimo jego niewątpliwych uchybień scenicznych. Wystawiona potem niefrasobliwą komedia muzyczna „M — jak Miłość“ z muzyką doskonałego kompozytora Ludo Philippa, niefortunnie tym razem tekstami Wiktora Budzyńskiego i dobrą oprawą sceniczną Jana Smosarskiego, spotkała się w prasie z dość ostrą odprawą, jak gdyby nie była ona pomyślana, jako sceniczny żart i rozrywka.

Do tej roześmianej, roztańczonej i rozśpiewanej ptaszarni z emigracyjnego Chanteclaire'a, złożonej z barwnych kolibrów czy flamingów (Irena Delmar, Janina Jakubówna i Danuta Philip, Krzysztof Jakubowicz, Witold Schej-

bał, Zbigniew Youriewski, Henryk Vogelfaenger) — nie sposób strzelać z grubej Berty teatrologicznej. Więc tylko półzartem można przypomnieć, że zgodnie z odwiecznym prawem rozwoju sztuki dramatycznej nasze tematy rodzinne, które przedtem były wątkiem tragicomicznym w sztukach Budzyńskiego, przybrały z czasem charakter farsowy. Że ta przemiana wypadła raczej na gorszą passę w twórczości autora, to nie ulega wątpliwości.

Idzie tu o coś innego. O to, aby nie dzielić przejawów teatralnych na stojące poza wszelką możliwością krytyki i te, na które można przy lada sposobności naskakiwać. Chodzi więc o to, aby się zdobyć na odwagę wytykania niedociągnięć przy każdej sposobności, gdy się ma z nimi do czynienia, ktokolwiek jest w danym wypadku reżyserem, czy autorem. I aby za bohaterstwo pisanie na wesoło w tych niewesołych czasach, odpłacać się miłością do teatru, pomimo zawodów, jakie raz stąd raz z ową potrafi on nam sprawić. Rozdzierajmy szaty raczej wtedy, gdy koszt ich reparacji stoi w jakimś stosunku do doznanej obrazu. J.O.N.

ROCZNIK P.T.N. na obczyźnie za r. 1966/67 ukazał się z pewnym opóźnieniem, ale za to jest jednym z najobszerniejszych z dotychczasowych zeszytów. Zawiera m.in. dział poświęcony zmarłemu uczonemu, oraz życiorysy nowych członków. Niezwykle bogaty jest dział sprawozdań z posiedzeń naukowych. Zeszyt zamyka dodatek zawierający przegląd działalności innych instytucji i placówek naukowych. Wydawnictwo to ukazuje się dzięki wielkim wysiłkom bardzo słabo zaopatrzonych we finanse Towarzystwa. Tymbardziej zasługuje ono na szerokie poparcie społeczeństwa emigracyjnego. Cena egzemplarza wynosi £1.

„O HANDLU TROI Z EUROPA“ mówił na zebraniu Polskiego Twa Historycznego prof. dr T. Sulimirski, obecny rektor P.U.N.O. i wybitny prehistoryk. Z badań wykopalisk 9 grodów Troi i dróg handlowych istniejących w tym czasie wynika, że Troja prowadziła tzw. szlakiem bursztynowym handel z tą częścią Europy, która dziś jest siedzibą państwa polskiego. Handel ten trwał od 3.000 lat przed N. Chr. do ok. r. 1.300 przed Nar. Chr., kiedy najazdy ludów azjatyckich przerwały ten szlak powodując upadek Troi.

„CZAS NAGLI“ pod tym tytułem ukazał się 9-ty półroczny komunikat infor-

macyjny Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego. Zawiera materiał sprawozdawczy na Walny Zjazd Ośrodka, łącznie z działalnością Polskiej Rady Bibliotecznej. Dopełnia go długa lista ofiarodawców na Fundusz Biblioteczny i zamyka przegląd głosów prasy o Ośrodku. Podkreślając pilność rozwiązania sprawy centralnego Domu Polskiego w Londynie, słowo wstępne do komunikatu stwierdza, że po 3 latach pracy Ośrodek zebrał ok. £170 tysięcy majątku bilansowego, nie licząc wartości księgozbiorów. Nie mniej do realizacji projektu Ośrodka brak jeszcze ponad £100.000 i dlatego rozważana jest idea dobrowolnego opodatkowania się jednorazowego lub okresowego Polaków na ten cel.

„POCZĄTKI ŻYCIA“, taki był temat odczytu dr. F. Goldschlaga na zebraniu Sekcji Historii Kultury Polskiej i P.T.N. Autor przedstawił ostatni stan badań nad początkami życia ludzkiego.

PROF. JANINA PILATOWA w ramach konserwatorium Sekcji Historii Kultury Polskiej mówiła o „Zapózycczeniach językowych“ w mowie polskiej. Na bogatym materiale leksykograficznym przedstawione zostały główne zasady, na których następują zapózycczenia z języków obcych, zwłaszcza z krajów ościennych.

ZESPÓŁ PIEŚNI I TAŃCA „MAZURY“ Polskiej YMCA. urządził swój okresowy występ w sali ratusza na Hammersmith. W pokazie wzięło udział przeszło 100 osób. W tym był zespół „Millenium“ z Ealingu oraz orkiestra „Polskiej Parady“ pod kier. skrzypka S. Rozengarta. „Mazury“ pod kier. I. Różyckiej osiągnęły ostatnio wysoki poziom sprawności technicznej i ujęcia artystycznego tańców polskich. Widoczny był także duży postęp w zakresie pieśni chóralnych, co jest zasługą kier. p. H. Kamińskiej. Obfity program obejmował wszystkie główne formy polskich tańców ludowych.

JANUSZ RYCHLEWSKI, pisarz z Kraju, bawił w Londynie, przejazdem z Włoch, Korzystając z tej sposobności Związek Pisarzy Polskich urządził mu wieczór autorski w Instytucie Polskim.

W drugim wieczorze w ramach „Spotkań Veritasowych“ J. Rychlewski mówił nt. „Rzym widziany oczyma Polaka“.

(Dokończenie obok)

PRZEWAŻNIE DLA PAŃ

Niedawno słuchałam przez radio mszy chóralnej Mozarta „Requiem“. W pewnej chwili w natchnioną melodię, płynącą z odbiornika, wdarł się huk odrzutowego samolotu. Pomyślałam wówczas: „Oto symbol naszej ery — samolot potencjalne pojęcie techniki, ale także i zniszczenia, który zagłuszył sprawy ducha“. Końcowy jednak akord mozartowskiej mszy przebił się przez huk maszyny jak gdyby zapewnieniem, że duch tryumfuje nadal. Następnego ranka, jakby dla potwierdzenia moich wieczornych rozważań, przeczytałam o wspólnych wysiłkach kobiet izraelskich i arabskich, dążących cierpliwie i niestrudzenie do ulepszenia tego niezawsze najdoskonalszego ze światów.

Na politycznych konferencjach wykrzykuje się gromkie słowa, nienawiść i chęć odwetu opadają ciężkim pyłem na konferencyjne stoły, a matki, nauczycielki, pracownice społeczne, gospodynie domowe — słowem zwyczajne kobiety, te na których barkach spoczywa ciężka odpowiedzialność dnia codziennego — a więc miski pełnej stawy i spokojnego snu swoich dzieci, nie czekając na wyniki narad, nie poddając się groźbom nowej wojny — zabrały się wspólnie do dzieła. Przedstawicielkami tych szarych, nieznanymi kobiecych rzesz, które wypowiedziały wojnę między swymi krajami są trzy kobiety: Arabka Enam Zubi, zamieszkała stale w Izraelu, Żydówka pani Katzab, oraz Arabka-chrześcijanka — pani Karkaby.

Pani Zubi jest arabską delegatką do Organizacji Narodów Zjednoczonych. W zeszłym roku, zaraz po zakończeniu czerwcowej wojny, brała udział w konferencji Obywatelskiego i Społecznego Wychowania Kobiet, która odbywała się w Helsinkach. Jest także członkiem Rady Kobiet Pracujących i od lat jednym

z jej urzędowych obowiązków jest podróżowanie po miasteczkach i osiedlach Izraela, zaludnionych przez ludność arabską, gdzie przy pomocy odczytów i demonstracji (przeźrocza, pokazy sterylizacji naczyń, zajęcia praktyczne przy niemowlętach etc.) uświadamia kobiety arabskie o ich roli w społeczeństwie, wpajając jednocześnie zasady podstawowej higieny i walcząc z niejednym przesądem.

Natychmiast po zaprzestaniu zeszłoczerwcowych działań wojennych pomiędzy Egiptem a Izraelem, pani Zubi wraz z dwoma pomocnicami udała się do starej dzielnicy Jeruzolimy, która — jak wiemy — należała do Jordanii. Tam spotkała się ze swymi izraelskimi koleżankami, aby wspólnie z nimi zacząć działać natychmiast, bez oglądania się na rozejmowe stoły i męskie przetargi.

Pierwsze kroki na świeżych jeszcze zgłiszczach były bardzo trudne. „Przez 19 lat — zwierzyła się później dziennikarzom zachodnim p. Zubi — wpajano w nas wszelkimi możliwymi środkami propagandy, że my kobiety arabskie i one — kobiety izraelskie jesteście wrogami. Ale przecież obecnie nie o propagandę chodziło, lecz o ulżenie doli tak wielu. Chodziło o starców i dzieci, o nasze gniazda rodzinne, o unormowanie życia z powrotem — po obu stronach tej barykady nienawiści. Udało się nam przełamać wzajemną nieufność i niechęć szybko, może dlatego, że obie strony tak desperacko potrzebowały wzajemnej pomocy. Już od pierwszego spotkania z naszymi izraelskimi koleżankami zaczęłyśmy rozmawiać ze sobą jak sąsiadki, jak matki i żony. I rzeczywiście, porozumiałyśmy się bardzo szybko.

Kobiety izraelskie odpowiedziały na starania p. Zubi ulżenia losowi wszystkich poszkodowanych — przez spontaniczny odruch do arabskiego sierocińca, położonego w starej dzielnicy jerozolimskiej — kilkuset koszul, oraz ofiarowały współpracę we wszystkich dziedzinach społecznego życia. Dzięki wspólnym wysiłkom kobiet arabskich i izraelskich nie jeden mieszkaniec Jordanii dowiedział się o sprawach, o których propaganda w jego kraju dotychczas nie wspominała, jak na przykład to, że arabskie mieszkanki Izraela nie były nigdy krępowane w podróżach po kraju swego zamieszkania, że nikt nie zabraniał im pielgrzymek do ich miejsc świętych, a także, że ubezpieczenia społeczne Izraela obejmowały je na równi ze swymi własnymi obywatelkami, jeśli chodziło o renty wdowie, czy renty starcze.

Te trzy kobiety — Arabka Zubi, Ży-

dówka zamieszkała w Iraku (p. Katzab) oraz Arabka chrześcijanka p. Karkaby wierzą, iż stosunki między Arabami i Żydami mogą się poprawić. „Izrael jest krajem postępu, wciąż rozwijającym się, idealnym miejscem do życia przede wszystkim dla współczesnej kobiety, dla tej, która chce się uczyć i wybić. Wspólnymi siłami możemy dokonać wiele. Bo weźmy chociażby sprawę rozwodów: dawniej arabski mąż mógł pozbyć się swej żony przez zwykłe wypowiedzenie formułki, iż ją od siebie oddała. Na terenie Izraela nie jest to już możliwe. Według prawa, przeprowadzonego przez Knesset (izraelski parlament) — sprawa rozwodu nie będzie aż tak prosta. Albo druga sprawa: wiek dozwolony do zamążpójścia. Dla kobiet arabskich, zamieszkałych w Izraelu został on ustalony na lat 17, nie do pomyślenia więc są już małżeństwa, wymuszane przez rodzinę na niedorośliwych dziewczętach. Jeśli zaś chodzi o arabskie wdowy, to w Izraelu traktowane one są nieskończenie lepiej, niż w ich własnych krajach. W tej chwili każda owdowiała Arabka, zamieszkująca Izrael musi otrzymać część schedy po zmarłym mężu i żaden starszy rodu, żaden brat, czy szwagier, lub nawet ojciec zmarłego nie będzie w stanie skrzywdzić jej przy rozdziale spadku.

Niezwykle bystra i energiczna pani Zubi opiera w wielkiej mierze społeczne uświadomienie swych własnych rodaczek na współpracy z kobietami Izraela. Zaprzyjaźniła się ona po raz pierwszy z żydowską kobietą w latach pięćdziesiątych. Spotkała kiedyś przypadkiem na autobusowym przystanku izraelską dziewczynę w wojskowym mundurze. Zainteresowana psychologią kobiety-żołnierza, powiedziała jej grzecznie „Shalom“ (po hebrajsku „pokój“) i zaprosiła do swego domu na rozmowę. W ten sposób pierwsze lody zostały przełamane. Wówczas to ta wykształcona arabska kobieta dowiedziała się wielu rzeczy, które później stać się miały podwalinami jej pracy społecznej.

Obecnie, po latach, jako rezultat współpracy bez nienawiści, znajdziemy w starej części Jeruzolimy, mieszane przedszkole arabsko-izraelskie, gdzie dzieci pod opieką przedszkolank obu narodowości zgodnie lepią z plasteliny, wspólnie budują domki z klocków i śpiewają piosenki, w których nie będzie ani słowa o szabli, żołnierzu, czy wojnie.

Jeżeli chodzi o Żydówkę p. Katzab, która wychowała się w kraju arabskim,

(Dokończenie na str. 38)

KAZIMIERZ ZIELENKIEWICZ artysta malarz znany na zachodzie pod nazwiskiem Caziell po dwóch latach urządził ponownie swą wystawę w Galerii Grabowskiego. Po długim pobycie we Francji artysta z rodziną przenosi się obecnie do Anglii.

MARKOWI RESMEROWI, dwunastoletniemu pianiście przypadła nagroda im. J. Kropiwnickiego, wręczona mu na wieczorze w studio rozgłośni RWE w Londynie. Dojrzałą grę świetnie zapowiadającego się młodego muzyka można było podziwiać na również na wieczorze muzycznym urządzonym w salonie państwa S. i H. Pawłowiczów, z udziałem skrzypka Jana Rydla i H. Pawłowiczowej, doskonałej pianistki. Nowy przykład prywatnego mecenatu artystycznego.

J. Ostr.

to ma ona równie piękną kartę, co p. Zubi. Ona to bowiem założyła w małym miasteczku Beth Safafa, w pobliżu Jerozolimy, pierwsze kursy nauczania kobiet arabskich, przy wydajnej pomocy arabskiego nauczyciela szkoły powszechnej. Nauczyciel ten na równi ze swą żydowską współpracowniczką był przekonany o konieczności emancypacji kobiety arabskiej. Musiał się jednak dobrze natrudzić, aby on, Arab, w „konszachtach“ z Izraelką mógł wreszcie przełamać opory arabskich mężów — by pozwolili swym żonom uczyć się na kursy czytania i szycia. Obecnie pierwsze pupilki szkoły powszechnej dla dorosłych kobiet w Beth Safafa, wydają własne pismo po arabsku, a dwanaście arabskich pracownic fabrycznych, które właśnie w tej szkole poznało trudną naukę czytania najpierw po arabsku, a potem po hebrajsku — wyjechało w zeszłym roku na wakacje do domu wypoczynkowego dla izraelskich robotnic w Tivonie.

— Tak — wspominają trzy dzielne kobiety, pani Zubi, pani Katzab i pani Karnaby — pierwsze nasze spotkanie w Jerozolimie było bardzo trudne, drugie już nieskończenie łatwiejsze, a trzecie...? Zaczęło się od wymiany uścisków i tak samo uściskami zakończyło.

Wydała mi się, iż warto było wspomnieć o tych trzech kobietach w pierwszej rocznicy wojny, która była tak straszliwa nie tylko dla Arabów i Żydów, ale dla całego świata. W bezna dziejności nowych pogroźek, może postawa kobiet obu wrogich sobie narodów zaświeci promieniem nadziei dla tych, którzy coraz to bardziej skłonni są przestać wierzyć w podstawowe dobro każdego człowieka.

OLEJEK I SERCE

A teraz kilka słów o niezwyklej lekarce, dr Marguerite Maury, której książkę omawialiśmy niegdyś na łamach „Orla Białego“. Otóż dr Maury, kosmetyczka, dietetyczka i — podejrzewam osobiście — że trochę teozofka — wystąpiła ostatnio z teorią, że kulinarne wysiłki żon w połączeniu z terapią olejków kwiatowych, które są „konikiem“ dr. Maury, mogą ustrzec naszych mężów (i chyba nas same?) od... zawału serca.

Teoria ta wydaje się dość dziwna,

Serdecznie dziękujemy czytelnikom i przyjaciółom „Orla“, którzy nadsyłają nam interesujące wycinki z innych pism.

REDAKCJA

mimo tego, że terapia za pomocą wonnych olejków z kwiatów i roślin nie jest teorią nową. Stosowali ją już z pewnym powodzeniem Grecy i Rzymianie. Dr Maury używa dla swych celów właśnie tych samych olejków i wyciągów jakich w starożytności używano w łaźniach i twierdzi, iż w czasach rozkwitu Grecji, a potem Imperium Rzymskiego mało kto skarżył się na sercowe dolegliwości.

Po olbrzymim powodzeniu książki p.t. „Sekret życia i młodości“ dr Maury omawia obecnie w szeregu artykułów w prasie szwajcarskiej wpływ naturalnych olejków w leczeniu wielu schorzeń. Twierdzi, iż leczenie olejkami zawartymi w kwiatach i roślinach jest nową gałęzią medycyny, jeżeli chodzi o terapię prewencyjną. Łączy się to według niej — bardzo ściśle z kuchnią, w której twierdzi — kładziemy podwaliny pod wszelkie sercowe niedomogi. Dr Margeureite Maury uważa, że każda roślina, kwiat czy zioło posiada swoje specyficzne i dotychczas mało rozpoznane — właściwości. Zastosowanie spożycia ich w diecie zanim schorzenie serca wystąpi — daje podobno wspaniałe rezultaty. Osobiście sędzę, że tak jak i we wszelkim lecznictwie ludowym, czy też tzw. naturalnym — teoria dr Maury kryje w sobie ziarnko prawdy. Ale... tę prawdę chyba jest trudno odkryć. Bo skąd wiemy, że ani my, ani nasi najbliżsi nie skarżą się na serce tylko dlatego, że stosujemy tę czy inną terapię? Jak długo jesteśmy zdrowi — każda terapia wydaje się najlepsza. Z chwilą jednak zachorowania...? Ale, może warto spróbować? Konfitura z róży (która podobno oczyszcza krew) — na śniadanie... Rumianek i rdest na południowy posiłek. Wieczorem, przed snaniem szklanka wywaru z jałowca... Może, może... Bardzo przyjemna kuracja, ale jeżeli chodzi o zawał serca...

Chwileczkę. Bo jednak dr Maury po latach eksperymentów z olejkami, ostatnio dodała do swego lecznicwa i masaże. Doszła bowiem do przekonania, że delikatny masaż, który włacza pod skórę olejki, jakich dostarcza nam najlepszy lekarz ludzkości — czyli sama natura — zapobiega zwapnieniu żył, a więc i w pewnej mierze — zawałowi serca. Lekarka używa, jak to sama określa, do „swego systemu regeneracyjnego“ wyciągu z kwiatów lotosu i jaśminu, ziół chińskiej mięty, oraz popularnej róży — centyfolii. Poza tym recepty jej zawierają wywary z lawendy i... zwykłej pietruszki, której znakomite działanie na kwioobieg i nerki zostało dawno już stwierdzone przez innych. A więc — kto wie? Spróbować napewno nie zaszkodzi.

K. E.

Staraniem Komitetu
Uczczenia
SETNEJ ROCZNICY
URODZIN
JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

ukazała się **PŁYTA**

zawierająca przemówienie

**Józefa
Piłsudskiego**

nagrane w roku 1924
przez firmę B. Rudzki
w Warszawie

Na tejże stronie płyty

Etiuda Rewolucyjna
w wykonaniu
J. Kropiwnickiego
Pierwsza Brygada
fragment w wykonaniu
orkiestry

Na 2-iej stronie płyty

Wypowiedzi
Józefa Piłsudskiego
z lat 1919—1921
czyta Józef Opieński
„O jednej z prawd
życia“
„O ofierze w pracy
dla Polski“
„O cywilizacyjnej
misji Polski“

CENA 30 sh., przesyłka 2/6
US \$ 5, włącznie z przesyłką

DO KSIĘGARNI POLSKIEJ
ORBIS
66, KENWAY ROAD,
LONDON, S.W. 5.

Data

Zamawiam płytę z przemówieniem
Marszałka Piłsudskiego
i załączam należność

£

\$

Nazwisko

Adres

.....

NIEUCZCIWA KONKURENCJA

OPOWIADANIE

ŻYCIE małżeńskie, jak to doskonale wszystkim żonatym wiadomo, przypomina chodzenie po linie. Jeden fałszywy krok — grozi ci katastrofa. Najczęściej bywa to katastrofa finansowa. Nie dziwnego, że stosowanie odpowiedniej strategii domowej wymaga wielkiego nakładu pomysłowości i poważnej znajomości prawideł sztuki wojennej. Ale czasami najlepszy wódz staje w obliczu nieuchronnej klęski, jak Napoleon pod Waterloo, czy Hannibal pod Zumą. W tej właśnie chwili tak tragicznie przedstawia się sytuacja moja i wielu moich znajomych. A zaczęło się bardzo zwyciężajnie i niewinnie: na dwa tygodnie przed Wielkanocą, wróciłem do domu z biura, zjadłem obiad i otworzyłem nabytą po drodze gazetę wieczorną, aby uzupełnić moje wiadomości o życiu wyższych sfer towarzyskich, gdy nagle żona łagodnie napomknęła:

— Wiesz? Robiłam dzisiaj porządki w szafie.

— Mhm — wyraziłem swoje zainteresowanie, pogrążony w gazecie.

— Mógłbyś odłożyć choć na chwilę to pismo, kiedy do ciebie mówię. Tobie to dobrze: siedzisz cały dzień w biurze i gadasz z kolegami. A ja siedzę w domu i nie mam dosłownie do kogo ust otworzyć, bo nawet jak wrócisz, to słowa ze mną nie chcesz zamienić.

Odłożyłem z westchnieniem gazetę, widząc doskonale, że nieprzyjaciel podchodzi do pozycji wyjściowej i przygotowuje się do natarcia na całym froncie. Wobec tego próbuję dywersji na skrzydle:

— Jak to nie masz do kogo ust otworzyć? Zapomniałaś już chyba, ile wyniósł nasz ostatni rachunek telefoniczny? Wygląda na to, że godziny całe musisz spędzać ze słuchawką w ręku.

Udało się! Wróg kieruje całe siły na zagrożone moim wypadem skrzydło:

— Naturalnie, ty byś chciał, żebym ja w ogóle z nikim nie utrzymywała stosunków. A ludzie się i tak dziwią, że ja się na to zgadzam. Mieszkamy przecież w takim punkcie, że na pięć mil w koło nie ma ani jednej polskiej rodziny...

— Chwała Bogu!

— Coś ty powiedział? No tak, tobie to wszystko jedno, co się ze mną dzieje. Bylebyś tylko dostał swój obiad i śniadanie i miał wyprasowaną koszulę, reszta cię nie obchodzi. Pojęcia nie mam, po co się właściwie ze mną ożeniłeś,

kiedy zupełnie by ci wystarczyła służąca.

Jak dotąd, wszystko rozwijało się zgodnie z moim planem przeciwnatarcia. Nieprzyjaciel jak gdyby zapomniał o swoim pierwotnym zamiarze. Zaryzykowałem jeszcze jeden zводniczy atak.

— Służąca? Czy ty masz pojęcie, ile to teraz kosztuje?

— Ja bym nie wiedziała? Gdybyś mnie zatrudniał, jako służącą, nie musiałabym donaszać latami starych łachów, bo co roku stać by mnie było na nowy kostium!

Niedobrze! Nieprzyjaciel odzyskał inicjatywę. Zaczynam się wycofywać.

— Przecież twój kostium jest jeszcze w doskonałym stanie. I ogromnie ci w nim do twarzy.

— Od trzech lat mi to powtarzasz! A ty myślisz, że ludzie tego nie widzą? Wczoraj spotkałam na ulicy Szponderską, i ta, słodka jak sacharyna, powiedziała: „Ten pani kostiumik — nie dziwi się, że pani tak do niego przywiązana, bo odmładza kochaną panią o dziesięć lat — bajecznie się nosi. Pani zawsze potrafi kupić tak, żeby można było nosić latami!”

Notuję w pamięci: „Śmierć Szponderskiej!” i próbuję wymknąć się bokiem.

— Ależ, kochanie, to naturalne, że ludzie widzą i oceniają, jeśli ktoś potrafi dobrze kupić i nie daje się nabrać na tandetę. Pewien jestem, że Szponderska zazdrości ci twojej umiejętności obchodzenia się z pieniędzmi.

Nie wyszło. Natykam się na ciężki ogień zaprowy.

— Ty to nazywasz umiejętnością? To po prostu smutna konieczność, jeżeli się ma męża, który nie potrafi zarobić na skromne nawet życie!

— Szponderska nie ma męża — wtrącam.

— Ma, czy nie ma, ale się potrafi urządzić. Kręci się tam koło niej inżynier Calówka, to już ona go nieźle wyżyłuje, nie bój się! No, ale on przynajmniej coś zarabia, nie to, co ty!

Udaję wielkie zdumienie. Czasem taka sztuczka udaje się, i żona zapomina o pierwotnym temacie, przekazując mi z zapalem zebrane o przyjaciółkach informacje.

— Calówka ze Szponderską? Co ty mówisz? Pojęcia nie miałem. Przecież to już starszy facet...

Niestety, moja zasłona dymna zostaje rozwiana natychmiast.

— A ty niby masz dwadzieścia lat, prawda? Zamiast się Calówce dziwić, mógłbyś wziąć z niego przykład.

— Kiedy, wiesz, mnie się Szponderska wcale nie podoba — zauważam niewinnie.

Żona likwiduje mnie jednym groźnym spojrzaniem.

— Już ty doskonale wiesz, o co mi chodzi! Popatrz tylko na Szponderską! starsza ode mnie o dobry rok — nie, co ja mówię, o dobre dwa lata — a ubrana, jak z igły, ciągle nowe sukienki, biżuteria! A widziałeś jej futro? Żebyś stu lat miała dożyć, to też takiego futra się od ciebie nie doczekam!

Wzruszam ramionami.

— Moja kochana, a cóż ja na to mogę poradzić, że ja skończyłem studia humanistyczne, a Calówka inżynierię? Ludzie z jego wykształceniem wszędzie znajdują pracę, a ja muszę być zadowolony i z tego, że się zaczęłam na poczcie.

Nieprzyjaciel przechodzi do szturm.

A co, to ma być moja wina, czy jak? To ja mam całe życie cierpieć za to, że ty jesteś niedołęga? Do śmierci mam chodzić w starych łachach?

Nie wytrzymuję i kapituluję. W sobotę poszliśmy kupić nowy kostium, w dwa dni potem natknąłem się na ulicy na inżyniera Calówkę.

— Co słychać? — zapytałem go z głębokim współczuciem.

—Aa, to pan! — ucieszył się — Przepsraszam, że pana nie poznałem, ale Zuzia nie pozwala mi nosić okularów. Mówi, że to mnie postarza.

Zuzia — to Szponderska, naturalnie. Sprytna baba — bez okularów nie widzi jej wszystkich zmarszczek.

— Pani Zuzanna ma rację — odpowiadam wielkodusznie. — Znacznie młodziej wygląda pan bez szkieł.

— Prawda? — rozpromienił się Calówka. — Zuzia ma zawsze rację. Panie co to za kobieta. Wstąpimy na jednego wiskacza?

Z zasady nie oponuję, jeśli ktoś chce mi postawić whisky. Przy tym widziałem, że gość musi się przed kimś wygadać. Weszliśmy do baru, Calówka zapłacił za whisky i usiedliśmy z boku przy stoliku.

— Powiadam panu — ciągnął — To niezwykła kobieta. Inteligencja, zmysł do interesu, poczucie humoru...

— Kiedy ślub? — uciałem, bo jednak wszystko ma swoje granice, nawet jeżeli ktoś mi postawi whisky.

(Dokończenie na str. 40)

Słowo honoru daję, że Calówka się zaczerwienił, jak róża.

— W lecie, przed naszym urlopem. Potem lecimy na Majorce.

— Z wycieczką?

Skrzywił się.

— Skądże znowu. Indywidualnie. Już zamówiłem pokoje w najlepszym hotelu. Sam pan rozumie.

— Rozumiem — odpowiedziałem zupełnie bez przekonania. Sytuacja była o wiele gorsza, niż mi się to pierwotnie wydawało. Szponderska, koło której kręci się Calówka, mogła być zbyt dowcipem, ale Szponderska, żona Calówki, obsypywana przez męża prezentami, groziła dożywności spokojowi domowemu, zarówno mojemu, jak i innych wspólnych znajomych. Trzeba było natychmiast działać. Ale jak?

— Śliczne futerko pan sprawił swojej narzeczonej — zauważyłem.

Calówka skromnie spuścił oczy.

— Widział pan? Cóż pan chce, takiej kobiecie, jak Zuzia, nieba by się chciało przychylić.

— Musiało kosztować ładny pieniądz — ciągnąłem nieubлагanie.

— Ach, proszę pana! — uśmiechnął się. — Cóż to ma za znaczenie? To przecież taka satysfakcja ofiarować

kochanej kobiecie coś, o czym zawsze marzyła!

Przebiegły po mnie zimne dreszcze. Tego rodzaju ludzi powinno się z miejsca zamykać w domu wariatów z uwagi na bezpieczeństwo publiczne. Dziecko, bawiące się zapalnikami! Szczeście rodzinne moje i moich znajomych stanęło w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa. Okiem wyobraźni widziałem już żonę, mówiącą: „Calówka dał żonie na imieniny brylant. Prawdziwy, duży brylant. A ty co? Kartkę z życzeniami i fuksję w donicze. Mama miała rację, kiedy mnie ostrzegała, żebym za ciebie nie wychodziła...”

— Pan często pracuje za granicą, prawda? — uczepliłem się oburącz ostatniej deski ratunku. — Zapewne państwo urządzają się na stałe w Francji, albo w Hiszpanii? Tu przecież klimat jest nie do zniesienia.

— Proponowałem to Zuzi — powiedział z rozrzewnieniem. — I wie pan, co mi odpowiedziała? Że nie potrafiła by się rozstać z przyjaciółmi, których ma tutaj. Złote serce, prawda?

Powlokłem się do domu kompletnie złamany. Na progu spotkałem żonę, która powitała mnie słowami:

— Wiesz, że ta wydra Szponderka w czerwcu wychodzi za Calówkę? W podróż poślubną lecą do najlepszego hotelu na Majorce, gdzie Calówka już zamówił apartament. Apartament! Takiej to dobrze. A ty mówisz, że jak sobie kostium kupiłam, to już nas nawet na Brighton nie będzie stać w tym roku. Mama miała rację, kiedy mnie ostrzegała, żebym za ciebie nie wychodziła...

Jedyna nadzieja w tym, że samoloty czasem się rozbijają.

Wojciech Stefański

Książki nadesłane

Wacław Iwaniuk: CIEMNY CZAS, poezje, Instytut Literacki, Paryż, 1968.

SLAVICA CANADIANA A.D. 1966, compiled by Jaroslav Rudnyckij in cooperation with T. W. Krychowski, Winnipeg, 1967.

WYCHOWANIE OJCZYSTE, kwartalnik dla nauczycieli i rodziców, nr. 1/74, Londyn, 1968.

Nr. 1/74 kwartalnika pedagogicznego dla nauczycieli i rodziców wydawanego XIV rok przez Polską Macierz Szkolną w Londynie poświęcony jest głównie nauczaniu historii Polski. Za zgodą prof. M. Kukiela i Redakcji „Orła Białego” przedrukowany jest art. „Uwagi o nauczaniu historii na emigracji”, następnie mgr. M. Gołowski w obszernym artykule „Nauczanie historii w szkole polskiej na emigracji” daje wskazówki praktyczne, bibliografię pomocy dla nauczyciela i podręczników dla ucznia oraz reprodukcję 6 mapek historycznych. Ks. dr W. Okoński pisze o św. Stanisławie Kostce, jako wzorze dla młodzieży, a prof. M. Łojewski o „Polskich uczonych o światowej sławie” i hm. L. Kliszewicz o „Nauczycielu jako opiekunie harcerzy w szkole”. Numer zawiera 36 stron i kosztuje 2/6.

NAJLEPSZE PODARKI

Dla przyjaciół:

ZYGMUNT NOWAKOWSKI — *Wieczory pod dębem*

Cena 42s., przes. 2/6

MINA TOMKIEWICZ — *Bomby i myszy*

Cena 35s., przes. 2s.

Dla przyjaciół angielskich:

DAVID IRVING — *Accident — The Death of General Sikorski*

Cena 45s., przes. 1/6

W. S. KUNICZAK — *The Thousand Hour Day*

Cena 42s., przes. 4/6

w KSIĘGARNI S. P. K.

20, Queens Gate Terrace, London, S.W. 7.

Adres WYDAWNICTWA: PCA Publications Ltd., 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7, gdzie mieści się także adres redakcji. Korespondencję z Redaktorem Naczelnym kierować można na: 171, Battersea Church Road, London, S.W.11 (telefon: BAT 0879 lub BAT 1445). Adres ADMINISTRACJI: „Gryf” — 171, Battersea Church Road, London, S.W.11. Tel. BAT 1445. Oddział Redakcji we FRANCJI: „Syrena” — 20, rue Legendre, Paris, 17-e. Tel. WAG 0045, Editions ELKA S.A.R.L. c/c p. No. 5507-30 Centre Paris, oraz na pld. Francję — S. Horodyski, Ecole des Filles, La Penne s/Huveaune (B. du Rh.); w BELGII: J. Korab Bzozowska-Csáky, 19, rue Amédée Llnen, apt. 67, Bruxelles 3, konto poczt. 7315.20; w NIEMCZECH: S. Mikiciuk, Muenchen, 45, Gablonzerstr. 7/I; w SZWAJCARII: S. J. Karolus, 10 rue Ingold, CH-2500, Biel-Bienne 4; w SZWECJI: Polski Komitet Pomocy, Jungfrugatan 30/II, Stockholm; w WŁOSZECH: W. Zahorski, Ass. Comb. Polacchi, Via Licia 19, Roma; w ARGENTYNIE: „Libreria Polaca”, Serrano 2076, Buenos Aires; w AUSTRALII: „Vistula (Australia) Pty Ltd.”, Daking House, Rawson Place, Sydney; w KANADZIE: T. Krychowski, 101, Islington Ave South, Toronto 18, Ont. lub „Gryf”, Londyn; w STANACH ZJEDN.: J. Bienkowski, 627, Tracy St., Utica, N.Y.; Polish-American Book Co., 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa”, L. Zukowski, 5347 Chene St., Detroit 11, Mich. ORAZ OGNIWA S.P.K. W POSZCZEGÓLNYCH KRAJACH. Egzemplarz pojedynczy: 3/6, \$ 0.50, Fr 2.50. PRENUMERATA — kwartalnie: £ 0.10.6, \$ 2.00, Fr 7.00; półrocznie: £ 1.1.0, \$ 4.00, Fr 14.00; rocznie: £ 2.2.0, \$ 8.00, Fr 26.00 — włącznie według przeliczenia waluty miejscowej. Dopłata za przesyłkę lotniczą według taryfy. Przedstawicielstwo w Wiedniu: Stowarzyszenie Polskiej Kultury, Fr. Schmidplatz 4, Wien VIII.

LISTY DO REDAKCJI (c. d.)

bliżnim, nie zaangażowanym uczuciowo w stronę Sanojcy, osobnika bez charakteru i godności.

Gdy ten „ktoś” to uczyni, nie wątpię, że zrewiduje swoje pochopne, z dobrymi obyczajami nie licujące uwagi.

F. Goldschlag
Londyn

KSIAŻKA POLSKA W KRAINIE
„PANA BALCERA”

Szanowny Panie Redaktorze,

Przepraszam najmocniej, za spóźnienie... Książki w liczbie sześciu szczęśliwie dotarły do Goianii i były rozchwyte przez domowników.

Bardzo Panu dziękuję za ich wysłanie i za ich dobór. — Ciekawa poza tym jestem, kto ostatecznie wygrał Konkurs „Dzienniczka”.

Jeszcze raz dziękuję za wysłanie mi paczki. Jest to moralny i uczuciowy wyzwanie czytać i wchłaniać po prostu treść pism i książek, które chyba tylko w tej części Polonii można znaleźć.

Pozostaję z wielkim szacunkiem do Waszej pracy, ratującej polską literaturę i kulturę.

Irena Balińska
Goiania, Brazylia

MUNDUR MARSZAŁKA

Szanowny Panie Redaktorze,

P. Adam J. Dąbrowski przyznaje w swym liście do Redakcji (kwiecień br.), że mundur marszałkowski Piłsudskiego był innego koloru niż mundury przepisowe wojska polskiego i dodaje, że nosił maciejówkę zamiast rogatywki. Zapomniał dodać, że nosił też trzewiki i długie spodnie podczas służby zamiast bryczesów i długich butów z cholewami. Jeżeli tak było, to co pozostało z polskiego munduru? Czyba guziki i dystynkcje marszałkowskie na naramiennikach.

Podtrzymuję twierdzenie, że przedtem Piłsudski ubierał się jak leśnik, gdyż nie miał nawet zwykłych naramienników żołnierskich, które mieli legionści, a potem żołnierze naszej regularnej armii, którymi dowodził.

Nie będę spierał się o to, kiedy Piłsudski został marszałkiem. Wolno mi było ewentualnie omylić się, jeżeli tak wybitny znawca wojskowości jakim jest general Głabisz, zdaniem autora omylił się. Dobrze byłoby gdyby gen. Głabisz wyjaśnił tę kwestię.

Może p. Dąbrowski wyjaśni, kto zmusił Francuzów do nadania Piłsudskiemu stopnia Marszałka Francji. Sądziłem, że jeżeli nadali to chyba chcieli nadać.

W końcu wydaje mi się, że zachodzi tu nieporozumienie. Ja oddałem hold pamięci Wielkiego Marszałka-Cywila, który był geniuszem wojskowym, a p. Dąbrowski rozumiał to jako ubliżenie tej pamięci.

Łączę wyrazy poważania

A. Stambrowski
Londyn

Ś. † P.

Kpt. JAN NOWINA-KONOPKA

Zmarł nagle 9 maja w Londynie i został pochowany w piątek, 17 maja na cmentarzu Gunnesbury.

W Zmarłym tracimy oddanego przyjaciela.

GEN. W. ANDERS
i koledzy Zmarłego

KRZYŻÓWKA Nr. 605/68

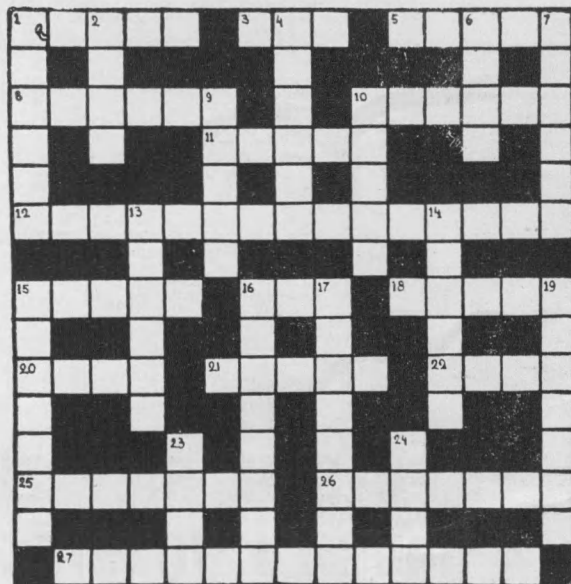
ZNACZENIE WYRAZÓW

Pozome: 1) i 5) aktor w specjalnym teatrze; 3) i 16) spotkanie; 8) i 10) Kalwaria w Polsce. 11) wielkie imię; 12) swobodnie, bez skrępowania (3, 1, 6, 1, 4). 15) jeziora w Polsce; 18) — 3 i 16 poziomo — do nich prowadzi?; 20) szaleństwo; 21) duch z Monte Cassino; 22) wstęp do liczb ujemnych; 25) jedno z 7 wielkich historycznie wzgórz; 26) starania; 27) „A widząc Pan, iż szedł patrzeć, zawołał nań Bóg z pośrodku... mówiąc: Mojżeszu, Mojżeszu!” (5, 8).

Pionowe: 1) niedolężna plaksa; 2) znak Zodiaku; 4) żywy lup? (wspak); 6) próba; 7) rzeka Szopena (wspak); 9) służący Twardowskiego (wspak); 10) ofiara; 13) umęczenie; 14) imię z tytułu Fredry; 15) biskup prawosławny; 16) zawsze musi wywołać zdziwienie?; 17) „Jam was oszukał, wracam z Grenady, ja wam zarazę przyniosłem”. 19) bardzo stary (wspak); 23) krzyżówkowy wulkan?; 24) działki zmięczyły mu serce.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Nr. 604/68

Poziome: 2) Kazimierz, 6) i 8) ówczes-



ny, 7) poeta, 9) wizja, 10) urwis, 11) parów, 12) Troja, 14) kompromitacja, 19) oset, 20) nerw, 21) smuga (wspak), 22) tędy, 23) Karp, 24) lirnik, 25) kadryl.

Pionowe: 1) Król Duch, 2) kazanie, 3) Mieszko, 4) pancierz (wspak), 5) frycówka, 12) tyrada, 13) siatka (wspak), 14) kasztel, 15) matador, 16) maruda, 17) centur, 18) Akropol.

POSZUKIWANIE

Czesław Witkowski z Polski poszukuje swego kolegę z czasów wojennego pobytu na Węgrzech p. Zencna HENNIG. Ostatni adres poszukiwanego do roku 1948 był w Anglii: 4, Beauvale Crescent, Hucknall, Notts., po tym czasie prawdopodobnie gdzieś wyemigrował.

SPROSTOWANIE

W numerze 46-tym, z maja br., w artykule Jerzego Drobnika pt. „Odra i Nysa — granicą pokoleń” wypadł w pierwszym lamie ostatni wiersz. Oddośne zdanie powinno brzmieć: „już w okresie Republiki Weimarskiej twórca jednego z największych koncernów prasowych (Scherl)...

Nowości BIBLIOTEKI „KULTURY“ Nowości

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

CZARNY POLONEZ

Poezje

Cena: 12 sh. — 1.75 dol. — 7 f.

★

JANUSZ SZPOTAŃSKI

CISI I GĘBACZE

czyli bal u prezydenta

Opera

Cena: 5/6 — 3 f.

★

CZESŁAW DOBEK

DRUGI RZUT

i inne opowiadania

Cena: 29 sh. — 4 dol. — 17 f.

★

PRZEDSTAWICIELSTWO NA W. BRYTANIĘ:

P. C. A. Publications Ltd,

20, QUEENS GATE TERRACE, LONDON, S.W. 7.

**BIBLIOTEKA
„KULTURY“**

TOM 151 — SERIA
„ARCHIWUM REWOLUCJI“

ALEKSANDER
WEISSBERG-CYBULSKI

WIELKA CZYSTKA

Przekład
ADAMA CIOLKOSZA

Ze wstępem
GUSTAWA
HERLINGA-GRUDZIŃSKIEGO

Wstrząsający dokument
z okresu stalinizmu.

Cena sh. 50/-, F 30, dol. 6,50

KSIĘGARNIA S. P. K.

20, Queens Gate Terrace,
London, S.W. 7.

Skład główny wydawnictw Polskiego Instytutu Historycznego

★

**POLSKIE SIŁY ZBROJNE
W DRUGIEJ WOJNIE ŚWIATOWEJ**

- Tom I cz. 1* — Kampania wrześniowa 1939. Polityczne i wojskowe położenie Polski przed wojną. 30s
- Tom I cz. 2* — Kampania wrześniowa 1939. Przebieg działań, 1—8 września. 42/6
- Tom I cz. 3* — Kampania wrześniowa 1939. Okres trzeci kampanii, 9—14 września. 50s
- Tom I cz. 5* — Kampania wrześniowa 1939. Marynarka wojenna i obrona polskiego wybrzeża. 30s
- Tom II cz. 1* — Kampania na obczyźnie. Wrzesień 1939 — czerwiec 1941. 35s
- Tom III* — Armia Krajowa. 52/6

**WYDAWNICTWA
BIURA STUDIÓW
S. P. K.**

J. WAWRZKIEWICZ:

SPK wczoraj, dziś i jutro.

J. ŻABA:

Młodzież w polskim życiu narodowym poza granicami Kraju.

Z. SZADKOWSKI:

Polskie organizacje młodzieżowe na uchodźstwie.

Cena: 1/6

S. PAPROCKI:

Oblicze ideowe młodzieży w Kraju.

Cena: 3/6

KSIĘGARNIA S. P. K.

20, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W. 7.

BIBLIOTEKA POLSKA

W

LONDYNIE

NASZA WŁASNOŚĆ

NASZ OBOWIĄZEK